

J. D O M A N I E W S K I

2515

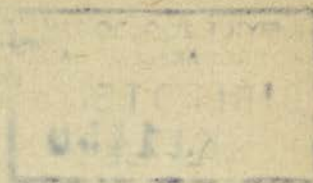
**B E N E D Y K T
D Y B O W S K I**



R.11450.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

JANUSZ DOMANIEWSKI



BENEDYKT DYBOWSKI



WARSZAWA 1954

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

450

(4901)

INSTITUT ZOOLOGICZNY
POLSKIEJ AKADEMII NAUK

BIBLIOTEKA

K.11450

BIBLIOTEKA PRZYRODNICZA

pod redakcją

PROF. DRA WŁODZIMIERZA MICHAJŁOWA

*

Okladkę projektowała
N. Jarczevska

Fotografię na str. 21 wykonał
W. Sokołowski,
pozostałe — wg dzieł oryginalnych
B. Dybowskiiego i inn.

Redaktor odpowiedzialny
B. Sikorska

Redaktor techniczny
Z. Szalek

Książka zatwierdzona pismem Ministerstwa Oświaty
nr Oc-15b/25/54 z 5 sierpnia 1954 r. jako pożądan
w bibliotekach licealnych.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 11450



4000000000026

Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych — Warszawa 1954

Wydanie pierwsze	Oddano do składania 18 X 1954
Nakład 3000+180 egz.	Podpisano do druku 1 XII 1954
Ark. druk. 11+1 mapa; wyd. 9,79	Druk ukończono w grudniu 1954
Papier 61×86 cm, 70 g, kl. V	Zam. nr 8781/A 939; zarz. nr 1648
Cena książki: zł 5,85	E-5-15282

Zakłady Graficzne PZWS w Bydgoszczy, Generalissimusa Stalina 1

2. 26/55.
<http://rcin.org.pl>

PRZEDMOWA

Benedykt Dybowski — to jedna z najciekawszych postaci w dziejach naszego przyrodoznawstwa. Wybitny zoolog, podróżnik, wytrwały badacz fauny niezbadanych przez naukę obszarów, bojowy i konsekwentny ewolucjonista — był Dybowski człowiekiem, który swe długie, pracowite życie poświęcił całkowicie nauce.

Dociekliwy umysł badacza, umiłowanie prawdy naukowej, przekonanie o potędze myśli ludzkiej sprawiły, iż w stosunku do wielu zagadnień społecznych i filozoficznych zajmował Dybowski stanowisko postępowe, wychodząc poza zasięg przekonań i sądów środowiska społecznego, do którego należał, i epoki, w której przypadło mu w udziale żyć i działać.

W dobie, gdy pragniemy zapoznawać społeczeństwo nasze, szczególnie zaś nauczycielstwo i młodzież, z postępową tradycją w naszej nauce, z jej wybitnymi przedstawicielami, wydanie książki o Benedyckie Dybowskiem wydaje się celowe i usprawiedliwione.

Autor niniejszej pracy, prof. Janusz Domaniewski, kreśląc sylwetkę Dybowskiego oprzeć się mógł nie tylko na spuściznie piśmarniczej naszego wybitnego przyrodnika, lecz także na wspomnieniach osobistych o nim. Pracując od lat kilku nad książką o Dybowskiem i traktując ją jako hołd pamięci swego znakomitego przyjaciela, nie mógł, niestety, autor nadać jej postaci ostatecznej i wykończony we wszystkich szczegółach, gdyż śmierć przerwała tę pracę wiosną 1954 r.

Książka, którą oddajemy obecnie do rąk Czytelników, może być tedy traktowana jako materiał służący za źródło informacji o znakomitym uczonym polskim do czasu, kiedy ukaże się wielostronne, monograficzne opracowanie postaci B. Dybowskiego.

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

OD AUTORA

Gdym pisał tę książkę, pytano mnie, nad czym pracuję. Odpowiadałem, że piszę książkę o Benedykcie Dybowskim.

Wówczas padało drugie pytanie: — A kto to taki?...

Pytanie to stawiało mnie w kłopotliwym położeniu. Nie wiedziałem, jak na nie odpowiedzieć. Łatwiej jest bowiem napisać książkę o Dybowskim, niż w kilku słowach powiedzieć, kim on był!

Ale o Dybowskim napisać książkę też nie jest łatwo. Łatwo jest bowiem napisać książkę o wybitnym człowieku, który szedł przez życie w jakimś określonym kierunku, pracował w jednej dziedzinie. Był wybitnym wodzem, mądrym i szczęśliwym politykiem, znakomitym uczonym, sławnym podróżnikiem itp. Im jednak szerszy zakres miała działalność danej jednostki, tym trudniej ją scharakteryzować, tym trudniej przedstawić jej życie tak, by niczego nie pominać i zachować należyłą proporcję między różnymi dziedzinami tego życia. I na tę właśnie trudność natrafia się przy Dybowskim. Zainteresowania i działalność tego człowieka były tak różnorodne, że materiału starczyłoby na pięciu ludzi, przy czym o każdym z łatwością można by napisać książkę objętości takiej, jak ta, w której ja właśnie musiałem zmieścić monografię tego wszechstronnego człowieka.

Na wstępie pragnę powiedzieć parę słów o źródłach, z których czerpałem przy pisaniu tej książki. Przede wszystkim więc z publikacji samego profesora Dybowskiego — głównie z Jego pamiętników¹⁾ oraz z licznych Jego artykułów w czasopiśmie. Ponadto

¹⁾ W tekście niniejszej książki autor posługuje się głównie cytatami zaczerpniętymi z następujących prac prof. B. Dybowskiego:

„Pamiętnik dra Benedykta Dybowskiego od roku 1862 zaczawszy do roku 1878“. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1930.

„O Syberii i Kamczatce. Część I: Podróż z Warszawy na Kamczatkę. Napisał dr B. Dybowski“. Gebethner i Wolff, Warszawa 1912 (przyp. red.).

z rękopisów, których sporo znajduje się we Wrocławiu w *Ossolineum*. Niestety, nie wszystkie, niektóre bowiem — jak mnie poinformowano — zagięły.

Ważnym źródłem są też listy. Listów Dybowskiego pisanych do mnie jest około sto. Niektóre z nich zawierają ciekawe wypowiedzi.

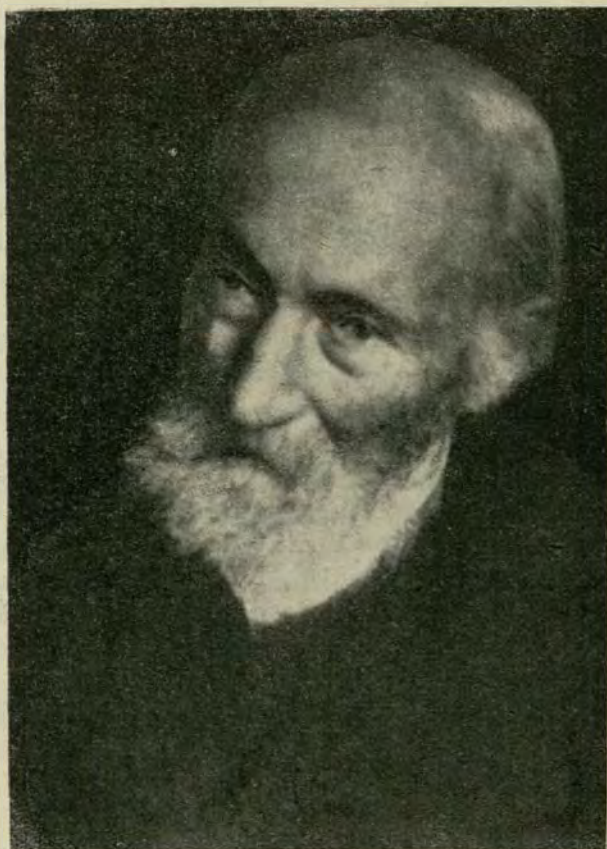
Uwzględniam też to, co pisał Dybowski do profesora antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego Juliana Talko-Hryncewicza, a co ten zamieścił w swym wspomnieniu o Dybowskim.

Biorę także pod uwagę osobiste wypowiedzi Dybowskiego, z którym łączyła mnie zażyła przyjaźń i z którym dużo rozmawiałem. Staram się jednak nie opierać wyłącznie na tym, co słyszałem tylko z ust Dybowskiego, a co nie zostało przezeń napisane. Pamięć jest bowiem zawodna i zbyt łatwo jest coś przekreślić.

Wszystkim tym, którzy przyszedli mi z pomocą przy pisaniu tej książki — czy to przez dostarczenie literatury, czy też jakichkolwiek materiałów — w szczególności Władysławie Dybowskiej, wnuczce profesora, składam gorące podziękowanie.

Specjalne podziękowanie należy się również doktorowi Kazimierzowi Stolyhwie, profesorowi antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, który napisał jeden z rozdziałów tej książki. Pozwoliło mi to uniknąć trudności, jakie miałbym, gdybym musiał omawiać działalność Dybowskiego na polu antropologii. Nie mówiąc już o tym, że rozdział ten, pisany przez antropologa, ma bez porównania większą wartość, niż gdyby był pisany przeze mnie.





Dr. B. Sybonyński.

SYLWETKA CZŁOWIEKA
(Na tle wspomnień osobistych)

„Będąc jeszcze pacholęciem — pisze dr Julian Talko-Hryncewicz — słyszałem na Litwie od powracających z Syberii wygnańców o życiu i czynach Dybowskiego. W długie zimowe wieczory wsłuchiwałem się — jakby w opowieści o Robinsonie — jak to Dybowski z Dubieckim i Kietlińskim¹⁾ budowali chatę w Darasuniu lub rąbali lód, by zakładać sieci dla połowu fauny Bajkału; jak to znowu Dybowski, przygotowując się do ekspedycji po Amurze, budował statek, a w końcu niósł pomoc trędowatym na Wyspach Komandorskich. Te opowiadania wydawały mi się tak fantastyczne i czarujące, że z latami dla bohaterstwa Dybowskiego nabrałem pewnego pietyzmu. Podziwiałem przez długie lata jego niezmordowaną i wytrwałą pracę, której nie zaniechał do grobowej deski“.

Dr Talko-Hryncewicz, profesor antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, należał do starszego niż ja pokolenia. Trudno mi też powiedzieć, czy pietyzm dla Dybowskiego był w tym pokoleniu powszechny. Sądzę jednak, że tak. Nie wyobrażam sobie bowiem, by ktokolwiek, zapoznawszy się z tak rozległą i wspaniałą działalnością znakomitego uczonego, nie nabrał dla niej podziwu i najwyższego szacunku.

W każdym bądź razie w pokoleniu moim od wczesnej młodości — a pamiętam to dobrze zarówno ze szkoły średniej w Warszawie, jak i z okresu studiów uniwersyteckich w Krakowie — nazwisko Dybowskiego było wymieniane z wielką czią przez wszystkich przyrodników. Był on dla nas ideałem najwyższych wartości człowieka, obywatela i uczonego.

Mieszkańcy Wysp Komandorskich, z którymi Dybowski stykał się w czasie swych prac badawczych, mają dlań kult w pełnym zna-

¹⁾ Marian Dubiecki i Stanisław Kietliński — powstańcy 1863 r. zesłani wraz z Benedyktem Dybowskim na Syberię (przyp. red.).

czeniu tego wyrazu. Oczywiście kult ten powstał tam z zupełnie innych przyczyn niż cześć dla Dybowskiego w Polsce. Wspominam tu o tym tylko dlatego, by sylwetka wielkiego przyrodnika nabrała w oczach Czytelnika od razu należytego wyrazu, by mógł się on zorientować, jak olbrzymia była skala działalności Dybowskiego i o jak różnorodne zazębiała środowiska.

Przejęty najwyższą czcią dla Dybowskiego, jakże się cieszyłem, gdy wreszcie miałem go poznać osobiście. Było to zaraz po pierwszej wojnie światowej. Bylem wtedy kustoszem Muzeum Zoologicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Korespondowałem już wówczas z Dybowskim. A korespondencja nawiązała się dlatego, że opracowywałem jego zbiory z Syberii Wschodniej.

Otóż w jednym z listów do Dybowskiego wspomniałem, że wybieram się do Lwowa, dokąd powołują mnie różne sprawy naukowe. Dybowski, wówczas już emerytowany profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza, mieszkał w dalszym ciągu we Lwowie. Odpisując prosił, bym po przyjeździe do Lwowa zatrzymał się u niego.

Zaproszenie to potraktowałem jako zdawkową uprzejmość. Nie znałem wówczas Dybowskiego i nie zdawałem sobie sprawy z jego prostego, szczerego, pozbawionego wszelkiej obłudny stosunku do ludzi. Dziękując serdecznie odpisałem, że nie mogę przyjąć tak zaszczytnego dla mnie zaproszenia, nie mogę bowiem narażać pp. Dybowskich na kłopot i zamieszanie, które powstaje, gdy w domu gości ktoś obcy. Na to odwrotną pocztą dostaję list, w którym Dybowski ponawia zaprosiny w sposób wykluczający wszelką odmowę.

Do listu dołączony był szkic drogi z dworca kolejowego do willi Dybowskiego. Zapewne w przewidywaniu, że drogę tę będę musiał przebyć piechotą. Było to bezpośrednio po wojnie. Tramwaje we Lwowie nie kursowały, a dorożkę nie zawsze można było zdobyć. Liczył się też — jak myślę — Dybowski z tym, że nie będę sobie mógł pozwolić na stosunkowo duży wówczas wydatek na dorożkę. W załączeniu tego szkicu było więc dużo subtelnej uprzejmości. A jednocześnie było to podkreślenie, że zaproszenie obowiązuje bezwzględnie.

W jakiś czas później dzwonię więc do willi Dybowskiego we Lwowie. Jeśli dobrze pamiętam — ul. Zaścianek, willa „Biały Dworek“. A gdy kilkakrotne dzwonienie nie daje rezultatu, w przekonaniu,

że dzwonek zepsuty, zaczynam łomotać. Po chwili przez oszklone drzwi widzę, jak niewielki, szczupły staruszek schodzi z pierwszego piętra. Oczywiście Dybowski! Otwiera drzwi i wita. Serdecznie, pocałunkami jak starego, dobrego przyjaciela... A wszak widział mnie po raz pierwszy i gdym wszedł, musiałem się przedstawić.

Przytaczam ten epizod dlatego, że lepiej on charakteryzuje człowieka niż jakiegokolwiek długie opisy. Dla Dybowskiego — mimo że widział mnie po raz pierwszy — nie byłem jednak człowiekiem obcym. Byłem naukowcem o takich samych zainteresowaniach, jak on, byłem więc mu bliski.

Gdy przepraszam za hałas spowodowany przez dobijanie się do drzwi, przerywa mi:

— Dobrześ Pan zrobił stukając! Na dole nie ma w tej chwili nikogo, a ja, gdy siedzę u siebie na górze i pracuję, to dzwonka nie słyszę. Więc nie ma za co przepraszać. To raczej ja winien jestem, żeś Pan (Dybowski zawsze używał w rozmowie tej formy, będącej w powszechnym użyciu w połowie ubiegłego wieku) zmitrzążył tyle czasu u drzwi. Ale gniewałbym się raczej, gdybyś Pan odszedł nie próbując wszelkich sposobów dostania się do mnie.

Był tu u mnie niedawno pewien przyrodnik z Krakowa i zostawił bilet wizytowy. Potem okazało się, że dzwonił, a gdy mu nie otworzono, odszedł. Niedolęga! Cieszę się, że Pan takim nie jesteś.

Po pierwszej wymianie słów i zainstalowaniu mnie w pokoju gościnnym idziemy do pokoju Dybowskiego.

Mówi: — Nie proszę Pana do saloniku. To dobre przy oficjalnych wizytach. Nam lepiej się będzie rozmawiało w moim pokoju.

I istotnie dobrze nam się rozmawiało. Z przerwami na obiad i kolację — ta pierwsza nasza rozmowa przeciągnęła się głęboko w noc.

Gdym później o tym komuś wspomniał, usłyszałem uwagę: — Jak to, rozmowa z człowiekiem, którego widziało się po raz pierwszy, trwała tak długo?!

Odpowiedziałem: — To właśnie dlatego, że widzieliśmy się po raz pierwszy, mieliśmy sobie tyle do powiedzenia.

Nie zawsze ludzie, którzy widzą się po raz pierwszy, są sobie obcy. Jak już wspomniałem, dla Dybowskiego zoolog o takich

samych zainteresowaniach, nawet tak młody, jak ja wówczas, był już z tytułu tych zainteresowań człowiekiem bliskim. A zbliżało nas specjalnie to, że byłem kustoszem Muzeum, w którym on pracował za czasów swej profesury w Szkole Głównej i które później wzbogacił swymi wspaniałymi zbiorami z Azji północnej.

Pokój Dybowskiego stanowił zarazem jego pracownię naukową. Pod oknem stół z mikroskopem. Obok akwarium. Mnóstwo książek i czasopism porozkładanych na półkach, stole, krzesłach. Rękopisy, różne szpargały, pojedyncze numery dzienników. Na ścianach fotografie Bajkału, okolic Władywostoku i innych okolic Azji północnej. Fotografie starych przyrodników i przyjaciół.

Pierwsze wrażenie przy wejściu — to wrażenie nieładu. Wrażenie mylne. Jak się później przekonałem, w tym pozornym nieładzie Dybowski orientował się świetnie i bez straty czasu znajdował wszystko, co mu było potrzebne. Pozorny nieład wynikał raczej z braku miejsca, pokoik był bowiem niewielki.

Siadamy przy stole. Z jednej strony Dybowski, starzec niemal dziewięćdziesięcioletni, z drugiej ja, nie mający wówczas lat trzydziestu.

Rozmawiamy. Ale właściwie mówi prawie tylko Dybowski. Ja słucham. Rozmowa nie toczy się wyłącznie na tematy naukowe. Dybowski porusza najrozmaitsze zagadnienia. W miarę tego, jak mówi, zaczynam rozumieć jego postawę duchową. Zaczyna mi się coraz wyraźniej zarysowywać sylwetka tego niezwykłego człowieka. Zaczynam rozumieć jego życie i działalność. Każda jego praca, wszelkie poczynania sprowadzały się właściwie do służby społecznej. Dewizą jego była praca dla postępu, dla całej ludzkości. Z zadziwiającą w jego wieku łatwością odrzucał Dybowski wszelkie konwencje, wszelkie strupieszale idee. Rozumiał, że by budować nowy, lepszy świat, trzeba zburzyć w starym to, co jest niepotrzebne, co jest przeżytkiem i przeszkadza postępowi. Drogę do postępu widział on przede wszystkim w oświeceniu wszystkich warstw społecznych i uświadomieniu przyrodniczym warstw „oświeconych“. Postęp był dlań ściśle związany z przyrodniczym poglądem na świat. Wstecznictwem była dlań religia, więc ją zwalczał. W alkoholu widział truciznę, jedną z najgroźniejszych, prowadzącą do zguby jednostki i degenerującą całe pokolenia. Był więc nieprzejednanym wrogiem alkoholu. Ani w działaniu, ani w poglądach nie uznawał kompro-

misu. Rozpatrując jakieś zagadnienie szukał jego rozwiązania — w swoim przekonaniu — społecznie najkorzystniejszego.

To, co wyżej powiedziałem o Dybowskim, stwierdziłem nie tylko na podstawie tej pierwszej naszej rozmowy. Później wielokrotnie jeszcze rozmawiałem z nim na różne tematy. Zawsze wyowiadał się z tym samym temperamentem, wiarą w prawdę i słuszność swych przekonań.

Wracam jednak do tej pierwszej mojej wizyty. Szczególnie ożywia się Dybowski, gdy zaczyna mówić o badaniach Azji północnej i wschodniej, zwłaszcza o badaniach Bajkału. Wybiera się tam, aby kontynuować swe epokowe badania. Proponuje mi wspólny wyjazd. A projekty te brzmią tak, jakbyśmy mieli jechać np. na badanie Gopla! Nieważne są trudności... Jest w tym tyle młodzieńczości i wiary w swe siły, że słowa te — słyszane z ust starca — czynią przedziwne wrażenie.

Sluchając przynykam oczy... I oto wydaje mi się, że ja jestem starym, zrównoważonym człowiekiem, niezdolnym już do rozwinięcia takiego zapału, takiego rozmachu w projektach pracy na przyszłość, jak ten młodzieniec, którego słucham. Otwieram oczy i widzę przed sobą — starca... I właśnie ten kontrast między zgrzybiałym ciałem a młodzieńczą duszą sprawia fascynujące wrażenie. Dybowski umierając miał 97 lat. Ale umierał młodo. Zestarzało się jego ciało, jego metryka. On pozostał młodym.

W kilka lat później był Dybowski w Warszawie. Przyjechał do Muzeum Zoologicznego w związku ze swą pracą naukową. Pewnego dnia gościł u mnie na obiedzie, na którym było więcej osób, nie tylko przyrodników. Otóż po obiedzie panie, które brały w nim udział, orzekły zgodnie, że spośród kilku obecnych panów najbardziej interesującym był Dybowski. W istocie on był duszą rozmowy, był tym, który ze swobodą świetnego rozmówcy nadawał jej interesujący przebieg. Taki, jaki pociągał wszystkich, nie tylko przyrodników.

Nie chodził na koturnach. Nie było w nim nic sztucznego. Nie potrzebował sobie dodawać powagi. Reprezentował tak wielkie wartości, że mógł być zupełnie naturalny. Stosunek jego do ludzi był prosty, serdeczny: taki sam do starego, poważnego uzonego, jak do młodego adepta nauki.

Od tego pierwszego spotkania we Lwowie zaczęła się nasza przyjaźń, która przetrwała do jego śmierci. Dziwna przyjaźń ludzi,



Jeziro Bajkał

których dzieliła, trudna zdawałoby się do przebycia, przepaść około 60 lat. Ale przepaść tę Dybowski potrafił tak wypełnić, że w stosunkach naszych nie było nic sztucznego. I nigdy nie zaistniała taka sytuacja, w której wyczułbym czy to różnicę wieku, czy też wielką różnicę zasług naukowych.

Gdym poznał Dybowskiego, miał on lat prawie 90. Toteż by dać obraz jego postaci w pełni rozwoju fizycznego, zacytuję znowu profesora Talko-Hryncewicza: „Oto jak przedstawia się nam Dybowski w czasie męskiego swego rozwoju. Wzrostu średniego (do 169 cm), o mocnej budowie kostnej, o szerokich ramionach, wypukłej klatce piersiowej, krępy, barczysty, o silnie rozwiniętym układzie mięśniowym. Trzymał się prosto, chód miał równy, w ruchach jednak powolny. Na szerokich ramionach i dość grubej szyi osadzona była wielka głowa, potężnie rozbudowana w oddzielnych częściach. Włosy na głowie i zarost na twarzy miał Dybowski ciemnobłond. Oczy jasne, barwy jasnoblękitnej, przyrównać można było do kwiatu

niezapominajek. W młodości żywe, w starości zamglone, przy rozmowie ożywiały się. Wyraz ich marzycielski — o rzadkim spokoju i łagodności“.

Dybowski z wykształcenia był lekarzem, ale naukowo pracował głównie w dziedzinie zoologii. W pewnym okresie swego życia objął katedrę zoologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Na katedrę tę powołano go z Kameczatki. Ale i to nie wystarczało do wyladowania się jego niespożytej energii. Myślał o poprawie bytu mieszkańców wysp leżących na wschodzie Azji. Myśl tę wprowadził w czyn. Aklimatyzował renifery na Wyspie Beringa.

Oto jak wszechstronna jest działalność tego niezwykle człowieka i na jak wielkich przestrzeniach Eurazji pozostały po niej ślady. Jego główne zasługi naukowe polegają na badaniu Syberii Wschodniej, zwłaszcza Bajkału. Mówi się o nim, że „Dybowski odkrył Bajkał“.

W Polsce był profesorem zoologii. Był członkiem Akademii Nauk w Leningradzie. Po Bajkale pływa statek zbudowany specjalnie do badań naukowych; nazywa się „Benedykt Dybowski“. Na Wyspie Beringa — ten zdecydowany ateista — czczony jest jako „Dobry, Biały Bóg“, który „stworzył“ rena, dając przez to podstawy dobrobytu mieszkańcom Wyspy.

Kończąc te osobiste wspomnienia pozwolę sobie tu przytoczyć dedykację, którą wypisał mi Dybowski na ostatniej swej fotografii przysłanej na krótko przed śmiercią. A widać zdawał sobie sprawę z tego, że wkrótce umrze. Oto słowa tej dedykacji: „Przed odlotem w sfery Niebytu — P. Januszowi Domaniewskiemu na pamiątkę naszej serdecznej przyjaźni. Dr B. Dybowski“.



DZIECIŃSTWO I LATA MŁODZIEŃCZE

Benedykt Tadeusz Dybowski urodził się 29 kwietnia 1830 roku w Adamarynie we dworze szlacheckim średniej zamożności.

W domu jego rodziców panował nastrój patriotyczny. Bardzo żywe były tam wspomnienia niepodległej Polski przedrozbiorowej, tradycje powstania kościuszkowskiego, wojen napoleońskich i powstania listopadowego. W tej atmosferze urodził się i wzrastał.

Młodość miał pogodną, tak jak pogodne było później jego życie, mimo że wypełniły je walki i zmagania.

Oto jak opisuje Dybowski fragmenty swej młodości: „... w Adamarynie, powiatu mińskiego... mieszkali rodzice naszej matki, Przyściecy: Benedykt i Franciszka z domu Lenkiewiczówna...

Adamaryn była to śliczna miejscowość, otoczona półkolem pięknych gajów brzozowych, z przymieszką sosen i świerków, wśród pagórkowatej okolicy. Przez duży ogród przepływał strumień, którego wody spadały kaskadą do stawu; w pobliżu jego stał dom murowany, biało tynkowany i drewniana oficyna...

Z babką odwiedzaliśmy wieśniaków, ona leczyła chorych, miała całą apteczkę domową; w ogrodzie uprawiała ziola rozmaite lecznicze; rebarbar, rumianek, miętę, szalwię; uczyła nas zbierać ziola, suszyć i używać; pod jej kierownictwem nabierałem powołania do zajęć leczniczych“.

W Adamarynie, Tonwach, gdzie było stałe mieszkanie jego rodziców, i w Siennicy (pod Mińskiem), siedzibie ciotki, upłynęły dziecinne lata Dybowskiego.

Gimnazjum kończył Dybowski w Mińsku. Było to gimnazjum rosyjskie, rządowe. Szkół polskich nie było wówczas. Ale carska szkoła rosyjska, prowadzona oczywiście w duchu wybitnie antydemokratycznym i rusyfikacyjnym, nie zdołała w nim zabić gorącego patriotyzmu.

Przez pierwszy rok nauki w gimnazjum mieszkał Dybowski w „Internacie szlacheckim“. Zadaniem internatu było uzupełnianie tego kierunku, w którym było prowadzone gimnazjum.

„Rok wstąpienia mego do gimnazjum — pisze Dybowski — był rokiem otwarcia internatu szlacheckiego («Dworianskij pansion»); miał on wedle programu rządowego przygotowywać młodzież szlachecką na biurokratów cywilnych i wojskowych. Na modłę wojskową były ustanowione nasze mundury; mieliśmy czapki kroju rosyjskiego, z lampasem czerwonym i białą obwódką u góry, kurtki «kadeckie» ze stojącym kołnierzem czerwonym jako ubiór codzienny; następnie fraki oficerskiego kroju z czerwonym kołnierzem i o złotych galonach służyły nam w dnie świąteczne i galowe. Za płaszcz i paltot mieliśmy sznyel wojskowy niebieskawego koloru z czerwonym kołnierzem stojącym. Zamierzano wprowadzić tresurę wojenną, którą zarzucono jednak z powodu braku odpowiednich sił do jej przeprowadzenia“.

W gimnazjum już zaczęły się w Dybowskim rozwijać zamiłowania przyrodnicze. Oto co pisze na ten temat: „Do nauk przyrodniczych mieliśmy pociąg wielki, ale nie znajdowaliśmy ani kierowników, ani podręczników. Hodowaliśmy różne zwierzęta ssące, ptaki i ryby; założyliśmy małe akwarium w ogrodzie Podolińskich. Okazów nam dostarczał rybak mieszkający nad Nimizą, Filip Kuncewicz, albo też sami łowiliśmy je w owej rzecze. Pewnego razu o mało co że nie byłem odkrywcą niezmiernie ciekawego i ważnego faktu, mianowicie przeobrażenia, czyli metamorfozy u ryb. Było to latem; przechodząc przez most na Nimizie z kolegą Rybaltowskim spostrzegłem jakieś nieznanne mi rybki czepiające się kamieni i poruszające się jak pijawki, gdy te pływają; udałem się natychmiast do Kuncewicza z zapytaniem, co to za rybki, i z prośbą o pomoc przy łowieniu. Ten oświadczył nam, że to nie są ryby, lecz «wiereciennice», te zaś rodzą się — powiadał — z robaków żyjących w ile, owe robaki nazywają «robaczycami». Ja, Rybaltowski i syn Kuncewicza, zrzuciwszy dolne ubranie i obuwie, wleźliśmy do rzeczki i złowiliśmy kilka «wiereciennic» do małego naczynka glinianego; z tą zdobyczą wróciłem do domu i tu dowiedziałem się, że są to młode minogi i że to, co plótł Kuncewicz o robaczycach, jest fantazją rybacką. Niestety zadowolilem się tą wiadomością, nie starając się zbadać prawdy opowiadania Kuncewicza. Dopiero w dziesięć lat potem, bawiąc w Berlinie, do-

wiedziałem się z ust samego odkrywcy, prof. Augusta Müllera, że robaczyca (*Ammocoetes branchialis*) jest stanem młodocianym minoga strumieniowego (*Petromyzon planeri*)“.

Przytaczam tu te słowa Dybowskiego, by wykazać, jak już we wczesnej młodości zwracał on baczną uwagę na otaczającą go przyrodę i jak żądny był pogłębienia zdobytych przez się wiadomości. Niestety nie miał nikogo, kto mógłby mu udzielać rad i wskazówek. Przyrody w gimnazjum wówczas nie uczono. Można to wnosić ze wspomnień Dybowskiego, który, charakteryzując poszczególnych swych nauczycieli, nie mówi o nauczycielu przyrody. Gdyby taki był, niewątpliwie o nim pisałby przede wszystkim.

Sądzę, że należy zapoznać się z tym, co pisze Dybowski o swych nauczycielach. Wytworzy nam to dokładny obraz tego, czym było ówczesne carskie gimnazjum w Mińsku i co mogło dać swym wychowankom:

„Nauczyciele mało mieli wpływu na nas. Dyżurni nauczyciele: Jacot — Francuz i Schmell — Niemiec odbywali czynność swoją pańszczyźnianym sposobem, nauki języków nie miały najmniejszego znaczenia; kto nie znał tych języków z domu, ten w szkołach niczego nauczyć się nie mógł. Nielepiej było z łaciną i greką. Język rosyjski w niższych klasach wykładał Bohowlenski, lubiany powszechnie, lecz nie umiejący ani zachęcić do nauki, ani utrzymać małych w rygorze. Niemieckiego uczył w klasach niższych niejaki Schumann, podobno piekarz z profesji. Arytmetykę wykładał Czyżyk, bardzo dobry nauczyciel; jego wykład interesował wszystkich i każdy z nas starał się zasłużyć na pochwałę nauczyciela; na nieszczęście wszakże nasze porzucił gimnazjum już po roku; zastąpił go Hrynkiewicz, który popsul całe studia matematyczne swoją nieudolnością i nie-taktem wobec uczniów. Geografię wykładał Szablowski; trzymał się ściśle szablonu programowego, wymagał kreślenia z pamięci map geograficznych, ale zachęcić do przedmiotu nie umiał. Nauczyciel historii Katanski nie był to zły człowiek, pijak wprawdzie, a do tego fanatyk prawosławia, nie prześladował jednak młodzieży. Poza podręcznikiem nic nie widział i kazał klepać historię na pamięć. Rianzański, łacinnik, był poczciwiną bez wszelkich pretensyj do kształcenia uczniów na lingwistów. Grebienszczikow, przysłany z Połocka, gdzie był pedelem, na nauczyciela języka rosyjskiego i literatury rosyjskiej, był biczem bożym, zesłanym na gimnazjum mińskie;

on to rozpoczął erę »abrusjenija« młodzieży, prześladował wszystkich i wszystko. Sam nie znając ani literatury, ani języka rosyjskiego, dręczył uczniów wymaganiami wprost dziwacznymi, a tym właśnie odstręczał od nauki; pijak w całym znaczeniu tego wyrazu.

Dla dopełnienia obrazu personelu nauczycielskiego wspomnę i o drugim łacinniku, wykładającym w niższych klasach: był to Andrejewski, pijaczyna, gbur, brutal i łapownik. Katechetami nie mogliśmy się pochwalić; byli nimi — ks. Bejnarowicz, o którym powiadano, że »gdyby nie jego bas, to by świnię pasł«, i kanonik Nowicki, libertyn, cynik i amator szampana. W klasach wyższych bawił uczniów opowiadaniem wcale nieprzyzwoitymi.

Osobistością wyróżniającą się z całego grona naszych nauczycieli był Rodziewicz. Słuchacz Uniwersytetu Moskiewskiego, człowiek wykształcony, moralny, trzeźwy, biegły matematyk, doskonały fizyk, był asystent przy katedrze fizyki w Moskwie, imponował wszystkim swoją wiedzą wszechstronną, swoim taktem i pięknymi wykładami. Zaraz po przybyciu do Mińska urządził w gimnazjum stację meteorologiczną, uczył nas zapisywać obserwacje; w gabinecie fizycznym robiliśmy sami różne doświadczenia. Nawet z przedmiotami nieobowiązującymi poznajmy nas po trochu, tak np. z początkami chemii⁴.

Dziwna to była szkoła, w której tylko jeden nauczyciel był na poziomie, a dodatnią cechą innego stanowiło to, że nie prześladował młodzieży. Szkoła, której zadaniem było nie tyle kształcenie młodzieży, ile jej wynaradawianie i wypaczanie charakterów.

A jednak ze szkoły tej wyszedł Dybowski bez skazy. To, co może niejednego zламаło, jemu dało tylko hart ducha.

Byli jednak i inni, których ten system nie zламаł. Do tegoż bowiem gimnazjum chodził znakomity kompozytor Stanisław Moniuszko, astronom Michał Hruszniewicz, pisarz Jan Chodźko, zasłużony badacz przyrody Ameryki Południowej Konstanty Jelski, założyciel i długoletni redaktor *Wszeczeńswiata* Bronisław Znatowicz, słynny antropolog Teofil Chudziński.

Z czasów gimnazjalnych Dybowskiego jeszcze jedno zasługuje na uwagę. Ten wybitny intelektualista i uczonec był sportsmenem. Należał do gimnazjalnego koła sportowego. Członkowie tego koła uprawiali grę w piłkę, bieganie, pływanie, konną jazdę.

Jak bardzo przydała się później Dybowskiemu ta zaprawa fizyczna w czasie jego naukowych podróży po Azji!

Po ukończeniu gimnazjum studiuje Dybowski medycynę i przyrodę w Dorpacie. Ale z powodu udziału w pojedynku, w którym był sekundantem, musi jednak Dorpat opuścić. Studiuje więc dalej we Wrocławiu, a następnie w Berlinie. Tu uzyskuje doktorat medycyny. Jego rozprawa dysertacyjna — to praca przyrodnicza, zoologiczna. Tytuł jej : *Commentationes de parthenogenesi specimen.* (Rozprawy o zjawisku partenogenezy — dzieworódtwa). Nie jest to zresztą jego pierwsza praca, jeszcze bowiem w Dorpacie uzyskał złoty medal za pracę o rybach: *Ueber die Süßwasserfische Livlands.* (O rybach słodkowodnych Inflant).

Po zdaniu doktoratu w Berlinie wraca Dybowski do Dorpatu w celu nostryfikacji swego dyplomu. Ma z tym pewne trudności z powodu udziału w demonstracjach narodowych w Wilnie. Po przezwycięzeniu tych trudności uzyskuje jednak doktorat Uniwersytetu Dorpackiego, również na podstawie pracy zoologicznej. Ta druga jego dysertacja traktuje o rybach: *Versuch einer Monographie der Cyprinoiden Livlands nebst einer synoptischen Aufzählung der europäischen Arten dieser Familie.* (Próba monograficznego ujęcia karpiowatych Inflant oraz jednoczesne zestawienie z gatunkami europejskimi tej rodziny).

PROFESURA W WARSZAWIE.
UDZIAŁ W POWSTANIU STYCZNIOWYM

Ta ostatnia praca była już czwartą publikacją naukową Dybowskiego. Podobnie jak poprzednie, zyskała ona sobie duże uznanie w świecie naukowym. Wyrazem tego, między innymi, było powołanie Dybowskiego na katedrę zoologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Ponieważ słyszałem różne wersje o tym powołaniu, a jedne przeczą drugim, sądzę tedy, że należy podać opis tego, skreślony przez samego Dybowskiego w liście do mnie. Zacytuję dłuższe fragmenty tego listu, bo jest on wiecej charakterystyczny. Pisany był 16 lutego 1920 roku.

Tu wyjaśnić muszę, że w czasie tym byłem kustoszem Muzeum Zoologicznego Uniwersytetu Warszawskiego i na skutek scysji z profesorem Janickim musiałem ustąpić. Dybowski bardzo się tym przejął i starał się sprawę ułożyć, co się jednak zrobić nie dało. W liście tym zawiadamia mnie właśnie o swych staraniach i pociesza wiedząc, jak bardzo przywiązany byłem do tego Muzeum i jak wielkie znaczenie dla mnie miała praca w nim.

Pisze tedy: „Nie trać Pan energii, nieraz los ślepy lepiej się dla nas układa, niż na razie nam się zdaje. Oto opowiem Panu historię krótką z mojego żywota:

Powołany zostałem przez Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Krakowskiego na katedrę zoologii. Ten nieoczekiwany zaszczyt, ucieszył mię niezmiernie. Wyjechałem z Dorpatu uradowany, przybyłem do Warszawy, wszyscy przyjaciele moi winszowali mi...

Widząc radość moich przyjaciół z racji zaszczytnego powołania mnie do Krakowa, zdawało się mi, że wywieram na ludziach wrażenie dodatniej natury, więc to dodawało mi otuchy, że zdołam godnie odpowiedzieć zaszczytowi. Po przybyciu do Krakowa otoczony byłem taką szczerą życzliwością ze strony wszystkich profesorów Uniwersytetu, którym złożyłem wizyty dziękczynne, że zdawało mi

się, iż jestem otoczony przyjaciółmi najszczerzszymi: prof. Czerwiakowski, Czyrniański, Dietl, Kuczyński, Kozubowski, Hoyer, Skobel otaczali mnie iście braterską albo ojcowską opieką. Prof. Czyrniański zmusił mnie stanąć u niego na kwaterze, a nie w Hotelu Saskim, rozmawiał ze mną przez Ty. Warszawicz, znany w Krakowie jako swat, zaraz po pierwszym widzeniu się zrobił mi propozycję wyswatania jednej z pięknych córek prof. Kuczyńskiego. Zapraszany byłem to na obiady, to na wieczory do rozmaitych profesorów. Tak spędziłem dni kilka pozostając pod wrażeniem, że istny raj ziemski czeka mnie w Krakowie.

Pewnego rana zawitał do mnie pedel uniwersytecki z pisemnym zawiadomieniem od rektora, że mam przyjść na Uniwersytet do kancelarii rektorskiej. Gdym się stawil na wezwanie, Dietl oświadczył, że nadeszła z Ministerstwa odmowna odpowiedź co do decyzji Uniwersytetu Krakowskiego. Otóż prosi, bym wieczorem był u niego w domu, tam się zbiorą pp. profesorowie Wydziału Filozoficznego i postanowią, jak dalej postępować wypadnie.

Wśród przyjacielskiej rozmowy każdy z profesorów wypowiedział swoje zdanie. Ostatecznie stanęło na tym, że mam jechać do Wiednia, widzieć się tam z ministrem Schmerlingiem i prosić o wyjaśnienie motywów odmowy. W taki sposób, sądzą, że postanowienie zapadłe zmienione zostanie przy protekcji posłów polskich do Rady Państwa. Pojechałem do Wiednia. Tu prof. Lorenz, którego byłem poznał w Trieście i Fiume¹⁾ podczas wycieczki naukowej odbywanej z prof. Grubem, wyrobił mi audiencję u ministra Schmerlinga. Na tej audiencji przekonałem się, że p. minister jest «świnia»; przepraszam za ten wyraz, ale on małuje dosadnie wrażenie odebrane wówczas przeze mnie. Obok prostaczego obejścia się ze mną (o czym ustnie opowiem Panu) powiedział, że chyba tylko decyzja monarsza zmienić może decyzję ministra. Więc trzeba podać prośbę na imię monarchy.

Prof. Lorenz napisał taką prośbę, była ona doskonale zredagowana i świetnie umotywowana. Monarchy nie było, zastępował go arcyksiążę Rajner. Wystarano się o audiencję. Odniosłem prośbę osobiście i oddając arcyksięciu prosiłem o rozpatrzenie całej sprawy ponownie. Tu dodam, że starałem się przez różne protekcje trafić

¹⁾ Fiume — obecnie Rjeka (przyp. red.).



Gmach bylej Szkoły Głównej (fotografia z r. 1954 — obecna siedziba zakładów biologicznych Uniwersytetu Warszawskiego)

do arcyksięcia. Niestety na próżno. Czekałem kilka dni i nareszcie w kancelarii cesarskiej powiedziano mi, że arcyksiążę odmówił. Możesz Pan sobie wyobrazić, jakie mną wtedy władaly uczucia.

Ale jeżeli dzisiaj zapytam siebie, czy żałuję obecnie, że nie zajął katedry na Uniwersytecie Krakowskim, to szczerze Panu mówię, że nie żałuję wcale“.

Dybowskiemu nawet nie umotywowano tej odmowy. Nie ulega jednak wątpliwości, że były to względy polityczne. W roku 1861 brał Dybowski udział w manifestacji politycznej w Wilnie. Został aresztowany i deportowany w głąb Rosji. Uwolniono go wkrótce, ale nawet takie krótkotrwałe aresztowanie, które nie pociągnęło jakichkolwiek dalszych konsekwencji, widocznie uważane było w Wiedniu za kompromitację polityczną.

O dalszych swoich losach pisze Dybowski w liście do prof. Talko-Hryncewicza: „Wróciłem do Warszawy i tu uzyskałem posadę adiunkta-profesora w Szkole Głównej...”

I następnie już w „Pamiętniku“: „W chwili gdy wśród młodzieży akademickiej warszawskiej w roku 1862 wrzało i kipiało jak w kotle

stojącym na płomieniach ogniska, rozpocząłem w świeżo wydzwigniętej Szkole Głównej Warszawskiej wykłady zoologii i anatomii porównawczej; przedmioty te po sławnych, genialnych pracach Karola Darwina, ogłoszonych w roku 1859, nabierały znaczenia nowego, o olbrzymiej doniosłości, nieprzeczuwanego nawet przedtem. Miałem być w naszej ojczyźnie pierwszym objaśniającym fakty teorii ewolucyjnej i wskazującym doniosłość, jaką wносиła teoria rzeczona w świat myśli ludzkiej.

Na zebraniach prywatnych młodzieży postępowej warszawskiej objaśniałem już przedtem parokrotnie główne zasady teorii ewolucyjnej, stąd też wiedziano, że jestem jej zwolennikiem, a nadto gorącym wielbicielem Darwina. Więc pierwszy mój wykład miał licznych słuchaczy tak z grona młodzieży, jak też i starszych wiekiem osób. Był wszakże jeszcze i drugi moment zaciekawienia tym odczytem, mianowicie konieczność oświadczenia się w kwestii »rozpolitykowania« młodzieży z ujmą dla strony naukowej...

O obu powyższych kwestiach mówiłem otwarcie i szczerze, co znalazło uznanie wśród młodzieży, czego dowodem była podzięką »za słowa prawdy«, wypowiedziana przez delegację nazajutrz po moim odczycie. Wśród deputacji był August Kręcki.

W rozmowie z deputacją młodzieży wskazałem na trudności przy wykładach z powodu braku wszelkich środków pomocniczych, nie mieliśmy bowiem żadnych preparatów anatomicznych ani tablic rysunkowych objaśniających wykłady opisowe. Ażeby choć w części zaradzić tym brakom, rysowałem sam schematycznie na tablicach tekturowych najbardziej potrzebne przedmioty porównawcze. August Kręcki obejrawszy tablice oświadczył, że będzie mi pomagał przy rysowaniu. Podziękowałem mu za ofiarność, była mi ona wielce pomocną i odtąd datuje się nasza znajomość i przyjaźń, oparta następnie na wspólnych pracach w różnych dziedzinach życia narodowego. Pomimo różnicy wieku — August był 10 lat młodszy ode mnie — żadna dysharmonia nie zamąciła naszych wzajemnych stosunków, byliśmy zawsze jednakich myśli, jednakich pragnień i nadziei dla przyszłości wymarzonej naszej Ojczyzny i całej ludzkości“.

Niestety w „Pamiętniku“ Dybowskiego nie znajdujemy wyjaśnienia, na czym polegały te „słowa prawdy“. Jednak biorąc pod uwagę choćby tylko działalność polityczną Dybowskiego w owych czasach — która, jakkolwiek pochłaniała go w bardzo wysokim stopniu, to jednak nie zdołała go oderwać od pracy naukowej i spowodować zaniedbywanie obowiązków pedagogicznych — sądzić można, że nie było w tych słowach potępienia za „rozpolitykowanie“, jakkolwiek zawierały one zapewne wymówki za zaniedbywanie studiów. Naprowadza nas na to również i światopogląd Dybowskiego, według którego zagadnienia nauki i życia społecznego zazębiają się nawzajem, uczoney nie może więc żyć i pracować w oderwaniu od życia społecznego. Chociaż działalność społeczna czy polityczna nie powinna odrywać uczonego od pracy naukowej i zmniejszać jej wydajności, to jednak ona go obowiązuje. Dlatego uczoney powinien się wypowiadać na różne tematy społeczne, o których, jako stojący na wysokim poziomie intelektualnym, ma wiele do powiedzenia.

W rozmowach niejednokrotnie poruszaliśmy ten temat i w tym duchu właśnie wypowiadał się Dybowski.

W zacytowanych wyżej słowach Dybowskiego należy podkreślić trzy rzeczy: Pierwsza — to ustosunkowanie się do młodzieży. Widać tu, jak od razu między Dybowskim a młodzieżą zawiązała się nić stosunków przyjaznych. Nie podchodził on do młodzieży na koturnach, jak to często czynili inni profesorowie. O tej łatwości współzycia z młodszymi od siebie, tak charakterystycznej dla Dybowskiego, już pisałem. Sprawa druga — to entuzjastyczna ocena doniosłości naukowej i światopoglądowej darwinowskiej teorii ewolucji. Trzecia wreszcie — to łączenie sprawy Polski ze sprawą szczęścia „całej ludzkości“.

Badania naukowe w tych czasach prowadził Dybowski wspólnie z p. Januszkiewiczową. Tematy jego prac ówczesnych to — 1. Zagadnienie powstawania płci, 2. Rozmnażanie się ryby różanki (*Rhodeus amarus*). Badania te zostały przerwane przez aresztowanie Dybowskiego.

Dziś praca naukowa kobiet jest czymś zupełnie naturalnym, tak jak praca w jakiegokolwiek innej dziedzinie życia społecznego. W połowie ubiegłego stulecia była jednak czymś zupełnie wyjątko-



Dybowski (drugi od lewej) wśród przyjaciół przyrodników

wym. Tak więc, podobnie jak w innych dziedzinach życia, był Dybowski prekursorem postępu. Był w Polsce jednym z pierwszych, którzy głosili równouprawnienie kobiet i stawiali ich zdolności umysłowe na równi ze zdolnościami umysłowymi mężczyzn. W roku 1897 wydał Dybowski rozprawę („O kwestii tak zwanej kobiecej ze stanowiska nauk przyrodniczych“, Lwów 1897), w której uzasadnia ten pogląd. A trzeba zdać sobie sprawę z tego, że jeszcze wiele lat później uważano kobietę za istotę niedorównującą mężczyźnie ani fizycznie, ani umysłowo, że całkowite zrównanie kobiety z mężczyzną nastąpiło dopiero w Polsce Ludowej, tak jak i w innych krajach o ustroju socjalistycznym.

W latach sześćdziesiątych Dybowski brał żywy udział w przygotowywaniu powstania styczniowego, o czym tak pisze w liście do prof. Talko-Hryncewicza: „Od r. 1862 należałem do tajnego Towarzystwa Wileńskiego w Warszawie. W sekretariacie Litwy spel-

niałem obowiązki komisarza nadzwyczajnego przy rządzie wileńskim... Przed powstaniem, w czasie Bożego Narodzenia, wysłany byłem na Litwę dla dowiedzenia się o przygotowaniach poczynionych w celach powstaniowych; przed Wielkanocą, już w czasie powstania, zostałem wysłany na Ruś w tymże samym celu. Następnie po aresztowaniu przez rząd austriacki dyktatora Langiewicza wysłany byłem do Pragi czeskiej, ażeby się starać o uwolnienie Langiewicza. Obłożnie chorowałem w tym czasie. Z Trauguttem nie miałem żadnych bliższych stosunków. Widywałem go na posiedzeniach członków Rządu Narodowego, które miały miejsce albo w moim mieszkaniu na ul. Wareckiej, albo w mieszkaniu dr Witolda Jodki na Foksalu, gdzie zawsze byłem obecny...“

A następnie już w „Pamiętniku“: „Za czasów dyktatury Traugutta, gdy niebezpieczeństwo aresztów stawało się coraz większe i groźniejsze, musiano często zmieniać miejsce zebrań sekretarzy wydziałów, których naczelnikiem był Jan Ławcewicz; ostatecznie zabrakło już lokali odpowiednich w mieście, wtedy musiałem się zgodzić na oddanie dla zebrań sekretarzy swego audytorium w gmachu gabinetu zoologicznego. Odpowiedzialność przed władzą Szkoły Głównej była wielka; długo nie mogłem się zdecydować, lecz nagła konieczność zmusiła mnie do tego. Oddałem klucz od sali wykładowej Augustowi i on tu dozorował nad porządkiem zebrań.

Pod koniec stycznia 1864 roku zawiadomił mnie August, że wobec częstych aresztowań na ulicach miasta rzeczą jest wielce niebezpieczną noszenie przez Ławcewicza dużego albumu z kopiami wszystkich nominacji i ze spisem dokładnym rozmaitych rozporządzeń Rządu Narodowego; otóż prosi mnie, abym to album odebrał od Ławcewicza i wziął na przechowanie do siebie. Uznając uwagi Augusta za słuszne, wezwałem Ławcewicza, ażeby po ukończonej sesji sekretariatu pofatygował się do mojej pracowni na parterze gmachu zoologicznego gabinetu... W pracowni preparatorskiej gabinetu zoologicznego wypychał wtedy preparator Stanisław Wysocki antylopę-suhaka (*Antilope saiga* Wagn.). S. Wysocki był gorącym patriotą, należał do organizacji narodowej, a więc był człowiekiem, któremu można ufać. Otóż postanowiliśmy na razie umieścić album we wnętrzu antylopy. Wysocki wykonał to postanowienie, zaszył *lege artis* skórę od dołu i już byliśmy spokojni, zanim otrzymamy decyzję ostateczną.

Po dwóch dniach od daty zaszycia suhaka odebrałem wiadomość, że mam zniszczyć album, zabraliśmy się więc do wyprucia i wyjęcia go z suhaka. Mając go teraz w ręku żał nam było dokonać zniszczenia, uradziliśmy zakopać w ziemi albo wrzucić do sadzawki, jaka istniała wtedy w ogródku poza zabudowaniami Szkoły Głównej“.

Po zabezpieczeniu albumu w dwu cylindrach z blachy cynkowej i obciążeniu ołowiem wrzucił je Dybowski do owej sadzawki.

Sadzawka ta później została zasypana i cenne dokumenty historyczne przypadły na zawsze.

W latach dwudziestych był Dybowski w Warszawie. Poszliśmy z nim do ogrodu uniwersyteckiego, ale nie udało się odszukać miejsca, w którym na dnie wody ukryte zostało album¹⁾. Zresztą, mimo zabezpieczenia w pęcherzu oblanym parafiną i zalutowaniu w podwójnym cylindrze z blachy cynkowej, w ciągu tak długiego czasu dokumenty niewątpliwie uległy zniszczeniu.

Na uwagę zasługuje to, co pisze Dybowski o sympatiach rosyjskich dla Polski w owych czasach. Oto fragment z jego „Pamiętnika“, w którym opisuje on pewną uroczystość w Moskwie zainicjowaną przez p. Januszkiewiczową, córkę generała Małachowskiego, która przed wyjściem za mąż mieszkała z ojcem w Moskwie: „Otóż panna Małachowska urządziła tam w kościele katolickim śpiewy pieśni *Boże coś Polskę*. W ów dzień uroczysty młodzież polska i rosyjska zebrała się tłumnie w kościele; dużo pań Rosjanek przybyło także... W owej chwili prawie cała ludność rosyjska sympatyzowała gorąco z ruchem narodowym polskim; na tej sympatii budowano wiele, sądzono nawet, że oficerstwo wojska rosyjskiego stanie po stronie polskiej“.

Dalej opisuje Dybowski życzliwość ludności Moskwy do zesłańców polskich w drodze na Syberię: „... po przeliczeniu nas, ustawionych w dwa rzędy, prowadzono pieszo od dworca do pałacu namiestnictwa. Ludność Moskwy odnosiła się do nas wielce życzliwie; ko-

¹⁾ Opowiadał mi wówczas Dybowski całą tę historię. Jego opowiadanie jest całkowicie zgodne z tym, co pisze w swych pamiętnikach. Nie wiem więc, na jakiej podstawie prof. Talko-Hryncewicz pisze o zatopieniu „skrzyń z dokumentami historycznymi w sadzawce na dziedzińcu uniwersyteckim“. Jest to oczywiście jakaś pomyłka czy nieporozumienie. Tak jak omyłkowe jest lokowanie przez prof. Talko-Hryncewicza sadzawki tej na „dziedzińcu uniwersyteckim“. W istocie leżała ona w ogrodzie, na tyłach Pałacu Kazimierzowskiego (przyp. aut.).

biety i mężczyźni, nie zważając na plazowanie żandarmów, cisnęli się z »padającym«, czyli jałmużną”.

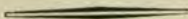
Późniejszą zmianę tego nastroju przychylnego tłumaczy Dybowski wrogą propagandą rządu rosyjskiego, wyrafinowanym judzeniem przeciwko Polsce.

Tu ze swej strony muszę zaznaczyć, że sympatie Rosjan do Polaków były trwale. Nie zdołała ich zabić propaganda i reakcyjna prasa. Miałem sposobność stwierdzić to w czasie swego pobytu w Rosji, w roku 1913 i 1914, mianowicie w Saratowie nad Wolgą.

Jako pracownik Wołżańskiej Stacji Biologicznej, z natury rzeczy byłem w bliskich stosunkach z Rosjanami. Bywałem w domach rosyjskich i wszędzie, właśnie jako Polak, spotykałem się z dużą sympatią. Zrozumiałem wówczas, jaka jest różnica między społeczeństwem rosyjskim a wyrzutkami tego społeczeństwa jadącymi do Polski, by prowadzić tam działalność polakożerczą dla kariery. Z ust samych Rosjan słyszałem wówczas, że olbrzymia większość urzędników państwowych, nie mówiąc już oczywiście o policji i żandarmerii, jadących do Polski na posady — to ludzie zasługujący na pogardę. Postępowe warstwy społeczeństwa rosyjskiego zdawały sobie dobrze sprawę z tego, jak wyglądają rządy carskie w Polsce, i ustosunkowywały się wybitnie negatywnie.

Jeśli jednak u kogoś przebywającego w Rosji dla celów naukowych, a niezaangażowanego w pracy politycznej, wyrobienie sobie takiego sądu jest rzeczą zupełnie naturalną, to wręcz zadziwia u więźnia politycznego, skazanego przez rząd rosyjski na katorgę. Niewątpliwie Dybowski musiał przeżywać uczucia wielkiej nienawiści za tyle krzywdy uczynionej jego ojczyźnie i jemu osobiście, a jednak potrafił się zdobyć na obiektywizm. Potrafił odróżnić Rosję od caratu gnębiącego Polskę. Jakże mało ludzi rozumiało to i w czasie powstania styczniowego, i później.

Natomiast relacje Dybowskiego o tych sługach caratu, z którymi miał do czynienia w Polsce, tchną najwyższą pogardą. I tu jednak widać, jak wynika ona nie z subiektywizmu, a z obiektywnej oceny tych ludzi.



ARESZTOWANIE I ZESŁANIE NA SYBIR

Działalność Dybowskiego w Warszawie nie trwała długo. Wiosną 1864 roku został on aresztowany. Początkowo osadzono go na „Pawiaku“. Następnie przewieziono do cytadeli, do tak osławionego X pawilonu, w którym więziono później tylu bojowników o niepodległość i socjalizm.

Toteż to, co pisze Dybowski o tych więzieniach, jest dla nas specjalnie ciekawe. A pisze w swych pamiętnikach dużo i szczegółowo. Z charakterystyczną dla siebie dokładnością i ścisłością opisuje zarówno samo aresztowanie, jak i pobyt w więzieniu. W opisach tych znajdujemy charakterystykę żandarmów i wszystkich przedstawicieli caratu, z którymi więźniowie mieli do czynienia, nazwiska więźniów i ich charakterystykę, opis cel więziennych, szczegóły życia więziennego, sposoby porozumiewania się więźniów (pocztę więzienną) — w ogóle wszystko, z czym się zetknął z chwilą utracenia wolności.

Pobyt w więzieniach warszawskich był dla Dybowskiego specjalnie uciążliwy, ponieważ chorował on w tym czasie (nieżył przewodu pokarmowego). Już podczas aresztowania był chory, a przebywanie w więzieniu, bez możliwości zachowania diety i leczenia się, pogorszyło stan jego zdrowia.

Brak miejsca nie pozwala mi na przytoczenie odpowiednich wyciągów z „Pamiętnika“ Dybowskiego. Nawet streszczenie opisów pobytu w więzieniu zajęłoby zbyt wiele miejsca, gdyż zajmują one kilkanaście stron. Przytoczę jednak opis wyjazdu:

„Stan mego zdrowia pogorszył się znacznie. Myślałem, że nie dojadę do katorgi; jakaś beznadziejność opanowała mnie całkowicie; byłem zupełnie obojętny na to wszystko, co się dokola mnie działo. Dzisiaj, gdy chcę sobie uprzytomnić chwile spędzone w ostatnich kilku dniach, jakie przebywałem w sali cytadeli, mrok jakiś dziwny zasłania je przed moją pamięcią; wśród tego mroku

majaczy się widzenie u kraty z p. Konstancją Walecką i z p. Wysz-kowską z domu Dybowską. Tu dowiedziałem się, że dn. 10 sierpnia mają mnie wywieźć na Sybir, do katorgi, że wszystko do podróży gotowe, że pakunek będzie mi oddany na dworcu wraz z rejestrem i rachunkiem pieniężnym, ostatecznie — że pożegnają mnie na dworcu petersburskim. Drugi moment, który pozostał w pamięci, jest wy-prowadzenie mnie z sali, atoli widzę to wszystko jak przez mgłę gęstą. Wyprowadzają mnie z gmachu w czasie cieni nocnych, wiodą do jakiejś sali wpółciemnej, tu zakuwają pewną część więźniów w kaj-dany, następnie wiodą wszystkich z tej sali przed cytadelę, gdzie stoją wozy, żołnierze otaczają nas i ruszamy pieszo, a tylko kobiety jadą wozem. Nie kazano wdziwać nam stroju katorżnego, nie golono przez pół głowy, jak to czynią zwykle sądzonym do katorgi. Kobiety jadąc wozem śpiewają *Jeszcze Polska nie zginęła*. Co nas zastanawia — to tłum ludności otaczający kondukt nasz smutny. Konwój żołnierzy dopuszcza do rozmowy więźniów z otaczającym nas tłumem. Ja roz-mawiam ze Stanisławem Wysockim, który przyszedł mnie pożegnać...

Marsz pośpieszny męczył mnie silnie, chwilami tchu mi brakło. Jakiś nieznamomy weiska mi do ręki odezwę naczelnika miasta, Wasz-kowskiego, w której żegna on nas serdecznie, wraz z zapewnieniem, że sprawa walki o wolność trwa dalej i rozwija się pomyślnie. Sta-jemy u dworca kolejowego petersburskiego wśród olbrzymiego tłumu tam zgromadzonego. Dopuszczenie do tego zgromadzenia świadczyć się zdaje, że Moskale chcieli owacyjnie tę deportację przeprowadzić... Wielu z nas pozwolono pożegnać się ze znajomymi i rodziną w poczekalniach na dworcu... wyprowadzono mnie z wagonu więziennego, w którym byłem już pomieszczony, i pozwolono bez asystencji żołnierza pójść do poczekalni. P. Konstancja Walecka, p. Wyszowska i p. Jodkowa doręczyły mi rozmaite przedmioty do dalekiej podróży potrzebne, oddały pakunki z rzeczami oficerowi konwojującemu, wraz z pieniędzmi, które dzięki rozporządzeniu kuratora i rektora Mianowskiego wypłacone zostały za cztery mie-siące (przebyte w więzieniu) z gaży mojej profesorskiej. P. K. Wa-lecka wręczyła mi do rąk pieniądze uzyskane ze sprzedaży moich mebli i innych przedmiotów garderoby mojej, obecnie niepotrzeb-nych. Zapakowano do ręcznego worka mój mikroskop *Benesch Wasser-lein*, lupy dysekcyjne, narzędzia chirurgiczne, małą apteczkę, kilka książek treści naukowej...

...podróż z cytadeli na dworzec petersburski wyczerpała całkowicie moje siły fizyczne; w owej chwili sam byłem tego przekonania, że dni mego życia są policzone i miałem mało nadziei, że dojadę na miejsce wyznaczone mi na Syberii. Walecki i Taczanowski opowiadali mi, gdy wróciłem z Syberii, że wszyscy z moich znajomych, którzy widzieli mnie przed odjazdem, nie spodziewali się, ażebym mógł wytrzymać w dalszych warunkach życia więziennego. Walecki, gdy mi doręczał elegancką łaskę do łowienia ryb, składaną, kupioną za granicą przez hr. K. Branickiego, wypowiedział znamiennej prawdy, że »siła woli przewycięża wszystko«. Tak! postanowiłem walczyć z przeciwnościami i zwyciężyłem. Była chwila rozpacz przy silnym osłabieniu fizycznym, lecz przeszła ona szczęśliwie!“

Przeszła szybko, bo już w wagonie. Dybowski opowiadał mi później o tym wyjeździe z Warszawy i o nastrojach, które wówczas przeżywał. Smutne to były chwile. Brzmiały mu w uszach słowa Mickiewicza:

„Litwo! Ojczyzno moja! Ty jesteś, jak zdrowie;
Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto Cię stracił...“

W pewnej chwili przyszło mi na myśl, by próbować ucieczki. Czuł się jednak źle i był na to zbyt osłabiony. A ucieczka w tym momencie odjazdu była zupełnie możliwa. Panowało bowiem na stacji duże zamieszanie. Dość powiedzieć, że gdy Dybowski po powrocie z poczekalni chciał wejść do wagonu, stojący na warcie żołnierz nie chciał go tam wpuścić. Musiał się Dybowski odwołać do oficera i wytłumaczyć mu, że ma prawo wejść do tego wagonu.

— W wagonie, gdy pociąg ruszył — mówił mi Dybowski — po pewnym czasie wypocząłem i wróciłem do równowagi. Przeszła depresja, znowu poczułem się silny i pełen wiary w przyszłość. Wówczas to przypomniał mi się wiersz Puszkina *Pismo na Sybir*. Nie wiem, czy znasz Pan ten wiersz. — Tu Dybowski bez zająknięcia wyrecytował:

„W głębinie syberyjskich rud
Wytrwajcie dumni, niezawisli,
Nie zginie wasz bolesny trud
I lot wysoki naszych myśli.“

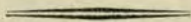
Nadzieja, siostra nieszczęśliwych,
Rozproszy kiedyś mroczny cień
I zbudzi rzeźką radość w żywych.
Nadejdzie upragniony dzień.

Miłości światło i przyjaźni
Dojdzie was przez ponurą noc,
Jak do katorżnej waszej kaźni
Mój wolny dziś dochodzi głos.

Okowy swe rzucicie precz,
Runą ciemnice, brzask zaświta,
Wolność na progu was przywita
I bracia wam oddadzą miecz“.

Jest to tłumaczenie Tuwima. Oczywiście Dybowski recytował wiersz w oryginale.

Byłem zdumiony, jak ten człowiek — zajęty pracą pedagogiczną na wyższej uczelni, pracą naukową i działalnością polityczną, a każda z tych działalności osobno wzięta mogła wszak pochłonąć całkowicie — znajdował jeszcze czas na czytanie poezji. No i ta pamięć fenomenalna!



NA SZLAKU ZESŁAŃCÓW

Zesłanie do katorgi było złagodzeniem kary. Był bowiem Dybowski skazany na szubienicę. Śmierci uniknął tylko dzięki interwencji niemieckich uczonych, głównie działali tu profesorowie Grube i Reichert, którzy za pośrednictwem Bismarcka wyjednali u namiestnika Berga zamianę kary śmierci na zesłanie.

Tak tedy dnia 10 sierpnia 1864 roku rozpoczął Dybowski swą podróż do katorgi¹). Podróż ta trwała kilka miesięcy, bowiem tylko do Niżnego Nowogrodu²) (przez Petersburg i Moskwę) jechało się wówczas koleją. Od Niżnego Nowogrodu dalej na wschód — końmi.

Całą tę drogę opisuje Dybowski w swym „Pamiętniku“ bardzo dokładnie i szczegółowo. Zaraz przy opisie początków podróży podaje, że w wagonie więziennym, którym wyjechał z Warszawy, było 50 osób; 48 wymienia z imienia i nazwiska, a o dwóch podaje, że „nazwiska zapomniano“. Przytaczam ten fakt w charakterze przykładu, wskazującego, jak ścisły jest Dybowski w swych relacjach.

Opis tej podróży do katorgi zajmuje w „Pamiętniku“ Dybowskiego przeszło 100 stron. Znajdujemy tu wszystko, a więc nie tylko nazwiska zesłańców, funkcjonariuszy administracji, więzień, ale również ich charakterystykę fizyczną i psychiczną. To samo w dalszej części „Pamiętnika“, opisującej pobyt w katordze i na zesłaniu. Mnóstwo tu najrozmaitszych danych. Każdy chory, któremu Dybowski udzielał porady, jest opisany dokładnie: on sam, przebieg jego choroby i jej leczenie.

Mieszkania ludności miejscowej i napływowej, jej obyczaje, moralność, światopogląd, tryb życia itd., ceny produktów żywnościowych i w ogóle ceny wszelkich przedmiotów, droga, jej krajobraz, miasta, miasteczka, wsie i osady — wszystko opisane jest ze ści-

¹) Patrz mapa na końcu książki (przyp. red.).

²) Niżny Nowogród — obecnie Gorkij (przyp. red.).

słością i obiektywizmem uczonego. Bogaty, ciekawy materiał znajdzie tu każdy, kogo interesuje Syberia z jakiegokolwiek strony. A więc i przyrodnik, i socjolog, i etnograf, i historyk, itd.

Czytając „Pamiętnik“ Dybowskiego ma się przed oczyma pełny obraz Syberii i jej życia. Gdyby ktoś chciał pisać powieść, której akcja toczy się na Syberii w pierwszych dziesiątkach lat drugiej połowy ubiegłego stulecia, znajdzie tu gotowe nie tylko znakomite opisy różnych środowisk ludzkich i warstw ludności, ale również i typy ludzkie tak scharakteryzowane, że nie im ani dodawać, ani ujmować nie trzeba. Dybowski umiał patrzeć na ludzi, świetnie chwycił ich słabostki, strony śmieszne i istotne cechy charakteru. Miał też duże wyczucie akcji. Jestem głęboko o tym przekonany, że poświęciwszy się komediopisarstwu, zostawiłby po sobie Dybowski spuściznę dużej miary. Ale to już rzecz inna.

Tu, w „Pamiętniku“, nie ma „literatury“. Charakterystyka ludzi podana jest z realizmem godnym wysokiego uznania. Typy dodatnie i ujemne zarówno zesłańców, jak i carskich urzędników opisywane są z zupełną bezstronnością. Jeśli wśród urzędników więzień, etapów czy administracji spotykał Dybowski ludzi głupich, złych, a nawet nikczemnych, to jednak nie tracił poczucia sprawiedliwości, nie uogólniał. Potrafił dostrzec i ocenić ludzi o wysokich wartościach moralnych.

Dybowski był nieprzejednanym wrogiem religii i kleru. Stosunek jego do duchownych wszelkich wyznań był bezwzględnie negatywny. Ale i wśród nich umiał on wynaleźć typy dodatnie, jak np. „otca Iwana“, o którym pisze: „Był on uprzednio parochem w Kułtuku, jest to jedyny pop trzeźwy i dobry, jakiego poznałem na Syberii całej, starał się on zaszczerpić abstynencję wśród ludu, uczył moralności, otaczał się dziećmi; żona jego założyła szkołkę dla dziewcząt, on sam uczył czytać chłopaków. Za naukę nie brał pieniędzy“.

Takie samo ujemne zdanie, jak o klerze, miał Dybowski o całej carskiej administracji Syberii. Podkreślał, że pijaństwo było tu powszechne, a alkoholizm bardzo częsty. Zainteresowania intelektualne minimalne, zupełnie wyjątkowe. Gra w karty bardzo rozpowszechniona; towarzyszyła ona każdemu zebraniu towarzyskiemu. A przy tym obłuda religijna, która specjalnie raziła Dybowskiego, jako ateistę.

Oto jego słowa na ten temat: „Okolo 11 idziemy do cerkwi, ażeby się przyjrzeć, jak Niemcy rosyjsey nisko biją poklony i poznać całą obłudę religijną inteligencji tutejszej. Przypatrujemy się temu wszystkiemu. Najgorliwsi w oznakach pobożności są oczywiście ci, którzy kpią w duchu z całego prawosławia, przezywając je najprostszym bałwochwalstwem. Z obowiązku muszą być na nabożeństwie wszyscy urzędnicy, czy są prawosławni, czy nie; dla ozdoby obrządku są i panie wystrojone. Cerkiew pełna, toteż formie stało się zadość. Ojciec Michał ma gorącą przemowę do wiernych — komedia skończona.

Gdyby nie przymus oficjalny, gdyby nie pewność, że za obłudę dobrze udaną odbiera się nagrodę sowitą, ręczę, że cerkiew świeciłaby pustkami“.

Carskiej administracji Syberii i szerzonej przez nią „kulturze“ wydaje Dybowski najgorsze świadectwo. Obserwując zacofanie gospodarcze i kulturalne Syberii, bardzo pesymistycznie wypowiada się o możliwości postępu w tych dziedzinach. Píše: „Że kiedyś to nastąpi, to pewne, lecz to kiedyś leży poza granicami lat tysięcy“.

Zmieniło się znacznie szybciej, bo w przeciągu lat kilkudziesięciu. Ale Dybowski w swych rozważaniach nie był tak dalekowzroczny, by mógł przewidzieć te kapitalne zmiany, które do życia społecznego i kulturalnego obszarów byłego imperium Romanowych wprowadziła Wielka Rewolucja Październikowa.

Muszę się tu wytłumaczyć z tej dygresji, odstępującej od opisu podróży Dybowskiego na zesłanie. Ale gdy ma się przed sobą „Pamiętnik“ Dybowskiego, to trudno się ustrzec takich dygresji, których sam „Pamiętnik“ jest pełen, co wynika oczywiście z bardzo różnorodnych zainteresowań Dybowskiego. Każde zagadnienie, które go interesuje i o którym píše, zazębia się o tyle innych, równie interesujących. Niejeden opisywany człowiek, fakt, zdarzenie; przebieg akcji nasuwa analogie, przypomina to i owo. Niejednokrotnie bardzo się trzeba zastanawiać nad tym, jakiego czasu dotyczą uwagi wypowiedziane przy opisie zdarzeń. Czy właśnie tych opisywanych czasów, czy też innych, z lat kilkunastu i więcej wstecz?

Gdy już mowa o pamiętnikach, to — jak sądzę — należy powiedzieć kilka słów i o stylu, jakim zostały napisane. Otóż są one pisane niezbyt starannie. Przede wszystkim Dybowski píše w sposób,

w jaki pisano w połowie ubiegłego stulecia. Styl jego jest wybitnie anachroniczny, po drugie zaś używa — bądź to świadomie, bądź nieświadomie — wielu rusycyzmów.

Powyższe stwierdzenie notuję tylko z obowiązku i zastrzegam się, że nie chcę przez to umniejszać wartości tych pamiętników, które oceniam bardzo wysoko.

Wracam tedy do podróży. Oczywiście dokładny, szczegółowy jej opis wykracza poza ramy niniejszej książki. Uważam jednak, że należy tu podać choćby niektóre jej fragmenty z opisu Dybowskiego. Wybieram odcinek Warszawa—Moskwa:

„Przez całą drogę do Petersburga — pisze Dybowski — nie pozwalano nam wychodzić. Na dłuższych przystankach żandarmi nas konwojujący przynosili herbatę i inne zamówienia z bufetów kolejowych. Jechaliśmy w wagonie katorżnym. Z przyjazdem do stolicy (to jest do Petersburga — przyp. aut.) poczuliśmy ze stosunku do nas nowego konwoju, żeśmy na terenie liberalnych rządów general gubernatora Suworowa. Po tzw. »piereklicze«, na peronie dworca uskutecznionej, wprowadzono nas do poczekalni, gdzie komitet pań naszych stołecznych przyjmował nas herbatą, kawą i rozmaitymi gorącymi i zimnymi potrawami. Serdeczna, szczerza życzliwość, jaka panowała tutaj, głęboko nas wzruszyła; byliśmy wdzięczni za to siostrzane przyjęcie. W innych miastach Rosji nie pozwalano naszym niewiastom łączyć się w komitety dla niesienia pomocy zesłanym. Z Petersburga wyjechaliśmy wagonem drugiej klasy. Żandarmi nam towarzyszący byli bardzo życzliwi...“

„Do Moskwy przybyliśmy z rana dnia świątecznego...

Droga była długa. Zatrzymano nas przed jakimś gmachem na bruku i tu musieliśmy czekać, aż władze wrócą z »malebien« w cerkwi. Trwało to przeszło godzinę. Około 12 zjawila się władza; obejrzano nas, podzielono na dwie partie; jedną, w której i ja byłem, prowadzono do tzw. »Kałamażnego dworu«, czyli do stajen carskich. Przerobione one zostały na sale więzienne, w nich urządzono podwójne nary, głowami do siebie zwrócone. Na dosyć wysokiej podstawie z półbelek ułożono grube deski luźnie do siebie przystające; pod tymi deskami mieściły się kupy całe śmieci i roje pcheł; tych pasożytów było tyle, że nas świeżo przybyłych opadły mrowiem, tak że musieliśmy rozdziwiać się na dziedzińcu »Kałamażnego dworu«, by pozbyć

się pcheł. Stajnie carskie stanowiły parterowy budynek z oknami zakratowanymi od ulicy, z ogromnym dziedzińcem, z dwiema studniami opatrzonymi pompami. Po drugiej stronie dziedzińca, przy ulicy równoległej do tamtej frontowej, stały zabudowania dla byłych stajennych, obecnie zajęte przez władze więzienne i straż wojskową. U bramy wchodowej i długiego muru, stanowiącego oparkanie olbrzymiego dziedzińca, rozlokowani byli przekupnie, u których można było kupić przedmioty do pożywienia i picia, a również sprzedawać można było, co kto miał. Sale nie były zamknięte, więc ciągły, nieustanny ruch w salach i na dziedzińcu. U pomp młodzież hartuje się oblewając wodą, w sali jedni śpią na gołych deskach, inni siedząco bawią się rozmową albo grają w domino, inni znowu gotują herbatę w samowarach lub przyczą jakieś jadlo na improwizowanych ogniskach. W ogóle swoboda, jakiej się nie spodziewałem znaleźć w więzieniach, a do tego brudy dokoła o wiele większe, niż je dotąd widziałem. Jadlo więzienne zle. Po capstrzyku wieczornym wszyscy więźniowie powinni byli wracać do sali i gotować się do »pierekliczki«. Wchodził wtedy urzędnik w otoczeniu wojskowym, z papierem w ręku, na którym wypisane były nazwiska więźniów pomieszczonych w danej sali; przy świetle latarni odczytywano po kolei nazwiska więźniów... Na przeczytane nazwisko musiał się więzień odezwać, wołając »jest!« Po »pierekliczce«... zamykano na klucz salę, stawiano wartę u drzwi i nikt już do capstrzyka rannego wychodzić z sali nie miał prawa. Ucieczka z „Kałamażnego dworu“ była dosyć łatwa; opowiadano np. o niedawnej ucieczce Jarosława Dąbrowskiego z tego więzienia. Szczegóły ucieczki miały być następujące: Dąbrowski Jarosław był małego wzrostu, o drobnej twarzy kobiecej; otóż przychodzące panie do widzenia się z więźniami przyniosły ze sobą strój kobiecy wraz z kapeluszem odpowiednim. Jarosław Dąbrowski przebrał się za kobietę i wyszedł niespostrzeżony przez wartę więzienną stojącą u bram wchodowych...

W czasie pobytu naszego w »Kałamażnym dworze« odwiedzał nas jakiś kniaź Oboleński, głupiec i barbarzyński cynik; wychwalał dobroć carską, która pozwala zesłanym katorżnikom mieć przy sobie duże pakunki, posiadać książki, które widział na narach... Gdy go prosił o pozwolenie na kupienie mapy Syberii, powiedział, że mapa niepotrzebna, bo drogę znają konwojni. Rozmawiał po francusku“.

„Któregoś dnia, daty nie pamiętam, kazano nam się zbierać do drogi. Szliśmy do dworca pieszo; wpakowano nas do wagonu więziennego i zawieziono do Niżnego Nowogrodu...”

W Niżnym Nowogrodzie kończyła się wówczas „droga żelazna”. Dalej wieziono zesłańców kibitkami. Droga prowadziła przez Tobolsk, Tomsk, Krasnojarsk, Kańsk — do Irkucka, dokąd przybyli zesłańcy w grudniu. Tu kończyła się właściwa podróż. Stąd rozprawdzano zesłańców do poszczególnych ośrodków pracy przymusowej.

W KATORDZE

Po kilkumiesięcznym przetrzymaniu w więzieniach Irkucka, wiosną zaczęto rozwozić skazańców na roboty katorżne, przy czym przysługiwało im prawo wyboru miejscowości.

Tak więc wiosną roku 1865 rozpoczął Dybowski swoją „karierę” katorżnika. Dziwna, wręcz fantastyczna, była to kariera! Nigdy jeszcze żaden skazaniec w tak dziwny sposób nie odbywał swej kary. Nigdy chyba żaden nie czuł się równie świetnie na owym, tak straszną opinię mającym „Sybirze”.

Gdy się zważy to wszystko, czego dokonał Dybowski na Syberii w czasie swej katorgi, a następnie osiedlenia, można by sądzić, że cała ta sprawa polegała na jakimś nieporozumieniu. Że zesłanie do katorgi, to był tylko pozór, a że chodziło właściwie o wyjazd na Syberię w celu jej badania, że była to, ściśle rzecz biorąc, ekspedycja naukowa.

Niestety, była to istotnie katorga, która pracę naukową bardzo utrudniała. I trzeba było niespożytej, niemal nadludzkiej energii, trzeba było niepowszedniego, łamiącego wszelkie opory zapału do nauki, by się nie zniechęcić i planowo wykonać zamierzoną pracę. Jakież był program tej pracy i co miała ona na celu?

Dybowski był z wykształcenia lekarzem, ale był też i przyrodnikiem, ściśle mówiąc — zoologiem i, jak już wiemy, gorącym zwolennikiem teorii Darwina. Otóż postanowił on zbadać Syberię Wschodnią pod względem faunistycznym i dowieść, że ogólnie wówczas przyjęte poglądy na faunę Syberii są błędne. Że fauna Syberii Wschodniej nie jest identyczna z fauną Syberii Zachodniej i Europy oraz że Bajkał pod względem faunistycznym jest bardzo bogaty.

Postawiwszy sobie to zadanie oddał mu się Dybowski z całym zapalem. Wszelkie jego poczynania, podróże — zmiany miejsca pobytu, miały na widoku wyłącznie badania naukowe. A więc i wybór miejsca pracy w katordze. Gdy inni skazańcy wybierali te miejscowości, w których można było się spodziewać czy to lżejszej pracy,



Irkuck (z r. 1878) od strony traktu wiodącego do Kultuka

czy też lepszych warunków bytowania, Dybowski wybierał te, w których łatwiej można było robić zbiory naukowe i gdzie spodziewał się ciekawych, godnych specjalnej uwagi zbiorów faunistycznych.

Tej pracy naukowej nie tylko sam był oddany całą duszą, ale i innych do niej zachęcał i wciągał. Wiktor Godlewski, Michał Janowski, Władysław Księżopolski, Alfons Ksawery Parvex, że wymienię tylko najważniejszych, oto towarzysze jego, których wciągnął do swej pracy.

Potrafił zyskać sobie do pomocy nie tylko ludność miejscową, ale niejednokrotnie też i wojskowych, a nawet i urzędników administracji. A był wszak przestępcą politycznym i zesłańcem! Jak wielką więc miał powagę i jaki musiał wzbudzać szacunek.

Współpracował też z innymi przyrodnikami, którzy niezależnie odeń zajęci byli badaniem Syberii. Wymienię z nich przede wszystkim Aleksandra Czekanowskiego i Jana Czerskiego, geologów, którzy tak wybitnie przyczynili się do poznania przeszłości Syberii, umożliwiając tym samym Dybowskiemu obalenie fantastycznej hipotezy niektórych starszych badaczy (Humboldta, Middendorfa i innych), podającej, że Bajkał stanowi resztę fiordu Oceanu Lodowatego i jego fauna wywodzi się bezpośrednio z fauny tego fiordu.

Badanie przyrody Syberii pochłaniało Dybowskiego niemal całkowicie w czasie całego jego tam pobytu. Jeśli nie liczyć przymusowych robót katorgi, to odrywała go od tego tylko praca społeczna, a przede wszystkim leczenie chorych.



Dybowski w gronie sybirskich przyjaciół
Od lewej ku prawej: Dybowski, Schultz, Jankowski, Wolski

Tak tedy — w związku z pracą naukową — przyrodnik nasz wybrał na miejsce robót przymusowych Siwakową, położoną nad rzeką Ingodą w pobliżu miasta Czyty. I tu rozpoczął odbywanie kary katorgi. Roboty wyznaczane skazańcom były dość różnorodne. Dybowski dzieli je na dwie kategorie: 1. roboty społeczne i 2. roboty rządowe. Do pierwszej kategorii należało dostarczanie drzewa opałowego z lasu, przywóz wody z rzeki, czyszczenie podwórza koszar, palenie w kotłach piekarni, pralni, łaźni itp., zbieranie na łąkach dzikiego czosnku do zupy i dla chorych na szkorbut. Do drugiej

kategorii należały rozmaite roboty przy budowie barż (barek, kryp), z których najważniejsze były ciesielskie, stolarskie, kowalskie i ślusarskie. Do tych robót wyznaczano przede wszystkim specjalistów.

Dybowski pracował kolejno przy wyciąganiu drzewa budulecowego z rzeki, wożeniu drzewa i wody, zbieraniu czosnku. Starał się usilnie o te prace, które umożliwiały mu jednocześnie zbieranie materiału naukowego.

W Siwakowej mieszkali zesłańcy w ziemiankach, które budowali sami albo zakupowali gotowe. Mieszkali po kilku.

Po pewnym czasie doszedł Dybowski do przekonania, że w Siwakowej nie może w należyty sposób prowadzić badań naukowych. Postanowił rozpocząć starania o przeniesienie do innej miejscowości. Dowiedział się, że w Czycie urzęduje lekarz wojskowy Onufry Dubiński, mówiący dobrze po polsku, podobno Polak wyznania prawosławnego. Na poparciu Dubińskiego oparł tedy nadzieje przeniesienia, ponieważ przypuszczał, iż tenże Dubiński jest jego kolegą z gimnazjum w Mińsku.

Postarał się więc nasz uczonec o pozwolenie na podróż do Czyty, motywując potrzebę wyjazdu koniecznością porozumienia się z Dubińskim w leczeniu szkorbutu.

Istotnie, okazało się, że Dubiński jest jego kolegą szkolnym. Ale przyjął Dybowskiego bardzo zimno i skierował go do Bronisława Sławińskiego. Sławiński, krewny Dybowskiego, był adiutantem gubernatora Zabajkała.

Od Sławińskiego dowiedział się Dybowski, że w dolinie Darasunia, koło rzeki Tury wpadającej do Ingody, są wody mineralne i ma tam powstać zakład kąpielowy. Każdy, kto wybuduje sobie tam domek, będzie mógł latem odnajmować go przyjeżdżającym kuracjom. Robót przymusowych nie będzie. Kto będzie chciał, będzie się mógł zająć hodowlą bydła lub uprawą roli.

Dybowski bez wahania zdecydował się na wyjazd do Darasunia. Prosił Sławińskiego o poparcie i załatwienie tej sprawy, komunikując jednocześnie, że pojedą tam także Czekanowski, Godlewski i Parvex.

Ufając w przychylnie załatwienie sprawy, powrócił Dybowski do Siwakowej i zaraz zaczął przygotowywać się do drogi. Upłynęło jednak sporo czasu, nim nadeszło rozporządzenie, by Dybowskiego i wyżej wymienionych trzech jego towarzyszy wyprawić do Czyty.

Tam umieszczono ich na odwachu i wkrótce Dybowski uzyskał pozwolenie odwiedzania chorych bez konwoju.

Pobył w Czycie trwał przez czas dłuższy i Dybowski w ciągu całego tego czasu leczył i wyleczył sporo chorych. Zgodnie ze swymi zasadami honorarium od pacjentów nie przyjmował.

Czas wolny od zajęć lekarskich wypełniał Dybowskiemu ekwipowanie się na pobyt w Darasuniu. Trzeba było kompletować rzeczy potrzebne do gospodarstwa i do pracy naukowej. Tu z wydatną pomocą pośpieszyło społeczeństwo czytyńskie, które zjednał sobie pomyślnymi rezultatami leczenia. Otóż pacjenci dowiedziawszy się, że Dybowski ekwipuje się na wyjazd do Darasunia, chcąc mu w tym pomóc, a jednocześnie odwdziżyć się za leczenie, zebrali między sobą i wspólnie ofiarowali mu 200 rubli oraz pewną ilość towarów. Zrobili to w takiej formie, że Dybowski nie mógł odmówić. Długo się wahał, przyjmąc bowiem, było to wyrzec się zasady darmowego leczenia, odmowa zaś mogła być rozumiana jako niezadowolenie z zapłaty. Ostatecznie zdecydował się przyjąć ten dar; wszak ta „zapłata“ nie będzie użyta na potrzeby prywatne, lecz na prace naukowe.

Dar ten przyczynił się walnie do ułatwienia naszemu badaczowi wyekwipowania się, choć na ogół w tym czasie Dybowski nie miał kłopotów pieniężnych. Przedtem jeszcze, dzięki interwencji gubernatora tobolskiego Aleksandra Despot Zenowicza, zwrócono mu 400 rubli zagrabione przez władze więzienne w Tobolsku. Od Sławińskiego, który awansował i został przeniesiony do innej miejscowości, dostał Dybowski całe umeblowanie. Od atamana Kozaków Zabajkalskich Buxhoewdena otrzymał wspaniałą dubeltówkę z dwoma parami łuf — do śrutu i do kul. Otrzymał i inne prezenty, których niesposób tu wliczać.

KONIEC KATORGI. POBYT W DARASUNIU

Wreszcie wszystko potrzebne zostało skompletowane i nastąpił wyjazd. Po przebyciu 139 wiorst uciążliwej drogi przybył Dybowski z towarzyszami (Godlewskim i Parvexem) do Darasunia. Tu zakwaterowano ich w porządnym domu, w którym dostali dwa umeblowane pokoje. W tymże domku mieszkał i komendant Darasunia Zaborowski, z którym stosunki ułożyły się jak najlepiej. Tu przemieszkali zesłańcy całą zimę. Na wiosnę wybudowali sobie własny domek.

Robót przymusowych nie było. Jakkolwiek jeszcze nieoficjalnie, ale faktycznie katorga skończyła się. Tu było właściwie już tylko — zesłanie. W porównaniu do Siwakowej warunki pracy naukowej były nieporównanie lepsze. Czasu miał Dybowski dość. Dzielił go między chorych a pracę naukową. Toteż i kolekcjonowanie szło bardzo intensywnie.

Do Darasunia przyjeżdżali chorzy, a i Dybowski był również wzywany w okolice. Był więc w ciągłych rozjazdach, które swoim zwyczajem opisuje szczegółowo. I krajobraz, i osady, i ludzi w nich mieszkających, nie mówiąc już o przyrodzie żywej. Prócz rosyjskich osadników syberyjskich, których najbliższa osada była położona o kilometr, inne o kilkadziesiąt, sąsiadami Darasunia byli też Buriaci, których najbliższe koczowiska leżały o kilkanaście kilometrów.

Buriatom poświęcił nasz uczonego wiele uwagi. Opisał ich tryb życia, obyczaje, wierzenia itd. Ciekawe są jego uwagi o języku przy okazji omawiania języka buriackiego.

Zbliżywszy się do ludu buriackiego jako lekarz, poznał go Dybowski bardzo dobrze. Wysoko ocenił jego wartości intelektualne. Uznał, że jest to „plemię zdolne do postępu i warte, ażeby się nim zająć z miłością braterską“.

Cóż kiedy carat nie pozwalał na rozwój kultury narodowej nawet narodów europejskich, stojących na tak wysokim poziomie,

jak np. Polacy! A cóż dopiero mówić o „dzikich“ ludach Azji, które w ogóle uważane były za istoty niższe, którym miano ludzi przyznawano tylko z pewnymi zastrzeżeniami.

Bardzo nad tym ubolewał Dybowski, dla którego wszyscy ludzie byli równi i który chciał, by wszystkie ludy pracowały wspólnie dla postępu i szczęścia ludzkości. A każdy naród — w ramach swej własnej kultury narodowej.

Ileż zmieniło się od czasu, w którym Dybowski odwiedzał Buriatów! Dziś mają oni pełne możliwości rozwoju jako obywatele Buriacko-Mongolskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Rozwija się nauka, literatura, plastyka, teatr, wychodzą czasopisma — słowem: Buriaci mają pełne możliwości rozwoju kulturalnego. Opinia Dybowskiego, że Buriaci zdolni są do postępu, znalazła potwierdzenie w faktach. Ale na to trzeba było obalenia caratu i zmiany ustroju, czego właśnie dokonała Wielka Rewolucja Październikowa.

Wracając do pobytu Dybowskiego w Darasuniu trzeba zaznaczyć przede wszystkim, że i tu, jak wszędzie, zyskał on sobie wysokie uznanie ludności zarówno buriackiej, jak i rosyjskiej. Wyrazem tego była pomoc w pracach naukowo-badawczych i rozmaite dary. Między innymi otrzymał Dybowski dla siebie i dla swych towarzyszy trzy świetne konie. Posiadanie tych koni umożliwiło odleglejsze wyprawy naukowe.

Jak wspomniałem, Dybowski ciągle wyjeżdżał. Między innymi odbył trzy większe podróże: do kopalni złota w pobliżu stacji pocztowej Rozmachninoj, do kyrińskich wód mineralnych i do Czyty. Do Czyty jeździł Dybowski dwa razy. We wrześniu roku 1866 został tam wezwany w związku z podwójną epidemią — tyfusu i szkarlatyny. Tym razem pobyt w Czycie trwał czas dłuższy. Dybowski całkowicie oddał się zwalczaniu epidemii i leczeniu chorych. Nie miał czasu nawet na odwiedzanie znajomych.

Intensywne prace naukowe i lekarskie nie przeszkadzały Dybowskiemu poświęcać dużo energii na prace społeczne. Tu, w Darasuniu założył Ogródek Freblowski dla dzieci. Jak wszędzie, tak i w Darasuniu propagował całkowite wstrzymywanie się od alkoholu. Jak mógł, tak pomagał ludziom nie tylko bezpłatnym leczeniem, ale i bezpłatnymi lekarstwami.

W Czycie znalazł dość energii i czasu, by wstawić się za żołnierzem Buriatą, który znał rosyjski tak słabo, że nie mógł sobie dać rady w wojsku. Dano mu tu przezwisko „Kukuszka“; znęcano się nad nim, bito go i poniewierano w barbarzyński sposób. Nie mogąc tego znieść, zdezerterował i uciekł do swoich. Wydany władzy, był sądzony jako dezertter i karany chłostą. Uciekł po raz drugi i tulał się po kraju. Złapany, otrzymał teraz podwójną porcję chłosty. Znow nie mógł wytrzymać i uciekł po raz trzeci. Teraz czekała go porcja potrójna. Bał się, że tego nie wytrzyma. Na razie posługiwał Dybowskiemu. Ten, poznawszy dodatni charakter chłopca i jego nieszczeście, wstawił się za nim. Tłumaczył władzom wojskowym, że „Kukuszka“ jest najpocziwszym człowiekiem, tylko po prostu nie nadaje się do służby wojskowej, która robi go desperatem i łamie mu życie. W wojsku marnuje się on, podczas gdy gdzie indziej mógłby doskonale pracować z korzyścią dla siebie i społeczeństwa.

Interwencja Dybowskiego dała widać rezultaty, bo później widział on „Kukuszkę“ w jednym z koczowisk buriackich.

W Darasuniu czuł się przyrodnik nasz doskonale i z żalem odjeżdżał. Odjazd ten nastąpił jesienią 1868 roku. Czule żegnali go przyjaciele Rosjanie i Buriaci, zarówno zdrowi, jak i ci, których niegdys leczył i wyleczył. Smutno mu było odjeżdżać.

Pociechą było Dybowskiemu przekonanie, że wykonał według możliwości to, czego chciał i co zamierzał. Tak pisze w swych pamiętnikach. Bardzo to jednak skromna ocena własnej działalności. W istocie bowiem dokonał Dybowski w tym czasie bardzo dużo. Nie „według możliwości“ przeciętnego badacza w tych warunkach, ale wiele, wiele ponad normę.

Przez Czytę jechał do Irkucka. Przybył tam jesienią 1868 roku. Zainstalowano go w Izbie Obrachunkowej, skąd w roku 1865 wywieziono go do Siwakowej.

Trzyletni okres katongi — badania Kraju Zabajkalskiego — został zakończony. Teraz miał nastąpić okres osiedlenia — badanie Kraju Przedbajkalskiego, głównie Bajkału.

IRKUCK I KULTUK W LATACH 1868—1877.
PODRÓŻ NA DALEKI WSCHÓD ZE SKOŁKOWEM

Po przybyciu do Irkucka dowiedział się Dybowski, że na osiedlenie wyznaczono mu wieś Jałówkę, Godlewskiego zaś miano wysłać gdzie indziej. Szczęśliwie jednak udało się Dybowskiemu uzyskać zmianę tej decyzji.

Po trzech latach znalazł Dybowski wielkie zmiany w Irkucku. Rzuciła się w oczy wielka ilość rzemieślników. Byli już krawcy, szewcy, stolarze, blacharze, złotnicy, rusznikarze, cukiernicy, kaf-larze, a nawet pierwszy księgarz się znalazł. Fabryki zapalek, kafli itp. były kierowane przeważnie przez Polaków, tak samo hotele i re-stauracje. W życiu Irkucka Polacy odgrywali dużą rolę. August Kręcki założył introligatorię. Polacy byli doróżkarczami i wozio-wodami. Było sporo lekarzy Polaków i na ogół dobrze się mieli.

Dybowski chciał osiąść w Kultuku nad Bajkałem, ponieważ postanowił zająć się badaniem tego jeziora. Zależało mu na Kultuku i dlatego, że dowiedział się, iż jest tam pusto stojący dom kupca Permikina, w którym to domu można zamieszkać. Cały ten dom mieszkalny, zabudowania gospodarcze, ogród warzywny i kawał łąki można było wynająć za 15 rubli rocznie. Po dłuższych stara-niach udało się Dybowskiemu załatwić pomyślnie tę sprawę.

Wszystko ułożyło się więc dobrze, bo w tym czasie nadszedł i list od Taczanowskiego, który — bardzo zainteresowany poprzednio przysłanymi mu przez Dybowskiego zbiorami — obiecał pomoc pieniężną, tak wówczas potrzebną Dybowskiemu.

U Czekanowskiego, który przebywał w tym czasie w Irkucku, poznał Dybowski pułkownika Ussolcewa, naczelnika topografów, wiceprezesa Towarzystwa Geograficznego Syberii Wschodniej. Sko-rzystał Dybowski z tej znajomości, by uzyskać „list otwarty“ do wszystkich władz gminnych, zalecający pomaganie Dybowskiemu w jego badaniach naukowych. Otrzymał też pozwolenie na pracę w Muzeum wspomnianego towarzystwa. Od tego czasu długie go-



Przylądek Szamański w Kultuku. Stacja hydrologiczna bajkalska

dziny spędzał Dybowski w tym Muzeum na studiach. Znalazł tam trochę potrzebnej literatury, z której robił sobie wyciągi. W Muzeum pracował też i Czekanowski przygotowując się do ekspedycji geologicznej, na którą dostał subsydium od Towarzystwa Geograficznego.

Również i Dybowski zwrócił się do tego Towarzystwa o subsydium na badanie Bajkału. Odmówiono mu. Rozmawiał na ten temat z Ryszardem Maackiem. Maack był w Irkucku osobistością bardzo wpływową; żartobliwie nazywano go „Ministrem Oświaty Syberii Wschodniej“. W roku 1865 ustosunkował się on do Dybowskiego bardzo przyjaźnie, ofiarował mu swoją pracę o podróży na Amur i niektóre prace Gustawa Raddego.

Teraz jednak zauważył Dybowski, że Maack do projektu badania Bajkału ustosunkował się zupełnie obojętnie, a nawet z pewną niechęcią. Co do subsydium, to od razu rozczarował Dybowskiego. Stwierdził, że Towarzystwo Geograficzne nie rozporządza obecnie żadnymi środkami, gdyż cały zapas pieniędzy, mianowicie 1300 rubli, poświęca na ekspedycję geologiczną Czekanowskiego.

Zresztą nie tylko Maack, ale w ogóle wszyscy, z którymi Dybowski rozmawiał na ten temat, twierdzili uporczywie, iż na badanie Bajkału pod względem faunistycznym szkoda czasu i środków. Że fauna Bajkału jest bardzo uboga, stwierdził to już Radde. Że Dybowski zawiedzie się srodze w swych nadziejach odkrycia w Bajkale jakiejś fauny godnej specjalnego badania.

Jednak Dybowski nie dawał się przekonać. Dowodził, iż fauna niższych organizmów Bajkału musi być bogata, skoro tak bogata jest fauna ryb. Zwracał uwagę na to, w jak wielkich rozmiarach człowiek eksploatuje bogactwo rybne Bajkału, jak dużo fok, które żywią się rybami, żyje w Bajkale. Wszak ryby muszą się czymś żywić; więc jeśli ryb jest tak dużo, to musi być dużo i innych zwierząt stanowiących pokarm ryb.

Pułkownik Ussolcew, z którym Dybowski przeprowadził dłuższą rozmowę, dowodził Dybowskiemu, że ubóstwo fauny Bajkału nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ostatnio badał Bajkał młody przyrodnik Pucyło i jego poszukiwania całkowicie potwierdziły opinię Raddego.

Wszyscy, nie wyłączając i Czekanowskiego, byli przekonani, że Dybowski jest w błędzie, wszyscy wprost zalewali go pesymizmem i uporczywie twierdzili, że jego trud, który zamierza włożyć w badania Bajkału, pójdzie na marne. Że szkoda czasu i pieniędzy, że szkoda wysiłków i energii.

Dybowski lekcewał tę powszechnie przyjętą opinię i trwał przy swoim zdaniu. Nie ulegało dłań wątpliwości, że fauna Bajkału jest bogata, a tylko poprzednie badania prowadzone były niestaranie czy też nieodpowiednimi metodami.

Nie mając dostatecznych środków na wyjazd do Kultuka zaciągnął Dybowski pożyczkę u doktora Ignacego Łagowskiego — Polaka, lekarza praktykującego w Irkucku, który z zamiłowania był też botanikiem. Dybowski zaprzyjaźnił się z nim już dawniej.

Wyekwipowawszy się należycie, wyjechał wreszcie Dybowski do Kultuka w towarzystwie Godlewskiego i Książepolskiego. Władysław Książepolski był to młody człowiek, z którym Dybowski zetknął się jeszcze w Darasuniu i tam nauczył go preparować ptaki do zbiorów i suszyć rośliny do zielników.

Książepolskiego zabierał Dybowski z sobą nie w charakterze pracownika naukowego, ale jako pomocnika gospodarczego. Obiecał mu pełne utrzymanie i umożliwienie założenia sklepu przez wyrobienie kredytu u kupców w Irkucku. Książepolski przystał na te warunki, a wyrobienie dłań pozwolenia na osiedlenie się w Kultuku zostało załatwione pomyślnie.

Zaangażowanie Książepolskiego świadczy o dużym zmyśle organizacyjnym Dybowskiego. Zdawał on sobie sprawę z tego, jak

ważną rzeczą będzie możność całkowitego oddania się pracy naukowej, bez odrywania się do gospodarowania. Tu od razu zaznaczył że Książopolski doskonale wywiązywał się ze swego zadania, a wykazał też duże zdolności kupieckie. To znów świadczy, że uczony nasz dobrze oceniał wartość ludzi. Orientował się łatwo i szybko nie tylko w ich charakterze, ale również i w możliwościach, jakie zdolni są rozwijać.

Przybywszy do Kultuka zastał Dybowski wynajęty dom nadspodziewanie obszerny i dobrze umeblowany. Stróż Polak — Mikołaj Kołodziej był uprzedzony o przyjeździe Dybowskiego i jego towarzyszy. Toteż napalił w piecach i w ogóle przygotował się na przyjęcie gości.

Pierwsze wrażenia po przyjeździe były więc dodatnie i uspasabiały optymistycznie. Na podtrzymanie tego optymizmu wpłynęła też wizyta naczelnika stacji pocztowej Zolotnickiego, który przybył do Dybowskiego zaraz po jego przyjeździe. Zolotnicki zakomunikował uczonemu, że z Irkucka przyszło rozporządzenie polecające badaczy opiece gminy i czyniące gminę odpowiedzialną za ich mienie. W rozporządzeniu wzmiankowano np., że jeśli jakieś przyrządy, choćby tylko sznury służące do badań, pozostawione na jeziorze, zostaną skradzione, to kradzież taka będzie uważana za kradzież mienia państwowego i gmina będzie musiała zwrócić wartość skradzionych przedmiotów.

Zolotnicki zwrócił też przy okazji uwagę na trudności w korespondencji powodowane cenzurowaniem listów, co trwa bardzo długo. Obiecał wszelkie możliwe ułatwienia w tej sprawie. Przed odejściem zakomunikował, że Bajkał w czasie spokojnej bezwietrznej nocy zamarzył tak, że lód wygląda jak płyta lustrzana.

Ta ostatnia wiadomość była bardzo pomyślna; rokowała łatwość badań naukowych. Poruszanie się bowiem po takim gładkim lodzie jest bardzo łatwe czy to w butach, czy na łyżwach, czy też na saneczkach z żaglem. Inaczej sprawa wygląda, gdy wiatry pędzą krę do brzegu. Wówczas powierzchnia zamarniętego jeziora jest nierówna, co bardzo utrudnia komunikację.

Korzystając z tak przychylnych okoliczności projektuje Dybowski zaraz nazajutrz pierwszą, niejako wywiadowczą, wycieczkę na Bajkał.

Wkrótce po przyjeździe zawarł Dybowski znajomości z mieszkańcami Kultuka, a przede wszystkim z miejscowymi myśliwymi.

Z tych niejaki Siemion wywarł na Dybowskiemu specjalnie dobre wrażenie, co następnie potwierdziło się. Znalazł w nim Dybowski przyjaciela życzliwego, który służył mu pomocą chętnie, bez wycisku. Zaraz też zawarł z nim Dybowski umowę. Siemion zobowiązał się dostarczać ptaki, mianowicie drapieżne. Za mniejsze obiecał mu Dybowski po 50 kopiejek od sztuki, za większe — wielkości myszolowa — po rublu, za orły — po 2 ruble. Nawiasem mówiąc, przy niskich cenach syberyjskich była to bardzo dobra zapłata. Lecz Dybowski, o ile żył bardzo skromnie i oszczędnie, o tyle nie żałował pieniędzy na nic, co miało jakiegokolwiek znaczenie dla nauki. Stosunkowo więc dużo pieniędzy wydawał na kupno rozmaitych okazów zwierząt, których mu dostarczano zarówno tu w Kultuku, jak w ogóle na Syberii.

Już ta pierwsza wywiadowcza wycieczka na Bajkał wykazała, że przewidywania Dybowskiego co do bogactwa fauny Bajkału były całkowicie słuszne. Przez gładki i przezroczysty lód widać było dno zupełnie dokładnie. A na dnie rozeznał badacz nasz bogatą faunę. Dostrzegł też i szkielety ryb objedzonych z mięsa przez kielże, co naprowadziło go na pomysł łowienia mięsożernych zwierząt jeziora na przynętę.

Po tej pierwszej wycieczce nastąpiły inne. A każda przynosiła nowe zdobycze, każda wykazywała, jak fałszywe były wiadomości o ubóstwie fauny Bajkału.

Badania Bajkału prowadził Dybowski bardzo intensywnie. Trwały one trzy lata i kilka miesięcy. Udzielanie pomocy chorym zajmowało mu tu mało czasu. Przerwy w badaniach były więc na ogół niewielkie. Stanowiły je wyjazdy do Irkucka i wycieczki naukowe w okolice. Jedna tylko przerwa trwała wyjątkowo długo — kilka miesięcy. Była spowodowana udziałem w podróży generała Skolkowa na Wschód.

Dnia 24 czerwca 1869 roku otrzymał Dybowski od doktora Łagowskiego list wzywający go natychmiast do Irkucka. Wyjechał więc natychmiast i pod wieczór był już w Irkucku. Tu Łagowski zakomunikował mu, że przybyła do Irkucka specjalna Komisja, na czele której stoi generał Skolkow,znaczony przez samego cara. Komisja ma załatwić różne sprawy na Amurze, Ussuri i wybrzeżu Mandżurii. Prawdopodobnie będzie też na Korei i w Japonii. Komisja potrzebuje lekarza-przyrodnika. Zaproponowano tę funkcję

doktorowi Łagowskiemu. Ale on jechać nie może, proponuje tedy, by jechał Dybowski. Kandydaturę jego postawił już w Komisji. Ze swej strony radzi Dybowskiemu, by jechał żądając wysokiej zapłaty, co najmniej tysiąc rubli.

Zaraz też zawiózł Łagowski Dybowskiego do pałacu gubernatorskiego, gdzie rezydował Skołkow. Rozmowa z generałem dała pozytywne wyniki. Poinformował on Dybowskiego, że obowiązki jego będą niewielkie. Mianowicie będą polegały na opiekowaniu się chorą (częściowo amputowaną) ręką Skołkowa oraz na zwracaniu mu uwagi na ciekawe obiekty przyrodnicze i zbieraniu roślin do zielnika dla carówny, która specjalnie interesuje się Krajem Ussuryjskim. Poza tymi obowiązkami będzie miał Dybowski pełną swobodę i może rozporządzać czasem dla siebie. Następnie spytał, jakiej zapłaty żąda Dybowski za tę podróż. Odpowiedź naszego badacza w wysokim stopniu zadziwiła Skołkowa i wzbudziła w nim od razu dużą sympatię dla tego dziwnego zesańca, który — jak to mógł generał przypuszczać — był raczej w trudnym położeniu materialnym. Dybowski bowiem na pytanie Skołkowa odpowiedział, że jego gorącym pragnieniem było poznanie krajów Ussuryjskiego i Amurskiego, więc teraz, gdy mu się nadarza sposobność ich poznania i badania — robienia tam zbiorów, żadnej zapłaty nie wymaga.

Skołkow zaznaczył, że podróż będzie się odbywać bardzo śpiesznie, więc Dybowski może się zawieść w swoich oczekiwaniach, to znaczy może nie znaleźć czasu na zbieranie. Dybowski odpowiedział, że ma jednak nadzieję, że znajdzie czasu dość. Tu Skołkow podał Dybowskiemu rękę i powiedział, że uważa umowę za zawartą. Następnie zostawił go samego w pokoju, mówiąc, że musi pójść do gubernatora w sprawie paszportu dla Dybowskiego, to znaczy dokumentu uprawniającego do takiej podróży. Po pewnym czasie wrócił i prosił Dybowskiego, by ten przyszedł doń jeszcze raz.

Dybowski wyszedł z pałacu gubernatorskiego nie wiedząc, co ma o tym sądzić. Domyślał się jednak, że gubernator odmówił pozwolenia na podróż. Zmartwiony, że ominęła go sposobność badania Kraju Amurskiego i dalekich krańców Azji, wrócił do Łagowskiego i zakomunikował mu, że z jego podróży w Komisji Skołkowa prawdopodobnie nie będzie, gdyż — zdaje się — gubernator nie dał pozwolenia na podróż. Łagowski uspokoił obawy Dybowskiego. Powiedział mu, że generał jest człowiekiem mającym ogromne sto-

sunki — ma być osobistym przyjacielem cara i jeśli nawet gubernator nie udzieli pozwolenia, to Skołkow potrafi otrzymać je wprost z Petersburga. Nie ulega więc wątpliwości, że Dybowski pojedzie.



Mikolaj Przewalski

Po rozmowie z Wolkowem był Dybowski przy opatrunku ręki Skołkowa. Ten polecił mu, by za dwa dni zjawił się w Posolsku, gdzie spotka się z Komisją.

Przed powrotem do Kultuka prosił jeszcze badacz nasz Wolkowa o spis członków Komisji i spis ten otrzymał. Członków Komisji, nie licząc służby, było 12.

Ku swej radości stwierdził Dybowski, że między innymi bierze w niej udział Mikolaj Przewalski, sławny już wówczas podróżnik, kapitan sztabu generalnego i adiutant admirała Furuhelma, gubernatora w Nikolajewsku na Amurze. Przewalski jechał w charakterze przewodnika po Kraju Ussuryjskim, o którym niedawno wydał książkę.

Z pałacu gubernatorskiego wrócił Dybowski do Łagowskiego. Ten dowiedziawszy się, że badacz nasz jedzie bez żadnej zapłaty, dał mu 200 rubli na kupno filizanek w Japonii. Dybowski wiedział jednak, że Łagowski nie bardzo wierzył w to, by Komisja

Istotnie, gdy nazajutrz o godzinie 10 rano zjawił się Dybowski w pałacu gubernatorskim, dowiedział się od sekretarza Komisji Wolkowa, że jego domysły były słuszne. Gubernator rzeczywiście nie dał pozwolenia na udział Dybowskiego w podróży Komisji na Wschód. A nie dał, gdyż nie miał do tego prawa. O pozwolenie na wyjazd Dybowskiego trzeba było prosić kancelarię carską. Zwrócono się więc o nie telegraficznie i zaraz też przysłała tą samą drogą odpowiedź udzielająca pozwolenia. Tak więc sprawdziło się to, co przewidywał doktor Łagowski.

dotarła aż do Japonii, domyślił się więc, że była to subtelna forma pożyczki.

Teraz resztę dnia wypełniło Dybowskiemu przygotowanie się do podróży. To i owo kupił, trochę pożyczyci mu Polacy mieszkający w Irkucku. Od Łagowskiego np. dostał na drogę duży, ale lekki kufer, w którym znalazł papier do suszenia roślin, trochę lekarstw i różne przydatne w podróży przedmioty.

Nazajutrz, po nocnej podróży, stanął Dybowski w Kultuku. Tu oczywiście Godlewski i Księżopolski zasypali go pytaniami. Złożył im więc dokładne sprawozdanie ze swego pobytu w Irkucku podkreślając, że w ekspedycji Skolkowa bierze udział głównie dlatego, iż traktuje ją jako przygotowanie do projektowanej podróży łódką wzdłuż Amuru. Chodzi mu mianowicie o nawiązanie stosunków, które następnie będą mu pomocne przy wyrabianiu pozwolenia na tę podróż.

W Kultuku przygotował się Dybowski ostatecznie do podróży. Wszystkie potrzebne rzeczy zostały odpowiednio spakowane, po czym nastąpił wyjazd.

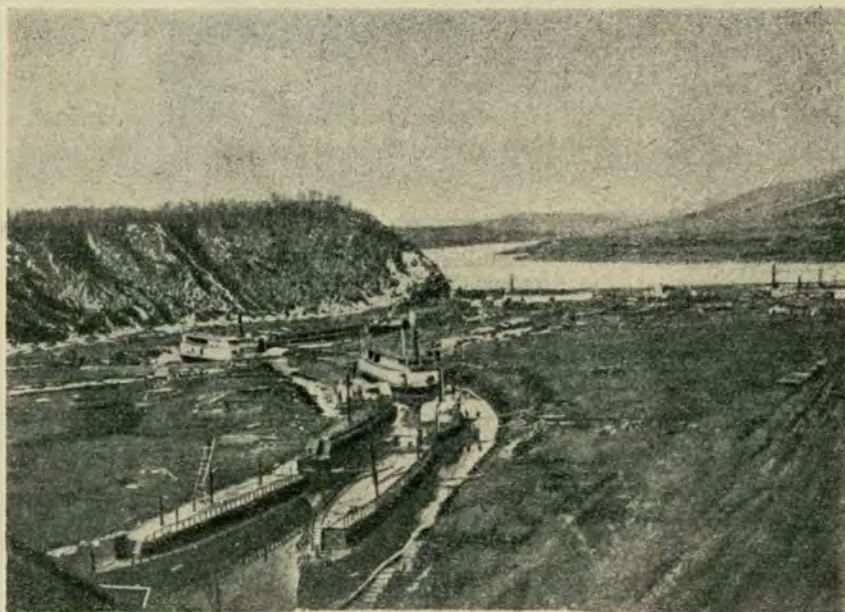
W oznaczonym czasie stawił się badacz nasz w Posolsku, gdzie zastał już Komisję oraz dużą ilość pojazdów zarówno osobowych, jak i z bagażami zawierającymi osobiste rzeczy członków Komisji, podarki cara dla chińskich urzędników i carowej dla wszystkich cerkwi krajów Amurskiego i Ussuryjskiego.

Porządek, w jakim mają jechać pojazdy, został dokładnie ustalony. A więc w pierwszym zajmą miejsca topograf i służący Skolkowa. Tu też pojedą podarki carskie. W drugim pojeździe Skolkow i doktor. Tak więc „wysoko“ został Dybowski uplasowany w Komisji. Zaszczyt to był nie lada, skoro wiceminister Osipow dostał miejsce dopiero w trzecim pojeździe. Mało sobie cenil Dybowski ten honor. Wolalby jechać w pojeździe z rzeczami, gdzie byłoby mu i wygodniej, i swobodniej. General rozsiadł się tak, że po obłożeniu go przez służbę poduszkami, dla Dybowskiego zostało mało miejsca. Toteż traktował on wątpliwy zaszczyt jazdy obok Skolkowa jako zło konieczne, którego nie da się uniknąć.

O czwartej po południu pojazdy ruszyły i tegoż dnia Komisja stanęła w Kabańsku. Tu nastąpiło uroczyste przyjęcie — paradna wieczerza. Po kolacji cała Komisja zasiadła do kart. Zapraszano też i Dybowskiego, który oczywiście odmówił.

Na noc rozlokowano członków Komisji w domach prywatnych. Dybowski zrezygnował z kwatery i przespał noc na wozie przy swoich rzeczach. Okazało się nazajutrz, że dobrze zrobił, gdyż uniknął pluskiew, które członkom Komisji wprost spać nie dały.

Z Kabańska jedzie Komisja do Nerczyńska (nad rzeką Szyłką).



Port Sreteński (z r. 1878)

Z Nerczyńska ma Komisja jechać już statkiem, który, korzystając z wysokiego stanu wody, ma podjechać w pobliże miasta. Dybowski jedzie jednak dalej pojazdem aż do Sreteńska, położonego również nad Szyłką. Przybywszy tu zakwaterowuje się od razu na statku „Ingoda“, którym Komisja ma odbywać podróż po Amurze.

Wkrótce przybywa Komisja, zostaje również zakwaterowana i „Ingoda“ rusza. Mija szereg stacji na Szyłce i wreszcie wpływa na Amur.

Niepodobna tu opisać całej tej pierwszej podróży Dybowskiego po Amurze, miała ona zresztą bardzo jednostajny, monotony charakter.

Według słów Dybowskiego wyglądało to tak: „Od stacji Pakrowskiej¹⁾, położonej już na Amurze, rozpoczęły się regularne prace Komisji. Stawał parostatek u brzegu przed daną stacją, kładziono »trap« z poręczami dla dygnitarzy, szeroką deskę dla innych, wychodził generał Skolkow w asystencji członków, mając przy boku sekretarza. Ataman staniczny podawał raport..., następnie prośby pojedynczych Kozaków, kontrsygnowane przez atamana, ostatecznie wzywano do podawania próśb prywatnych opatrzonych podpisami. Sekretarz znaczył je wszystkie numerami. Po odebraniu próśb i raportu ruszał generał Skolkow z adiutantami do paru domostw, rozmawiał z Kozakami, przy czym Karpow brał udział. Osipow miał obowiązek obejść wszystkie domy, na mnie leżała powinność obejrzeć chorych, o ile tacy byli, i dawać lekarstwa, przy tym wypytywałem się o gatunki ryb, jakie znają Kozacy. Ludagowski dosiadał konia i odjeżdżał z przewodnikiem do najbliższych pól rolnych, a także do bliskich łąk. Pułkownik Zykw i kapitan Popow mieli przy tym najmniej do czynienia; towarzyszyli oni niekiedy na ochotnika Stiepanowi Mironowiczowi (służący Skolkowa — przyp. aut.), gdy ten odnosił do cerkwi podarek carycy... Wszystko odbywało się z pośpiechem, prawie gorączkowo; wracano jak można najspieszniej na parostatek, zasiadano do kart, aż znowu stawano u brzegu przed inną stacją, gdzie powtarzała się akcja wyżej określona... O zbiorach jakichkolwiek, prowadzonych na większą skalę, nie mogłem myśleć. Tu i ówdzie chwyciłem dorywczo, co mogłem; układałem, suszyłem rośliny...

Do samego Błagowieszczeńska²⁾ nie trafiło się nam nic ciekawego; codziennie kilkakrotnie odbywały się powitania, odbieranie próśb, wysiadanie i wsiadanie na powrót, stała gra w karty itd.“.

W tych krótkich słowach oddaje Dybowski świetnie typowy charakter pracy carskiej Komisji i obraz jej podróży po Amurze.

Więcej czasu na zbiory mógł Dybowski poświęcić w Błagowieszczeńsku, gdzie Komisja, podejmowana uroczyście, przebywała kilka dni. Tu spotkał Dybowski swego krewniaka Bronisława Sławińskiego, który będąc myśliwym, i to dobrze strzelającym, był wielce

¹⁾ „...stancij Pakrowskiej“ = stancij Pokrowskiej; nazwa obecna — Pokrowka (z przyp. red.).

²⁾ „Błagowieszczeńsk“ = Błagowieszczeńsk (z przyp. red.).

pomocnym Dybowskiemu w zbieraniu ptaków. Przepływali łódką na chińską stronę Amuru i tam polowali.

W Nikolajewsku zawarł bliższą znajomość z Przewalskim. Zaprzyjaźnił się z nim, a przyjaźń ta trwała i w późniejszych latach niezmiennie.

W Nikolajewsku Komisja przeniosła się na okręt wojenny i stąd zaczęła się podróż morska. Pierwsze etapy tej podróży — to wyspa Sachalin i Askold — niewielka wyspa w pobliżu Władywostoku. Następnie lądowano we Władywostoku i Posjecie. W okolicach Posjetu zwiedzono wsie koreańskie.



Dom mieszkalny Michała Jankowskiego na Sidemi

Oto co pisze o nich Dybowski: „Wyjechano częściowo konno, częściowo na wozach — jechałem konno; dla mnie dosyć było zwiedzić tylko jedną wieś i stamtąd wrócić. Cała wieś i każde w niej domostwo odznaczały się schludnością prawie idealną. Ubiór wieśniaków biały, czysty, ich postawa swobodna wobec dygnitarzy, twarze inteligentne, niewiasty o wejrzeniu miłym, młode dziewczęta można określić jako ładne, dzieciaki grzeczne, śmiałe; wszystko to razem wzięte wywierało wrażenie... w wysokim stopniu sympatyczne. To pierwsze wrażenie zostało potwierdzone w późniejszych czasach, gdy poznałem sąsiadów Korejczyków na fermie Jankowskiego w Sidemi“.

Z Posjetu jechano jeszcze morzem w pobliże stacji pocztowej Uglowej. Tu skończyła się podróż morska. Stąd jechano rzeką Suifungiem do Nikolska¹⁾, a następnie końmi do miejscowości Kamień-Rybołów nad jeziorem Chanka.

Ponieważ w miejscowości Uglowej Komisja miała pozostać dłużej, Dybowski prosił, by mu wolno było wyjechać wcześniej. Śpieszno mu było na jezioro Chanka, o którego faunie ichtiologicznej opowiadał mu dużo Przewalski. Pozwolenie takie otrzymał i wyjechał natychmiast. Towarzyszył mu Przewalski. Po przybyciu nad jezioro zajął się Dybowski energicznie robieniem zbiorów, główną uwagę poświęcając rydom.

Gdy przybyła Komisja, ruszył z nią Dybowski w dalszą drogę. Z miejscowości Kamień-Rybołów jechano znów wodą. Przybyły dwa statki — „Ussuri“ oraz „Chanka“ i na nie załadowała się Komisja. Przecięto jezioro Chanka z południowego zachodu na północny wschód i wpłynięto na rzekę Sungacza. Długość tego niewielkiego dopływu Ussuri wynosi około 80 kilometrów. Na Ussuri przydzielono jeszcze Komisji statek „Sungacza“. Podróż po Ussuri wyglądała podobnie jak uprzednio — po Amurze. Przystawano tu i ówdzie, oglądano domy, pola i ogrody, odbierano prośby od mieszkańców i ruszono dalej. Wszystko odbywało się z wielkim pośpiechem. O poważnej pracy faunistycznej nie można było myśleć.

Koło Chabarówki (obecnie Chabarowsk) wpłynięto na Amur, następnie na Szyłkę, którą dojechano do Sreteńska. Tu znów rozpoczęła się podróż końmi.

W Sreteńsku rozstał się Dybowski z Komisją. Wracał do Irkucka przez Nerczyńsk. Ta końcowa część podróży była dla Dybowskiego bardzo przykra, a to mianowicie z powodu silnego bólu zęba.

Wreszcie po kilkumiesięcznej podróży wrócił Dybowski do Irkucka. Pod względem naukowym, w stosunku do straconego czasu, podróż ta dała mu niewiele. Otworzyła mu jednak duże możliwości w dalszych badaniach Syberii. Przede wszystkim zapoznał się Dybowski z Amurem, po którym, jak to wyżej wspomniano, projek-

¹⁾ Nikolsk — obecnie Woroszyłow (przyp. red.).



Góry Chamardabańskie — Przełęcz Czerskiego

tował specjalną ekspedycję badawczą. Po drugie poznał generała Skołkowa, którego szacunek i sympatię zyskał sobie całkowicie. Żegnając się ze Skołkowem w Irkucku, prosił go Dybowski o pozwolenie na podróż po Amurze i otrzymał zapewnienie, że takowe dostanie. Skołkow żegnał Dybowskiego bardzo serdecznie i prosił, by ten odwiedził go w Petersburgu, jeśli tam kiedy zawita. Upoważnił go też do pisania w każdej sprawie, w załatwieniu której napotka trudności. Jako honorarium za udział w Komisji wręczył Dybowskiemu 125 rubli. A więc śmiesznie mało! Wprawdzie Dybowski jeszcze przed podróżą rzekł się honorarium, ale z chwilą gdy Skołkow postanowił jednak zapłacić, powinien był zapłacić nieporównanie więcej. Lecz Skołkow znany był ze swego skąpstwa. Zresztą Dybowski nie liczył na żadne honorarium, a korzyści, jakie zyskał przez udział w podróży, miały dlań nieporównanie większe znaczenie niż jakiegokolwiek honorarium.

Żegnając Skołkowa wręczył mu Dybowski trochę okazów przyrodniczych dla carówny. A więc zielnik roślin Kraju Ussuryjskiego, wypchanego ptaka (piękną kraskę) i dwa piękne motyle.

Porobiwszy w Irkucku zakupy, potrzebne do zimowych badań, wrócił Dybowski do Kultuka.

Podróż komisyjna kosztowała Dybowskiego sporo (zakup okazów przyrodniczych), tak że do Kultuka wracał on w złej kondycji finansowej.

Koniec roku 1869, rok 1870 i 1871 spędził Dybowski w Kultuku prowadząc badania jeziora i opracowując materiały zebrane.

Nie ograniczał się jednak do eksploracji Bajkału. Sporo uwagi poświęcał i faunie lądowej, czyniąc w tych celach wycieczki bliższe i dalsze. Dłuższą od innych, bo trwającą cały tydzień, była wycieczka w Góry Chamardabańskie.

PODRÓŻ NA WSCHÓD W LATACH 1872 i 1873

Otrzymałszy obiecane przez Skolkowa pozwolenie na podróż Amurem, pożegnał Dybowski Kultuk i przeniósł się do Irkucka. Tu 1 czerwca skończył swą pracę o kielżach bajkalskich i wkrótce potem rozpoczął podróż. W podróży tej prócz Godlewskiego, zgodził się wziąć udział i Michał Jankowski.

Z Irkucka wyjechał Dybowski sam; dopiero w drodze miał się połączyć z towarzyszami.

Wyjazd z Irkucka był smutny. Doktor Łagowski, z którym Dybowski zaprzyjaźnił się serdecznie, był ciężko chory i Dybowski żegnał się z nim na zawsze.

Wyjechawszy z Irkucka, objechał Dybowski Bajkał dookoła, musiał bowiem wstąpić do Kultuka. Księżopolski pozostawał w Kultuku, więc Dybowski postanowił przekazać mu konie i wszystkie sprzęty gospodarze. A było tego sporo. — Dybowski był gospodarny i jakkolwiek w Kultuku mieszkał stosunkowo niedługo, zagospodarował się tam dobrze.

Przez Posolsk jechał Dybowski do Czyty. Piąty to już raz przebywał tę drogę. Jechał tedy przez znane sobie miejscowości. Odwiedzał swoich dawnych znajomych i pacjentów; leczył przy okazji i nowych.

W Czycie zabawił krótko. Śpieszył do Balzyny, gdzie czekał nań Godlewski. Ten oczekując nie próżnował. Zebrał dużo ptaków.

Gdy Godlewski zjawił się w Balzynie, wnet rozeszła się wiadomość, że wkrótce przybędzie i Dybowski. Buriaci prosili Godlewskiego, by dał im znać o przyjeździe Dybowskiego. Obiecał im to i dotrzymał obietnicy. Toteż w kilka dni po przyjeździe Dybowskiego, zjawilo się kilku Buriatów z prośbą, by Dybowski pojechał do chorego syna anachorety mongolskiego, który przez Buriatów uważany był za półświętego. Dybowski oczywiście zgodził się i nie

zwlekając wyruszył z nimi w drogę. Wyruszyli o świcie i jadąc na rozstawnych koniach przybyli do pustelni tegoż dnia w nocy.

Nocleg przygotowano doktorowi w kaplicy. Rano obudziły go dzwonki. Okazało się, że staruszek pustelnik odprawia nabożeństwo. Opisuje je Dybowski dość dokładnie, zaznaczając, że przypominało mu ono nabożeństwo katolickie.

Obejrzawszy chorego i udzieliwszy mu porady, wrócił Dybowski do Balzyny. I nie zwlekając jechał dalej — przez Darasuń i Ust-Ilę do Kirpicznej.

W Kirpicznej spędził całą zimę, kolekcjonując wraz z Godlewskim bardzo intensywnie ptaki i ssaki.

W ciągu tej zimy kilkakrotnie wyjeżdżał. Jeździł więc do Czyty po Jankowskiego. Był wzywany do chorego do Nereżyńska i do położnic do kopalni złota nad rzeką Ononem. Jako lekarz, zarobił przez tę zimę 400 rubli. Po długich wahaniach, wbrew swym zasadom, zgodził się przyjmować honorarium od ludzi materialnie dobrze sytuowanych. Honoraria te traktował po prostu jako pomoc w realizowaniu wyprawy naukowej na Amur.

Z Kirpicznej jechał Dybowski dalej sam. Godlewski i Jankowski jechali osobno. Oni jechali drogą bardziej południową, on zaś „szlakiem północnym“ — na Darasuń.

Zjechali się w Starym Curuchajtju nad Argunią, gdzie przybyli na zapusty. Miejscowość tę uznał Dybowski za dobry ośrodek badań i postanowił pozostać tutaj aż do początku podróży na Amur. Zgodnie z tym planem spędził tu całą wiosnę i część lata, wyjazd na Amur nastąpił bowiem dopiero 19 sierpnia.



Wiktor Godlewski

Cały ten czas wypełniły Dybowskiemu badania faunistyczne. W zbieraniu ptaków i ssaków walnie pomagał mu Godlewski, zamierzony myśliwy i znakomity strzelec. Jankowski natomiast, jako utalentowany cieśla, zajął się budową łodzi. Okazało się bowiem, że łodzi odpowiedniej na tę podróż nie można było znaleźć w całym dorzeczu Arguni.

Z budową łodzi były znaczne trudności, które jednak szczęśliwie przezwyciężono. Udało się kupić potrzebną do budowy ilość drzewa i żelaza. Jednak pnie na deski musieli podróżnicy pilować sami, a wszystkie części żelazne, poczynając od gwoździ, a kończąc na rozmaitych okuciach, wykonał Godlewski w kuźni w sąsiednim Nowym Curuchajtju. Dziegiu i innych materiałów, jak np. pakul, dostarczyli mieszkańcy stancy.

Budowa szła powoli, ale ostatecznie została szczęśliwie ukończona. Jankowski dał dowód niezwyklej energii i wielkiej pomysłowości. Budową tą dowiódł, jak wielki miał talent techniczny. Mały statek, który nazwano „Nadzieją“, był nie tylko mocno zbudowany, ale wyglądał też bardzo ładnie. Dziób łodzi miał zaostrzony „gondolowato“, a przez wstawienie wyjmowanych kabłąków, nakrywanych brezentem, można było łódź zamienić ma krytą gondolę. Wzdłuż boków łodzi biegly „skrzydelka“, po których można było chodzić wzdłuż burt. Ławeczek było trzy: dwie przednie do wiosłowania — dla Dybowskiego i Jankowskiego, trzecia — na rufie dla sternika, którym miał być Godlewski. On też miał manewrować żaglem. Na dziobie było specjalne okucie, przeznaczone do przytwierdzenia liny, w razie jeśli wypadnie łódź holować. Była też i kotwica. Wszystko zostało przewidziane.

Mieszkańcy stancy interesowali się bardzo budową łodzi i w ogóle całą wyprawą. Bardziej doświadczeni, tacy którzy podróżowali już po Amurze, dawali wskazówki i rady.

Od czasu do czasu podróżnicy wyjeżdżali czy to w sąsiedztwo, czy też na wycieczki naukowe. Otóż w czasie jednego z takich wyjazdów przybył do stancy w podróży z Chin jakiś rosyjski podróżny. Na licytacji sprzedał niepotrzebny mu już do dalszej podróży wielbłąd oraz namiot, piecyk podróżny i inne rzeczy używane wówczas do tego rodzaju podróży. Wszystkie te rzeczy prócz wielbłąda zakupił miejscowy ataman w przewidywaniu, że przydadzą się Dybowskiemu w podróży. I odstąpił mu wszystko bez żadnego zarobku.

W ten sposób podróżnicy wspaniale uzupełnili swój ekwipunek, bardzo skromny dotychczas. Ten postępek Kozaka świadczy bardzo wymownie, jak wielkim poważaniem cieszył się tu Dybowski i jak wielki szacunek potrafił wzbudzić u ludności dla swych badań naukowych.

Po ukończeniu łodzi i ostatecznym przygotowaniu się do podróży postanowił Dybowski ruszyć w podróż z końcem pierwszej dekady sierpnia. Zrobił obrachunki z mieszkańcami (mieszkanie, produkty żywnościowe itd.) i uregulował należność. Przez ludność żegnany był serdecznie. Zyskał sobie wielką sympatię i jako człowiek, i jako lekarz. A leczył dużo i zgodnie ze swymi zasadami — bezpłatnie, zaopatrując przy tym chorych w miarę możliwości w lekarstwa, również bezpłatnie.

9 sierpnia nastąpił odjazd. I tegoż dnia mieli podróżnicy pierwszą przygodę. Na pewnej przestrzeni występowały w korycie rzeki liczne skały, koło których tworzyły się wiry. Łódź została wciągnięta w jeden taki wir, a następnie przyparta do skały. Praca wiosel okazała się niewystarczająca do wyprowadzenia łodzi z tego położenia. Trzeba było szukać innego wyjścia. A więc Godlewski pozostał przy sterze, a Dybowski i Jankowski musieli się rozebrać, wejść do wody i spychać „Nadzieję“ na otwartą wodę. Ciężko to szło, ale udało się jakoś.

Kiepski to był prognostyk, taki początek podróży. Ale Dybowski nie był przesądny i zupełnie się tym nie przejął.

Nie był to jednak dzień tak zupełnie zły. Wkrótce bowiem po wydobyciu się z wirów zdobyto dwa wspaniałe orły. Preparowanie tych orłów odbywało się nazajutrz. Było z tym dużo roboty, ale podróżnicy mieli dość czasu, dalszą podróż musieli bowiem wstrzymać z powodu huraganu.

Na noc zatrzymali się na pięknej łące. Tu rozstawili po raz pierwszy namiot nabyty dla nich przez atamana ze Starego Curuchajtują. Wspaniała to był namiot! Miał podwójne płótno: z wierzchu niebieskie, od spodu białe. Słupki namiotu były malowane na czerwono, były też metalowe mniejsze i większe tyczki służące do wygodnego rozstawiania i umacniania namiotu.

Rozstawiwszy tedy ten komfortowy namiot ułożyli się podróżnicy pod nim do snu. Nie spali jednak długo. W nocy zerwał się bowiem silny wicher, który przewrócił namiot. Tak nieprzyjemnie

rozbudzeni, pośpieszyli przede wszystkim do łodzi. Na szczęście łódź stała w miejscu. Umocniwszy ją możliwie najsilniej, powrócili do leżącego na ziemi namiotu, ułożyli się pod nim i przytrzymując go w obawie przed porwaniem przez wichry, przeczekali do świtu. Rano zwinęli namiot i przenieśli go do pobliskich zarośli; przyszło im to z wielkim trudem i wysiłkiem, tak gwałtowne były porywy wiatru. Był on tak silny, że pędził wodę w górę rzeki. Kontynuowanie podróży było uniemożliwione.

Całe dwa dni trwał huragan i trzymał podróżników w miejscu pierwszego noclegu. Tak, podróżowanie po rzekach Azji jest bardzo mało podobne do spacerów łódkami po Wiśle lub Odrze. A taka podróż, jak podróż Dybowskiego po Amurze, to już wyczyn godny najwyższego podziwu i uznania.

Gdy huragan ustał, „Nadzieja“ ruszyła dalej. Bez przeszkód dojechano do Nowego Curuchajtują. Tu zastali podróżnicy sporo mieszkańców Starego Curuchajtują, którzy przybyli, by jeszcze raz pożegnać Dybowskiego. Byli bardzo zaniepokojeni, czy huragan nie stał się przyczyną jakiejś katastrofy; niektórzy byli nawet przekonani, że „Nadzieja“ uległa rozbiciu.

To drugie pożegnanie mieszkańców stancy, w której Dybowski przemieszkał zaledwie kilka miesięcy, było wyrazem tego, w jak wysokim stopniu w tak krótkim czasie zyskał on sobie ich miłość.

Przez krótki czas pobytu w Nowym Curuchajtuju z właściwą sobie łatwością zawarł Dybowski bliższą znajomość z niektórymi mieszkańcami tej stancy. Z nich wart wspomnienia jest Kozak nazwiskiem Polakow. Był to człowiek już niemłody, który kilkakrotnie przepływał cały Amur. Udzielił on Dybowskiemu wielu cennych wskazówek dotyczących podróży. Pod jego dyktando zapisał sobie Dybowski wszystkie niebezpieczne miejsca, a przede wszystkim porohy. Przy przeprawie przez porohy radził Polakow brać przewodników z pobliskich stanic, którzy są niemal bezwarunkowo potrzebni w tych niebezpiecznych miejscach. Szczególnie ostrzegał Polakow przed ujściem rzeki Bystrej, wpadającej z prawej strony do Arguni. Jest ono jeszcze niebezpieczniejsze od osławionego ujścia rzeki Czornoj do Szyłki. Przy przeprawie przez niektóre mielizny, mówił Polakow, trzeba będzie wynajmować konia do holowania łodzi.

Polakow był człowiekiem rozumnym i kulturalnym. Bardzo dbał o wykształcenie dzieci. Najstarszy jego syn skończył wydział przyrodniczy Uniwersytetu Petersburskiego i pracował naukowo, mianowicie nad ssakami. On to opisał, między innymi, odkrytego przez Przewalskiego dzikiego konia Dżungarii pod nazwą *Equus przewalskii*. W kilka lat później spotkał Dybowski młodego Polakowa w Petersburgu jako kustosza działu ssaków w Muzeum Zoologicznym Akademii Nauk.

Prócz dnia przyjazdu bawili podróżnicy w Nowym Curuchaj-tuju jeszcze cały dzień następny. Wyjechali na trzeci dzień wczesnym rankiem.

Do Nerczyńska górniczego¹⁾ obywali się bez obcej pomocy, jakkolwiek trafiali tu i ówdzie na trudności, głównie w postaci mielizn. Sami jednak przez nie przepychali łódź. Ciężka to była praca, wymagająca dużego wysiłku fizycznego, dali sobie jednak radę. W Nerczyńsku górniczym zatrzymali się kilka dni.

W Nerczyńsku górniczym wzięli przewodnika, jako że za Nerczyńskiem czekała ich niebezpieczna przeprawa przy ujściu rzeki Bystrej. Bystra wpada do Arguni, od prawego brzegu, pod kątem prostym i uderza całym impetem swego prądu o lewy, skalisty brzeg.

Przy dopływaniu do krytycznego miejsca przewodnik siadł przy sterniku Godlewskim i objął niby to komendę nad łodzią. Dybowski i Jankowski siedzieli jak zwykle przy wiosłach. Gdy dojeżdżali do skał, o które uderzają wody Bystrej, usłyszeli szum fal głośny jak grzmoty, woda Arguni zaś pod wpływem działania prądu Bystrej na pewnej przestrzeni nie wykazywała wcale ruchu; stała marta jakby w jeziorze. Gdy wpłynęli na teren działania Bystrej, porwał ich nagle silny prąd i poniósł ku skałom. Tu prąd był tak silny, że utracili zupełnie panowanie nad łódką. Ani wiosłowanie, ani sterowanie nie miało żadnego znaczenia. Niosło ich ku skałom z taką siłą, że katastrofa zdawała się nieunikniona. Wszakże nurt w porę zmienił kierunek i wyniósł ich na bezpieczne już dalej wody Arguni. Tam dopiero odetchnęli swobodniej i opowiadali sobie wrażenia z przebytego niebezpieczeństwa. Przewodnik, który miał odegrać tak wybitną rolę w tej przeprawie, nie odegrał żadnej. Ze strachu przestał

¹⁾ Nerczyńsk górniczy — obecnie Nerczyński Zawod (przyp. red.)

nawet wiosłować i tylko żegnał się. Nazajutrz się okazało, że w podróży wziął udział tylko dlatego, iż chodziło mu o przejechanie do Ust-Strielki. Prosił, by go zabrano na Amur. Zabrano go, jakkolwiek nie był wart tego, zasłużył raczej na karę. Świadczy to o pobłażliwości Dybowskiego dla ludzkich przewinień i o jego dobrym sercu.

W początkach września wpłynęli na Amur, którego początek — to zlanie się wód Arguni z wodami Szyłki. Przy stacji Ust-Strielka zatrzymali się, by dostać soli, której im brakło. Niestety nie dostali jej; nie było dowozu z powodu niskiego stanu wody na Szyłce i górnym Amurze.

Pierwszy etap podróży na Amurze — to Pokrowskaja. I tu soli nie było. Nie było jej i dalej. Przez pewien czas musieli się obywać bez soli.

Od Ust-Strielki płynęli szybko i bez przeszkód. Tryb życia i pracy w tej podróży był na ogół taki: raz tylko w ciągu dnia zatrzymywali się przy brzegu na odpoczynek i badania faunistyczne. Poza tym strzelali ptaki w czasie jazdy. Nocowali w namiocie na brzegu lub na jakiejś wyspie. Tam, gdzie zatrzymywali się dłużej, tam oczywiście zbiory były obfitsze, niekiedy bardzo obfite. A w ogóle naukowe wyniki tej podróży były w ostatecznym wyniku bardzo wydajne. Nie to, co w poprzedniej podróży ze Skolkowem.

Dni podróży płynęły dość jednostajnie; jeden był do drugiego podobny. Różnice zaznaczały się tylko zdobywaniem odmiennych okazów do zbiorów.

Od czasu do czasu zdarzały się jednak urozmaicenia. Tak więc pewnego dnia, w piękny słoneczny poranek, spostrzegli na swej drodze wyspę, a na niej domek. Postanowili przystanąć. Gdy dopłynęli bliżej, natknęli się na tyle nagromadzonych pni drzewnych i gałęzi, że nie mogli tędy przedostać się na brzeg. Między tymi naniesionymi najwyraźniej przez powódź drzewami spostrzegli utopioną sarnę. Po wydostaniu jej z wody okazało się, że jest jeszcze zupełnie świeża.

Na wyspę dostali się z innej strony. Gdy podeszli do domku, doszli do przekonania, że i on również został tu przyniesiony przez powódź. Były to bowiem tylko ściany i dach. Brakowało podłogi, drzwi, okien itd.

Na wyspie zatrzymali się krótko, tyle, ile trzeba było dla spręparowania sarny. Skóra i szkielet poszły do zbiorów, mięso — na kuchnię dla podróżników i dwu psów, które mieli z sobą.

Żagiel podnosili rzadko, tylko przy pomyślnym — zachodnim wietrze. Ale wówczas płynęli bardzo szybko, a proporcezyki o polskich barwach narodowych wesoło furkotały.

Pewnego dnia płynąc tak pod żaglem środkiem rzeki, spostrzegli na brzegu jakieś zabudowania i spacerujących ludzi, którzy dawali im znaki, by się zatrzymali. Gdy łódź została przez Godlewskiego skierowana do brzegu, w jednym ze spacerujących poznał Dybowski swego znajomego z Irkucka, młodego przyrodnika Pucyllę. Dybowski pamiętał go dobrze, ten bowiem Pucyło badał przed nim faunę Bajkału i potwierdził zdanie Raddego, iż fauna ta jest bardzo uboga.

Ściągnięto żagiel i „Nadzieja“ przybiła do brzegu. Po pierwszych słowach powitania, dowiedziawszy się o celu podróży, prosił Pucyło Dybowskiego o zatrzymanie się w osiedlu, które — jak objaśnił — stanowią zabudowania kopalni złota.

Dyrektor kopalni Baśnin i jego żona podejmowali podróżników bardzo serdecznie. Pani Baśninowa interesowała się przyrodą i uważała się nawet za przyrodniczkę. Prosiła Dybowskiego o żywego sobola, którego chciała hodować. Dybowski obiecał jej to i dotrzymał obietnicy — z Ussuri przysłał jej sobola w klatce z młynkiem, takiej, w jakiej trzyma się zwykle wiewiórki.

Cały dzień zabawili podróżnicy w tej kopalni złota. Odjechali nazajutrz po śniadaniu.

Kotwica, ukuta przez Godlewskiego, przydała się bardzo. Przy pięknej pogodzie dobijali do brzegu na południowy odpoczynek, a zakotwiczywszy, zatrzymywali łódź na rzece. Odgrzewali przygotowany poprzedniego wieczora obiad, pili herbatę i po krótkim odpoczynku ruszali dalej.

Kilkakrotnie spotykali uciekinierów katorżników. Jeden z nich płynął tratwą. Miał nadzieję, że dotrze na wybrzeże morskie, a stamtąd — za granicę. Mówił, że ludność pomagała mu. Dybowski wspomógł go prowiantem i tytoniem. Drugiego, któremu się nie powiodło — został bowiem schwytyany — wieźli łódką Kozacy.

Początkowo, nie licząc owego huraganu, pogoda sprzyjała i podróż była przyjemna. Im dalej jednak na wschód, im bliżej było jesieni, tym uciążliwszą stawała się podróż. Szczególniej dokuczały

silne wiatry wschodnie i towarzyszące im deszcze. Na szerokiej rzece wiatr wiejący pod prąd podnosił dużą falę, co bardzo utrudniało wiosłowanie.

Wreszcie po sześciu tygodniach podróży, przy fatalnej pogodzie, gdyż od rana padał deszcz ze śniegiem, dnia 20 września stanęli w Błagowieszczeńsku. Tu spodziewał się Dybowski zastać swego krewnego Bronisława Sławińskiego; nie wątpił, że zakwateruje się u niego i wypocznie po uciążliwej podróży.

Sławińskiego nie było jednak w Błagowieszczeńsku. Szczęśliwie zastał tam Dybowski swego kolegę szkolnego, doktora Karola Żołnarkiewicza. Ten przyjął Dybowskiego bardzo serdecznie i ofiarował gościnę wszystkim trzem podróżnikom. Dał im w swym mieszkaniu do dyspozycji dwa pokoje i zaprosił na dłuższy pobyt, dowodząc, że po takiej podróży trzeba odpocząć przynajmniej miesiąc.

Po zainstalowaniu się w tak wygodnych warunkach, zajął się Dybowski doprowadzeniem do porządku swego zdrowia. Leczył więc ischias i goił obrażenia na dłoniach.

Z Błagowieszczeńska postanowił Dybowski jechać dalej statkiem. Liczył na to, że od Naumowa, naczelnika żeglugi na Amurze, dostanie darmowe bilety do Chabarówki, do ujścia Ussuri. Naumow nie było chwilowo w Błagowieszczeńsku, ale wkrótce wrócił. Naumow uznał, że wyprawa naukowa powinna otrzymywać wszelkie możliwe ułatwienia i pomoc; bardzo chętnie dał więc Dybowskiemu trzy darmowe bilety do Chabarówki i obiecał, że wyda polecenie, by „Nadzieja“ była wzięta na hol przez ten sam statek, na którym pojedą podróżnicy.

Wkrótce przybył statek „Ingoda“ i na nim podróżnicy odbyli drogę do Chabarówki. Stanęli tam w pierwszych dniach października. Podróż po Amurze skończyła się.

Po krótkim pobycie w Chabarówce postanowił Dybowski ruszyć na zwiady na górę Ussuri, by znaleźć odpowiednią miejscowość, w której można by przezimować, prowadząc jednocześnie badania faunistyczne. Spodziewał się, że da się to zrobić w stacji Kozakiewiczowej¹⁾, leżącej na Ussuri o 40 wiorst od ujścia. Na statku „Sungueza“ wypłynął z Chabarówki rano i stanął w Kozakiewiczowej koło południa. Na przejazd ten otrzymał również bilet bezpłatny.

¹⁾ Stacja Kozakiewiczowej — obecnie Kozakiewiczowo (przyp. red.).

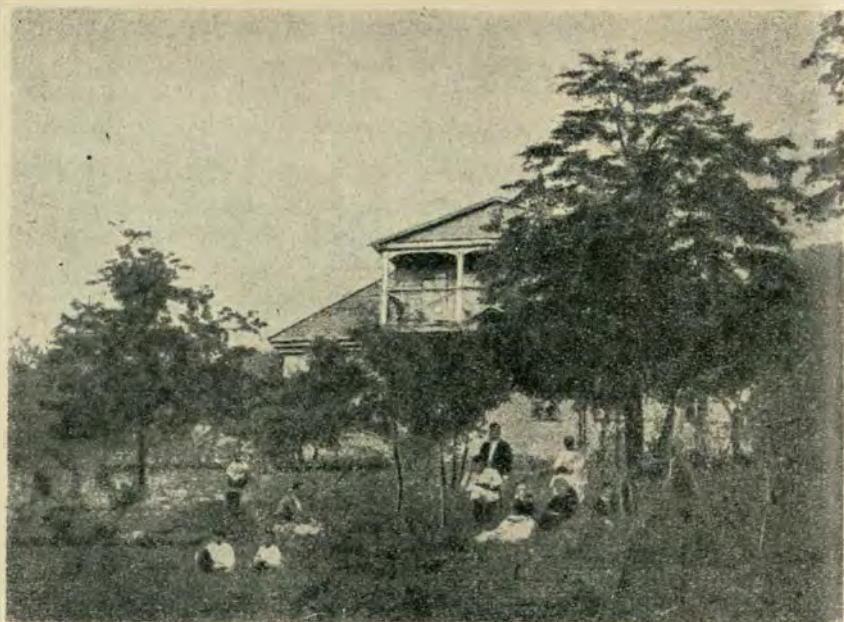
W Kozakiewiczewoj znalazł Dybowski trochę znajomych, a między innymi Kajetana Czaplejewskiego i pp. Glen. Zapytywany, co tu robi, objaśnił, że szuka miejscowości odpowiedniej do badań naukowych, w której chciałby pozostać przez czas dłuższy. Jeśli okaże się, że stacja Kozakiewiczewoj nadaje się do tego celu i jeśli znajdzie tu odpowiednie warunki bytowania, to gotów jest tu właśnie pozostać. Na to wszyscy mieszkańcy zgodnie oświadczyli, że dokożą wszelkich starań, by Dybowski i jego towarzysze czuli się tu możliwie najlepiej. I proszą, by Dybowski nie szukał dalej, ale pozostał w Kozakiewiczewoj. Oczywiście w tym oświadczeniu znajomi Dybowskiego powodowali się osobistą sympatią do niego, pozostali — chęcią posiadania na miejscu lekarza, i to lekarza tak znakomitego. Sława bowiem Dybowskiego jako lekarza rozeszła się szeroko po Syberii.

Pani Glen zaprasza Dybowskiego na obiad. Jeszcze przed obiadem dowiaduje się Dybowski od Czaplejewskiego, że odpowiednie mieszkanie znajdzie się u p. Karpińskiego, Polaka z Warszawy; zaraz też prowadzi podróżnika do niego.

Istotnie znajdując tu Dybowski zupełnie odpowiednie mieszkanie, składające się z dwu pokoi, które najmuje za 15 rubli miesięcznie. Przy tej okazji wyjaśniło się, że Karpiński jest namiętym myśliwym. Instalując się u Karpińskiego liczy też Dybowski, że otrzyma od niego niejedną ciekawą okazję do zbiorów. Specjalną umowę na dostarczanie ptaków robi z jakimś Wasilewskim, po ojcu — Polakiem. Ofiaruje mu za tę pracę utrzymanie i płacę, której wysokość będzie zależała od ilości dostarczanych okazów, co powinno wynieść około 300 rubli rocznie.

Załatwiwszy te sprawy wrócił Dybowski do Chabarówki na statku „Chanka“. Oświadczył towarzyszącej, że jest zdecydowany na dłuższy pobyt w Kozakiewiczewoj. Że ma wrażenie, iż jest to dobra baza do badania Kraju Ussuryjskiego.

Wkrótce też wyprawa ruszyła w górę Ussuri. Podróżnicy holowali „Nadzieję“ pod prąd. Ciężka to była praca. Toteż ruszywszy wczesnym rankiem, polując po drodze na ptaki, pod wieczór dotarli zaledwie do stacji Korsakowej, w której wypadła połowa drogi. Nazajutrz doszli do przekonania, że do Kozakiewiczewoj mogą przybyć dopiero późnym wieczorem. Zdecydowali się tedy nocować



Dom mieszkalny na wyspie Askold — budował Jankowski

w drodze jeszcze raz, gdyż z wielu względów pożądane jest przybycie tam rano. Tak też zrobili.

Przybywszy na miejsce przybili do brzegu koło domu Karpieńskiego, którego ogród sięgał rzeki. Znaleźli mieszkanie przygotowane na przyjazd. Od razu więc wygodnie się zainstalowali. I zaraz nazajutrz rozpoczęli wycieczki ornitologiczne. Postanowili rano połować po prawej stronie rzeki, po obiedzie — po lewej.

Koniec roku 1873 i znaczną część roku 1874 spędził Dybowski ze swymi towarzyszami w dolinie rzeki Ussuri, głównie w Kozakiewiczewoj, skąd on i jego towarzysze czynili liczne, bliższe i dalsze wycieczki. Toteż zbiory, szczególnie ornitologiczne, zwiększyły się tu wydatnie. Bardzo często jeździł Dybowski do Chabarówki, do swych pacjentów.

I jako lekarz, i jako badacz naukowy zyskał tu sobie, jak wszędzie, powszechną sympatię i szacunek. Każdy, jak mógł, starał się okazać mu swą życzliwość, a w miarę możliwości i pomoc. Tak np. w czasie jednej z wycieczek Jankowskiego uległ spaleniu ów wspa-

niały namiot, który tak wielkie usługi oddawał podróżnikom w czasie podróży po Amurze. Gdy dowiedział się o tym Tadeusz Czaplewski, młodszy brat wspomnianego wyżej Kajetana, postarał się o sprokurowanie jeszcze lepszego i ofiarował go Dybowskiemu.

Dybowski z Godlewskim pozostali w stacji Kozakiewiczewoj do sierpnia 1874 roku. Jankowski wyjechał wcześniej, a mianowicie pierwszym statkiem, który po ruszeniu lodów odchodził na jezioro Chanka. Wyjechał na Askold jako zarządca kopalni złota. Tę znakomitą posadę otrzymał dzięki Dybowskiemu. Po osiedleniu się na Askoldzie nie tracił Jankowski kontaktu z Dybowskim. A raz wciągnięty do tego nie przestawał już oddawać się eksploracji fauny. Zbierał dalej ptaki, które przesyłał Taczanowskiemu do Warszawy.

Swoim zwyczajem czas spędzony w dolinie Ussuri opisuje Dybowski bardzo szczegółowo: miejscowości, ludzi, zdarzenia... między innymi i polowanie na tygrysa. Tygrysa, który padł na tym polowaniu, a był to wyjątkowo wielki i piękny okaz, kupił pułkownik Glen zapłaciwszy myśliwemu, który go zabił, 50 rubli i ofiarował tego tygrysa Dybowskiemu dla Muzeum w Warszawie. Oto jeszcze jeden przykład, jak każdy na swój sposób starał się pomagać Dybowskiemu w jego pracy.

W sierpniu ruszył Dybowski do Władywostoku. Przed wyjazdem otrzymał list od Jankowskiego, który zapraszał go na Askold.

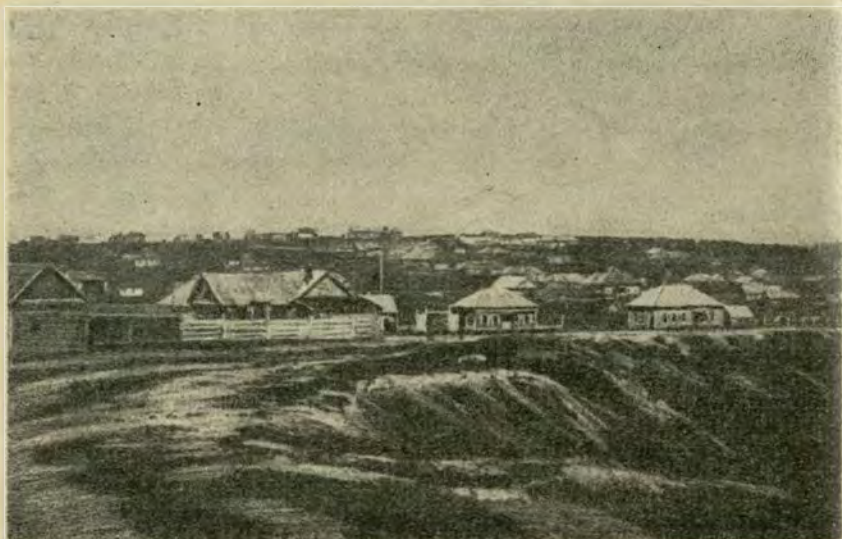
Inżynier Konstanty Friese, mieszkający stale w Chabarówce, wystarał się dla Dybowskiego i Godlewskiego o bezpłatne bilety do stacji Kamień-Rybołów. Inżynier Friese był Polakiem, żonatym z Rosjanką. Poznał go Dybowski dawniej, jeszcze w Czycie.

Przed wyjazdem pułkownik Glen zaproponował Dybowskiemu podróżowanie z oddziałem Kozaków wysyłanych na Askold i oddawał mu tych Kozaków pod opiekę, a więc i pod komendę. Paradoksalna sytuacja. Wszak zesłańcami na Sybir „opiekowali się“ właśnie Kozacy.

W czasie tym Godlewski zachorował na krwawą dyzenterię; przed odjazdem poprawiło mu się jednak na tyle, że nie trzeba było podróży odkładać.

Zaraz tedy po przybyciu statku z jeziora Chanka, który to statek miał tam niezwłocznie powracać, Dybowski z Godlewskim wsiedli nań i odjechali, serdecznie żegnani przez mieszkańców stacji Kozakiewiczewoj.

Podróż mieli dość przykrą. Po Ussuri szło jeszcze jako tako, gdy jednak dopłynęli do Sungaczy, zastali tam zatopione brzegi rzeki, a przed sobą jakby wielkie morze słodkowodne, z którego tu i ówdzie wystawały wierzchołki zarośli. Statek posuwał się więc bardzo wolno, z zachowaniem najdalej idących ostrożności, bo kapitan obawiał się, że przy krętym biegu rzeki łatwo może osiąść



Kamień-Rybolow (z r. 1878) nad Chanką (na rycinie widoczny brzeg jeziora

na jednym z zalanych brzegów. Jeszcze gorsza była przeprawa przez Chankę. Silny wiatr pędził potężną falę, która na niewielkim, płaskodennym statku dawała się przykro odczuwać. Chwilami nawet zalewała pokład. Dybowski opisuje jednego z towarzyszy podróży — generała Simonowa. Śmieszny to był człowiek. Mając zamiłowanie do astronomii, ciągle o niej wykladał w przekonaniu, że nikt o tym nie ma pojęcia i że wszyscy słuchają go z wielkim zainteresowaniem. Ten generał z całą swobodą w swych opowiadaniach podróżujący po wszechświecie, wykazywał wielką obawę w podróży przez jezioro. Biadał i wyrzekał, że to wprost zbrodnia, by po tak burzliwym jeziorze kursowały statki płaskodenne, że to naraża pasażerów na niebezpieczeństwo utraty życia. Dybowski uspakajał go mówiąc, że po Bajkale jeździł w małej płaskodennej łódce przy

silniejszym wietrze i fali, a nic mu się nie stało; tym bardziej tutaj, na tak dużym stosunkowo statku, nie ma cienia niebezpieczeństwa.

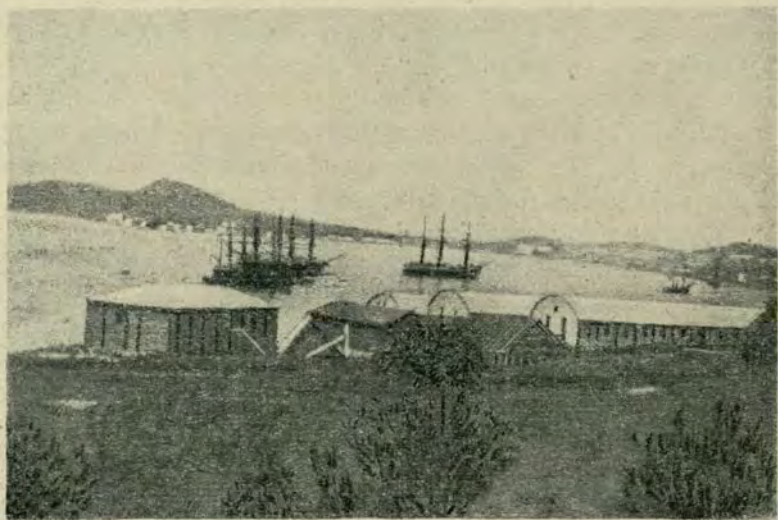
Ostatecznie bez żadnej przygody dotarli do stacji Kamień-Rybolow. Tutaj Dybowski musiał się zatrzymać dłużej, roztopy wiosenne bowiem i rozlane rzeki wprost uniemożliwiały podróż. Dopiero więc po tygodniu ruszyli dalej, do Władywostoku. Ale i teraz, mimo przeczekania najgorszych dni, droga była bardzo uciążliwa, męcząca, a nawet niebezpieczna. Szczególnie przykre były przeprawy przez rozlane rzeki.

Oto opis fragmentu tej podróży: „Dociągnęliśmy z wielką biedą do brzegu rzeki Mo; ten w miejscu przewozu stanowił małą wysepkę nie zalaną wodą. Tu czekali Kozacy oświadczając, że zawiadowca stacji nie daje promu, bo nie ma liny, a on jeden promu podać nie może. Radzimy, co począć? Staje na tym, że dwóch Kozaków podejmuje się przepłynąć rzekę i wziąć przemocą prom. Zamiar udało się wykonać; zdobyto prom i przeprawiliśmy się przez rzekę. Na stacji znaleźliśmy się w rozpaczliwym położeniu; ani miejsca suchego dokoła domku, stojącego rudera bez okien, otwory na nie zawieszono starymi worami po soli; drzewa do opału brak, nieopodal zabudowania, na miejscu wzniesionym, leżał na kupę zwalony budulec przeznaczony do budowy nowej stacji. Postanawiamy pilować kłody, czyli bierwiona na opał; stawiamy na suchszym miejscu nasz większy namiot, a obok mniejszy. Rozpalają w piecu, dymem wykurzają komary, gotują wieczerzę, następnie herbatę i nareszcie spożywamy po tym pierwszym pochodzie krzyżowym naszej peregrinacji. Na drugi dzień po naradzie postanawia Godlewski przy pomocy zawiadowcy sporządzić jarzma na woły, które trzymają się przy stacji i przychodzą do dymokurów. Są wozy, jest tedy nadzieja, że będziemy mogli wybrać się w dalszą drogę. Kilku z lepszych strzelców wychodzi po zwierzynę, której tu wszędzie w bród i już ku wieczorowi wszystko zostało pomyślnie uskutecznione. Na trzeci dzień szczęśliwie na wołach dojechaliśmy do Wstrecznej, tu nocowaliśmy“.

Przy przeprawie przez rzeczkę Dubienkę zdarzyła im się przygoda — zamoczyli rzeczy. Jadąc dalej przez Nikolsk, Baranowską i Razdolnoje przybyli nad rzekę Suifung i małym statkiem parowym dotarli po niej do Zatoki Amurskiej, a następnie do Władywostoku.

Kapitan statku Agronowicz okazał się nadzwyczaj uprzejmy; na zapytanie, gdzie mieszka Kisielewski, odpowiedział, że może przystanąć naprzeciw jego mieszkania, które leży w pobliżu wybrzeża.

Z radością powitał Dybowski Władywostok. Miał nadzieję, że uda mu się tu przeprowadzić wiele ciekawych prac badawczych.



Władywostok (z r. 1878) widziany od strony łądu

Nadzieje te jednak zawiodły. Po krótkim pobycie we Władywostoku uznał, że nie warto tu zatrzymywać się dłużej.

Zatrzymał się u Michała Kisielewskiego, swego kolegi gimnazjalnego, który przyjął go z całą serdecznością. Również inni Polacy, mieszkający wówczas we Władywostoku, przyjmowali naszych podróżników serdecznie i jak mogli, tak im pomagali. Natomiast władze uchyliły się od udzielenia pomocy. W grę wchodził tu przede wszystkim Zarząd Marynarki, do którego zwrócił się Dybowski, ale nic nie uzyskał. Mimo przedstawienia listów polecających, które wszędzie wywierały należyty skutek, mimo argumentacji, że wszak naukowe badanie morza powinno przecież Marynarkę interesować, wręcz odmówiono Dybowskiemu jakiegokolwiek pomocy. Postanowił tedy przenieść się na Askold. Jankowski przysłał poń szkunę „Razbojnik” pod komendą kapitana Johansona. Na statku tym Dybowski i Go-

dlewski odbyli podróż na Askold, niewielką wyspę leżącą w pobliżu Władywostoku (w odległości 46—50 wiorst). Z powodu słabego wiatru podróż trwała bardzo długo, tak że do wyspy przybili w nocy i spali na statku do rana. Gdy wysiadali, spotkał ich na brzegu Jankowski, który dowiedziawszy się o przybyciu „Razbojnika“ wyszedł na spotkanie przyjaciół.



Domek Hoecka i fanza Dybowskiego nad Zatoką Piotra Wielkiego

Na Askoldzie pracowali podróżnicy bardzo intensywnie i zbiory ich znacznie się powiększyły. Warunki pracy dzięki Jankowskiemu mieli bardzo dobre. Na zimę postanowił jednak Dybowski przenieść się na kontynent, a mianowicie nad Zatokę Piotra Wielkiego do fermy kapitana Hoecka, położonej w odległości 13 wiorst od wybrzeży Askoldu.

Przenieśli się tam w końcu września tegoż 1874 roku. Pobyt nad Zatoką Piotra Wielkiego trwał od końca września 1874 roku do końca sierpnia 1875 roku.

Kapitan Hoeck wybudował tam sobie właśnie nowy dom i odstąpił Dybowskiemu na mieszkanie starą fanzę (chatę). Tu zainstalowali się podróżnicy zupełnie wygodnie i zaraz zabrali się do roboty. Przez cały czas pobytu pracowali bardzo intensywnie. Toteż zebrali mnóstwo materiału naukowego, głównie z ryb, ptaków i skorupiaków. Ale

nie zaniechali przedstawiciele i innych skłupień. Tak np. zdobyli aż 5 tygrysów za pomocą samopalów, to jest strzelb stawianych na szlakach tygrysiach. Odpowiednio przeciągnięty sznurek, naciśnięty przez przechodzącego tygrysa, powodował wystrzał, a strzelba była tak umocowana, że kula (zatruta strychniną) trafiała zwierzę nieomylnie. Jak wszędzie, tak i tutaj, zajmował się Dybowski leczeniem. Zaraz po jego przyjeździe wybuchła epidemia ospy, udało mu się ją jednak opanować za pomocą szczepionki, którą sam wytwarzał.

W końcu lutego otrzymali z Irkucka wiadomość, że im trzem, to jest Dybowskiemu, Godlewskiemu i Jankowskiemu, pozwolono na powrót do kraju. Zwrócono im też pełne prawa obywatelskie; zapewne jednak upłynie sporo czasu, nim wszystkie formalności związane z powrotem będą załatwione.

Radość Godlewskiego była ogromna. Dybowskiego mniej to ucieszyło, gdyż przewidywał, że będzie musiał przerwać dalsze badanie Syberii, a do wykonania planu, który zamierzał wykonać, było bardzo daleko. Co do Jankowskiego, to przyjął on wiadomość obojętnie, gdyż w ogóle nie zamierzał powracać do kraju. Postanowił zostać na Syberii.

Dybowski bardzo usilnie namawiał Godlewskiego na pozostanie jeszcze przez czas pewien — tyle tylko, ile trzeba na skończenie rozpoczętych prac. Ale Godlewski odmówił stanowczo. Żarła go tęsknota za krajem, a tu właściwie nie zatrzymywało go nic. Porwany zapalem Dybowskiego, pomagał mu w jego pracy faunistycznej, ale traktował to po prostu jako zajęcie przygodne. Nie był badaczem z powołania i do pracy naukowej nie dał się wciągnąć.

Toteż Dybowski musiał zrezygnować. Doszedł do przekonania, że samotne pozostawanie tu na wybrzeżu jest bezcelowe, nie da należytych rezultatów. Praca tu wymaga co najmniej dwu ludzi. Postanowił więc również wracać na razie do Irkucka, ciesząc się myślą, że po powrocie do kraju uda mu się zorganizować wymarzoną wyprawę na Kameczatkę.

Zaczęli się tedy powoli zbierać do odjazdu. 17 sierpnia udali się na Askold, na ostatnią wycieczkę ornitologiczną i pożegnanie wyspy. Ze smutkiem żegnał ich Jankowski i inni mieszkańcy Askoldu, z którymi żyli się w czasie prawie rocznego tutaj pobytu. A i sam kraj, tak piękny i ciekawy, żegnał Dybowski z żalem.

Przed odjazdem postanowili podróżnicy odwdziżyć się kapitanowi Hoeckowi za gościnę i wszelkie doznane uprzejmości. A więc nad łóżkiem w sypialni rozwiesili mu skórę tygrysa spreparowaną na dywan, w salonie zaś na odpowiedniej podstawie umieścili ogromnego orła z rozpostartymi skrzydłami. Zrobili to zaraz po powrocie z ostatniej wycieczki na Askold, gdy kapitana Hoecka nie było w domu. Chodziło o to, by mu zrobić niespodziankę.

Przytaczam ten fakt jako przykład, że Dybowski nigdy nie nadużywał uprzejmości ludzkiej i zawsze starał się za nią odwdziżyć, jeśli nie leczeniem, to w jakiś inny sposób. Tak i tutaj. Mając do rozporządzenia kilka skór tygrysiich, robił z nich podarki tym, wobec których czuł się zobowiązany. Jedną skórę posłał oczywiście pułkownikowi Glenowi, który swego czasu podarował mu tygrysa dla Muzeum Warszawskiego.

Gdy Hoeck wrócił do domu, był zachwycony. Przy pożegnaniu wzajemnym podziękowaniom nie było końca. Obie strony były z siebie zadowolone i zasmucone koniecznością rozstania.

Do Władywostoku odwiózł Hoeck Dybowskiego i Godlewskiego na swej szkunie „Krowa morska“. We Władywostoku zajechał Dybowski do Mieczysława Wolskiego, swego znajomego z dawniejszych bytności w tym mieście. Tu dowiedział się, że nazajutrz kapitan Agronowicz na łodzi parowej „Suifung“ odplywa z Władywostoku do stacji Razdolnoje. Wolski pomówił z Agronowiczem w sprawie zabrania podróżników do Razdolnoje, Kisielewski zaś załatwił sprawę bezpłatnego przejazdu z miejscowości Kamień-Rybołów do Chabarówki.

Gdy przybył Agronowicz, ruszyli w towarzystwie Wolskiego, który ich odwiózł łódką na „Suifung“, a następnie odprowadził aż do stacji Razdolnoje. Łódź była niewielka, nie nadająca się właściwie do podróży po morzu. Toteż przejazd do ujścia Suifungu był przykry. Łódź była zalewana wodą, a pasażerowie przemokli do nitki. Ale dalej po Suifungu podróż odbywała się już bez przeszkód.

Gdy dopłynęli na miejsce, kapitan Agronowicz urządził ucztę pożegnalną, która odbyła się w nastroju przyjacielskim. W czasie rozmowy Wolski wyraził pogląd, że Dybowski i Godlewski na pewno powrócą na Syberię. Bo kto raz zakosztował tu życia, temu w Europie staje się ono wstrętne. Godlewski temu zaprzeczył i wywiązała się ożywiona dyskusja. Dybowski nie brał w niej udziału; w pewnej

chwili powiedział tylko, że istotnie ma zamiar wrócić, ale nie po to, by rozkoszować się życiem syberyjskim, lecz by zakończyć rozpoczęte badania.

Przenocowawszy na „Suifungu“, nazajutrz o 8 rano ruszyli dalej końmi. Jechali szybko bez żadnych przeszkód i przybyli do stacji Kamień-Rybolow w bardzo pomyślnym dniu, zastali tam bowiem statek „Sungacza“, który zabierał się do odejścia.

Przejazd przez jezioro Chanka i dalej wzdłuż rzek odbyli dobrze i po dwu i pół dniach przybili do Kozakiewiczewoj, gdzie zabawili kilka dni.

Podróż łodzią do Chabarówki przeszła dobrze. Tu zastali kilku kolegów-zesłańców, u których zamieszkali w oczekiwaniu na statek do Sreteńska. Czekali nań wszystkiego dwa dni.

Podróż po Amurze z Chabarówki do Sreteńska była przykra. Dostali wprawdzie bezpłatne bilety, ale drugiej klasy, bo klasa pierwsza była przepelniona. Towarzystwo, które jechało, było bardzo nieciekawe. Gra w karty trwała bez przerwy aż do Błagowieszczeńska, co dla Dybowskiego, który nie znosił gry w karty, było specjalnie przykre. W Błagowieszczeńsku musieli zatrzymać się kilka dni. Wysiadło tu natomiast trochę pasażerów i zrobiło się luźniej. Nasi podróżnicy dostali nawet osobną kajutę, tak że Dybowski mógł bez przeszkód pracować.

Do Sreteńska mieli stąd jeszcze 1167 wiorst. Ale statek szedł bardzo powoli; podróż przedłużała się głównie z powodu tego, że po drodze na ogół nie było przygotowanego opału, a mianowicie drzewa, którym kotły były opalane. Statek zatrzymywał się w miejscach, gdzie przy brzegu rósł odpowiedni las; własnymi siłami zdobywali drzewo. Z inicjatywy Dybowskiego w skład tych „własnych sił“ weszli i pasażerowie, którzy wspólnie z załogą rąbali, a następnie transportowali drzewo na pokład.

Stanęli wreszcie u brzegu Szyłki w Sreteńsku.

Pobył w Sreteńsku przedłużył się o cały dzień, a to z powodu konieczności zreperowania butów Godlewskiego. Buty naprawiał niejaki Marcinkowski, Polak, również zesłaniec polityczny.

Tu uważam za stosowne przytoczyć wypowiedź Dybowskiego o Marcinkowskim i innych Polakach, którzy zmuszeni do tego okolicznościami, dawali sobie świetnie radę, biorąc się z konieczności do najrozmaitszych zajęć, z którymi uprzednio nie mieli nic wspólnego:

„Marcinkowski jest samoukiem szewcem, usilną pracą, pewnym zamiłowaniem do zajęcia i talentem wrodzonym do doskonałości w tym rzemiośle... Nie tylko sam Marcinkowski był skończonym majstrem, lecz umiał kształcić innych w zawodzie szewskim. Rozmawiałem wieczorem po kolacji o tej zdolności samoucznej naszych ziomków, przytoczyłem zdanie Marcina Kromera z roku 1577. Ten pisarz, doskonały obserwator i syntetyk niezrównany, wypowiedział był swój pogląd na zdolności Polaków w następujący sposób: »Pojętne są umysły Polaków i okazują we wszystkim dzielność, do czego tylko zwrócić się. Mieliliśmy jednostki genialne, które czy w nauce, czy w sztuce, mogły śmiało współzawodniczyć z największymi rozumami lub talentami wszechświatowymi... Zapalał do wszystkiego łatwo się u nas wznieca i łatwo przygasa, lecz grunt, w którym te objawy rozwijają się, kryje w sobie niewyczerpaną żywotność, a wielkie idee budzą w nas zawsze bicie serca«.

Następnie przytacza Dybowski spośród Sybiraków szereg wybitniejszych samouków, którzy samokształceniem doszli do całkowitego opanowania różnych zawodów.

Ze Sreteńska jechali końmi do Nerczyńska. Z Nerczyńska do Irkucka było jeszcze 1100 wiorst, z czego przez Bajkał 60 wiorst, reszta — końmi. Drogę tę przebył Dybowski w 10 dni. Do Irkucka przyjechał w październiku 1875 roku.

POBYT NAD BAJKAŁEM OD ROKU 1875. POWRÓT DO KRAJU

Przybywszy do Irkucka dowiedział się Dybowski, że sprawa pozwolenia na powrót do kraju jest w toku, nie należy jednak spodziewać się rychłego jej załatwienia. Istotnie upłynęło półtora roku, nim przyszło to pozwolenie.

Dybowski, jadąc do Irkucka, spodziewał się tego pozwolenia znacznie prędzej, najpóźniej w końcu 1875 roku. W Warszawie również spodziewano się Dybowskiego w ciągu zimy. W Irkucku zastał Dybowski list Taczanowskiego, a wraz z listem 500 rubli, które tenże przysłał na drogę powrotną. Było to jednak za mało na koszty podróży; postanowił tedy Dybowski pisać do Taczanowskiego, by przysłano więcej.

Wobec tego, że pobyt na Syberii miał potrwać jeszcze długo, uczony nasz zdecydował się poświęcić ten czas na dalsze badanie Bajkału. Zwrócił się z tym do Towarzystwa Geograficznego, proponując przede wszystkim przemierzenie głębokości jeziora, oczywiście równoległe do badań faunistycznych. Zaznaczył, że ekspedycja nie będzie dużo kosztować, bo wszystkie do tego potrzebne narzędzia i sznury są w zapasie, pozostałe z poprzednich, prowadzonych przez Dybowskiego badań. Na tę propozycję Dybowskiego zgodzono się.

W kolonii polskiej w Irkucku zastał Dybowski duże zmiany. Polacy odgrywali jednak nadal wybitną rolę w życiu miasta. „W żadnym mieście syberyjskim — pisze Dybowski — nie było tak wybitnej i tak wytężonej działalności Polaków, jak w Irkucku. Pracowali więc Polacy i w przemyśle, i jako rzemieślnicy, zajmowali różnorodne posady, trudnili się handlem...“.

Krótko mówiąc: przeniknęli do wszelkich dziedzin życia.

Na specjalną uwagę zasługuje działalność Polaków jako pracowników naukowych. Działalność ta była bardzo duża, a Dybowski odegrał w niej znaczną rolę. Ma więc przyrodnik nasz nie tylko oso-

biste, bezpośrednio zasługi w badaniu Syberii, ale również i pośrednie — przez wciąganie i zachęcanie innych do takiej pracy, a nawet niekiedy i organizowanie jej. W czasie, o którym mowa, Czerski po odbyciu wycieczki geologicznej w Góry Tunkińskie wrócił właśnie z wyprawy do niezmiernie interesującej groty położonej w pobliżu Niżnieudinska. Znalazł tam bardzo obfity materiał paleontologiczny.



Dybowski wśród swych współpracowników naukowych na Syberii
 Od lewej ku prawej: Wiktor Godlewski, Benedykt Dybowski, Paweł Ekert, Mikołaj Hartung

Czekanowski wrócił z wyprawy na Jenisej i przygotowywał się do nowej wyprawy na Lenę i Olenek. Mikołaj Hartung i Paweł Ekert pracowali nad składem chemicznym solanek i słonych jezior. Bogusławski zbierał materiał do historii formacji Syberii Wschodniej. Ciekawe odkrycia zrobił Witkowski. Odkrył on szereg kurhanów i kurhaników. Rozkopanie ich dało ogromny materiał do poznania historii Syberii.

Dybowski ofiarował się fotografować zbiory paleontologiczne, przywiezione przez Czerskiego. Czerski jednak odkładał opracowanie

tego materiału na później, uprzednio bowiem zamierzał zająć się badaniem geologicznym wybrzeży Bajkału, przy czym chciał opłynąć jezioro dokola.

Dybowski w tym okresie był całkowicie zaabsorbowany przygotowaniem zimowej wyprawy na Bajkał. Przygotowywanie to polegało przede wszystkim na zbudowaniu pojazdu, który przez czas pobytu na lodzie miał służyć za ruchomą, ogrzewaną chatę. Pobyt na Bajkale projektował Dybowski na koniec lutego, marzec i część kwietnia. Badania powinny były być zakończone, nim lody zaczną ruszać na jeziorze.

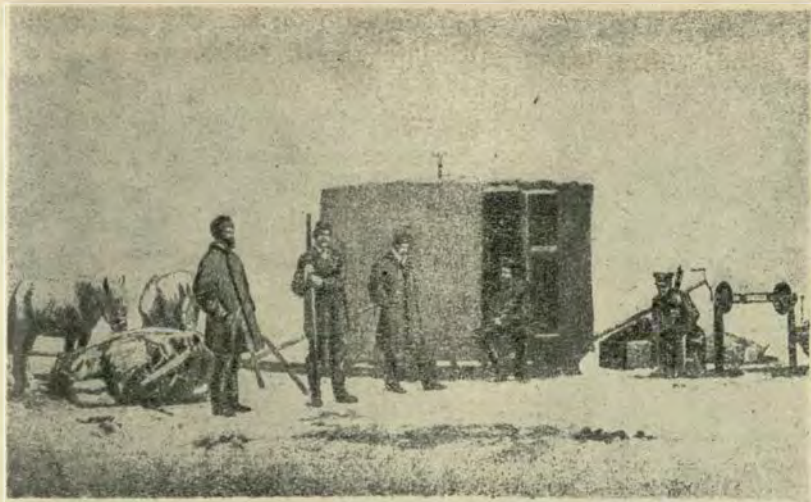
W budowie tej ruchomej chaty Godlewski wykazał w pełni swój talent. Chata była wewnątrz wybita wołłokiem i miała żelazny piecyk. Wołłok dostał Dybowski od polskich kupców w Irkucku; to, czego brakowało, dokupił od kupców rosyjskich.

Wszystko udało się przygotować według projektu i w oznaczonym czasie wyprawa ruszyła na Bajkał. Praca ekspedycji została przeprowadzona planowo. Zarówno pomiary głębokości, jak i badania faunistyczne dały bardzo ciekawe rezultaty, ale o tym dalej. Tu wspomnę tylko, że ten zimowy pobyt na Bajkale obfitował w różne przygody. Duże kłopoty były z robotnikiem wynajętym do kopania przerebli i opieki nad końmi. Upijał się on od czasu do czasu, a raz po pijanemu omal nie zaprzepaścił koni, które mu ukradziono. Na szczęście energiczna akcja przyjaciół Dybowskiego, zarówno Polaków, jak i Rosjan, doprowadziła do odzyskania koni. Gdyby się były konie nie odnalazły, stanowiłoby to klęskę dla ekspedycji — tak dużą stratę materialną trudno byłoby powetować.

Gorzej skończyła się przygoda spowodowana przez silną burzę zimową. Dybowski czuł się wówczas niezdrów i w związku z tym wybierał się do Irkucka. A że ekspedycja miała tego dnia gości z miasta, Dybowski pojechał z nimi.

Przygodę tę opisuje Dybowski w sposób następujący: „...mieliśmy wtedy dzień cichy, wiosenny z mgłą na Bajkale; zaprosiliśmy byli Giedgowda, Busza i przyjezdnego z Irkucka kolegę naszego, Berkmana — malarza, politycznego wygnańca, który z aparatem fotograficznym przybył do Listwiennicznej¹⁾ dla zdjęcia grupy mieszkańców tutej-

¹⁾ „... do Listwiennicznej“ = do Listwienniczoje; nazwa obecna — Listwianka (przyp. red.).



Dybowski i jego towarzysze badań przy pracy na Bajkale

Od lewej ku prawej: Godlewski, Giedgowd, Eliasiewicz, Dybowski (siedzi w przenośnym domku urządzonym na saniach) i Busz (wybija przerebłę)

szych. Piliśmy herbatę na lodzie. Berkman próbował nas fotografować pomimo gęstej mgły i aniśmy przeczuwali wtedy, że za niewiele godzin nastanie wichur szalony. Po herbacie zaprzęgliśmy konie do sanń zwykłych, towarzyszących nam zawsze z zapasami żywności przy naszej budzie; odwiozłem na nich gości do Listwiennicznej i tam umieściwszy konie w stajni u Giedgowda, wracałem pieszo, ciągnąc za sobą niewielką żerdź, która miała służyć, wsunięta pomiędzy słupki u płóz, jako środek ochronny przeciwko przewróceniu budy; po drodze spotkałem Godlewskiego, ten zabrał żerdź, a mnie radził, żebym wrócił do Giedgowda i tam przenocował, bo mi silnie dokuczał wtedy »ischias«; usłuchałem rady; przyszedłszy położyliśmy się spać, gdy nagle w nocy zbudził nas wichur szalony. Niespokojni o Godlewskiego, radziliśmy, w jaki sposób przyjść mu na pomoc, wszakże wyszedłszy na dwór, uznaliśmy, że niepodobieństwem byłoby w taką zamieć i tak straszną ciemnicę odszukać budę; zawiesić nawet latarni na domku Giedgowda nie było możliwości — musieliśmy zaniechać wszelkiej myśli o jakimkolwiek ratunku, tylko w oczekiwaniu zapaliwszy lampę, postawiliśmy ją u okna od ulicy, a sami zajęliśmy się przygotowaniem samowaru, ażeby była ciepła herbata, gdy przyjdzie Godlewski. Po godzinnym prawie oczekiwaniu usłyszeliśmy kołatanie do drzwi; odemknąwszy

ujrzeliśmy człowieka raczej podobnego do śnieżnego bałwana niż do istoty ludzkiej — był to Godlewski, cały od głowy do nóg okryty śniegiem; zakomunikował nam, że budę wicher obalił, że z wielką biedą zdołał się spod niej wygrzebać i że trafiwszy już na brzeg jeziora, długo nie mógł się zorientować, aż nareszcie oto przybył przeziębły i strasznie zmęczony. Wicher trwał dwa dni z rzędu; gdyśmy nareszcie po zamieci odszukali budę, była ona cała zaniesiona śniegiem; odgrzebywać ją musieliśmy i wyszukiwać rozproszone graty po jeziorze“.

Na szczęście podobne zaburzenia w normalnym trybie życia nie zdarzały się często i praca badawcza z dnia na dzień posuwała się na ogół bez przeszkód, w warunkach, które nasi podróżnicy uważali za dobre. Oczywiście nie każdy uznałby je za dobre, a nawet odpowiadające minimalnym potrzebom. Ale różne są typy podróżników. Ktoś, przyzwyczajony do zatrzymywania się w luksusowych hotelach z centralnym ogrzewaniem, bieżącą ciepłą i zimną wodą i wszelkimi innymi możliwymi wygodami, czułby się tu fatalnie. Ale tacy „podróżnicy“ nie są odkrywcami i zdobywcami nieznanych obszarów ziemi. Te odkrywają i badają tacy, jak Dybowski, który pracując w tak prymitywnych warunkach przez dłuższe okresy czasu, potrafił odkryć rzeczy mające olbrzymie znaczenie dla nauki.

Zgodnie z programem wyprawa zjechała z Bajkału dopiero przed ruszeniem lodów. Teraz zamieszkał Dybowski w Kultuku, gdzie udało mu się wynająć cały domek na dobrych warunkach. Domek był bardzo zapluskwiony, co właśnie spowodowało niski czynsz. Dybowski wahał się nawet, czy wynająć go, gdyż z powodu pluskiew domek właściwie nie nadawał się na mieszkanie. Namówił go jednak Godlewski, który podjął się wytepić te pasożyty doszczętnie. I udało mu się to całkowicie.

Zamieszkawszy tedy w Kultuku już po raz drugi, pracował Dybowski oczywiście dalej nad fauną Bajkału. Prócz tego kolekcjonował też bardzo intensywnie ptaki, angażując do tej pracy i miejscowych strzelców.

* *
*



Góra Czekanowskiego

W czerwcu 1877 roku odebrał Dybowski wiadomość, że nadeszło pozwolenie na powrót do kraju.

Zaczęły się tedy przygotowania do wyjazdu, który Dybowski projektował na sierpień. Przede wszystkim przeniósł się do Irkucka. I tu jednak nie przestawał zajmować się Bajkałem. Postanowił mianowicie zrobić szereg zdjęć fotograficznych Bajkału i jego otoczenia. Zrobił umowę z jednym z fotografów irkuckich: dostał od niego do pracy dwa aparaty fotograficzne — jeden do większych, drugi do mniejszych klisz. Za to klisze zdjęć miały pozostać własnością fotografa, który w charakterze honorarium za wykonane zdjęcia miał sporządzić z nich dwa albumy — jeden dla Dybowskiego, drugi dla Godlewskiego.

Umowę wykonał Dybowski skrupulatnie. Zrobił kilkadziesiąt fotografii, przeważnie widoków górskich. „Nazwy gór, wodospadów itd. — pisze Dybowski — sami nadawaliśmy, lecz one miały być przyjęte przez Towarzystwo Geograficzne. Tak powstały nazwy: 1 — Góra Czekanowskiego, 2 — Stawek Wrońskiego, 3 — Wodospad Wandy, 4 — Wodospad Kazi, 5 — Wodospad Zosi, 6 — Dolina Czerskiego, 7 — Wąwóz Łagowskiego, 8 — Zawrat Zienkowicza, 9 — Grota Jadwini, 10 — Pichtownik Margeritki itd.“.

Przygotowując się do odjazdu układał Dybowski jednocześnie konkretny projekt dalszego badania Azji, a mianowicie Kamczatki. Wyjeżdżając był przekonany, że uda mu się powrócić.

Pewnego dnia zaprosił do siebie Jana Czerskiego, Pawła Ekerta, Mikołaja Hartunga i Władysława Księżopolskiego. Przedstawił im projekt wyprawy na Kamczatkę. Miała ona wyglądać następująco: Dybowski pojedzie jako lekarz rządowy, Czerski, Ekert i Hartung — jako przyrodnicy, delegowani czy to przez władze państwowe, czy też przez jakąś instytucję naukową. Dybowski ufał, że uda mu się uzyskać dla nich odpowiednie etaty czy też subsydia na tę podróż.

Czerski będzie prowadzić badania geologiczne; Hartung, jako chemik, będzie badał źródła; Ekert zajmie się zbieraniem ryb; Księżopolski będzie zbierał rośliny i będzie też prowadzić obserwacje meteorologiczne.

Z rozmowy wynioskował Dybowski, że projekt wyprawy podobają się zebranym. Tylko Godlewski stanowczo odmówił udziału.

Tak tedy z myślą o powrocie odjeżdżał uczony nasz z Irkucka do Warszawy w sierpniu 1877 roku. Dziwne to było rozstanie katorżnika z katorgą — rozstawał się Dybowski z Syberią w głębokim smutku.

BADANIA NAUKOWE NA SYBERII

To, że Dybowski żegnał kraj swego zesłania ze smutkiem, nie wyda się nam zbyt dziwne, jeśli zważymy, że przeżył on tu najpiękniejszy okres swego życia. Przeprowadził badania naukowe, które dały mu głębokie zadowolenie, jakie odczuwa każdy uczony, gdy po wykonaniu pracy rezultaty jej potwierdzają teoretyczne założenia. A w danym przypadku Dybowski miał jeszcze tę satysfakcję, że dowiódł, iż on właśnie miał rację, a nie ci uczeni, którzy negowali bogactwo fauny Bajkału, opierając się na niedokładnych, niestarannych badaniach swych protegowanych. Przeprowadził badania, które doprowadziły do odkrycia jednej z najciekawszych faun jeziornych. Dało mu to sławę światową. A trzeba pamiętać, że badania te prowadził w warunkach wyjątkowo trudnych — jako zesłaniec polityczny i katorżnik. Toteż tym większego są one godne podziwu. Niezwykłego entuzjazmu do nauki i olbrzymiej energii trzeba było, by przezwyciężyć te trudności, które miał badacz-katorżnik. Dybowski przezwycięzył je. Zdolał wytworzyć wokół swych badań nastrój, który nie tylko przekonywał, ale i porywał innych do badań naukowych. Potrafił znaleźć poparcie dla swej pracy nie tylko wśród innych zesłańców, nie tylko w społeczeństwie syberyjskim, ale nawet w administracji kraju.

Ostatecznie wyniki jego pracy oceniła także nauka rosyjska. Na wniosek Towarzystwa Geograficznego otrzymał Dybowski za swe prace złoty medal. Towarzystwo to wyraziło też chęć wystarania się u cara o przydomek „Bajkalski“ do nazwiska Dybowski. Uważane to było za bardzo wysoki zaszczyt. Takie przydomki — od badanych obszarów — nadawano tylko najwybitniejszym, szczególnie zasłużonym badaczom. Dybowski odmówił jednak przyjęcia tego carskiego odznaczenia.

Wszelkie badania naukowe, a badania faunistyczne może w większym stopniu niż inne, pociągają za sobą duże koszty. Dlatego takie

badania, jakie prowadził Dybowski na Syberii, są zwykle finansowane czy to przez rząd, czy akademię, czy też przez jakieś towarzystwo naukowe.

Dybowski nie miał żadnego takiego subsydium. Sam musiał finansować swe badania. Skąd brał na to pieniądze? Trochę pomagała mu rodzina, mianowicie siostra. Wydatną pomoc okazywał mu także Władysław Taczanowski, ówczesny kustosz „Gabinetu Zoologicznego“ Uniwersytetu Warszawskiego.

Do Muzeum tego przysyłał Dybowski olbrzymią większość swych zbiorów, a przede wszystkim ptaki. Nimi bowiem, jako ornitolog, interesował się specjalnie Taczanowski, jak również Konstanty Branicki, który w tych czasach „mecenasaował“ naukom przyrodniczym w Warszawie i z którego szkatuły czerpał Taczanowski na pomnażanie zbiorów Uniwersytetu. Otóż Taczanowski, co mógł, to wysyłał Dybowskiemu za ptaki przezeń przysyłane. Że zaś Dybowski przysyłał bardzo dużo, znacznie więcej niż — zdaniem Taczanowskiego — trzeba było dla Muzeum uniwersyteckiego, więc Taczanowski sprzedawał dublety do innych muzeów, a pieniądze uzyskane ze sprzedaży wysyłał Dybowskiemu. Dodać tu jednak należy, że wszelkie inne zbiory — oprócz ptaków — przysyłał Dybowski do Warszawy zupełnie bezinteresownie.

Pieniądze za ptaki było to główne źródło, z którego czerpał Dybowski na badania Syberii. Trzecie źródło — to jego zarobki jako lekarza. Wprawdzie Dybowski z zasady leczył darmo, ale niekiedy sprzeniewierzał się tej swojej zasadzie. Mianowicie wówczas, gdy trzeba było gwałtownie pieniędzy na prowadzenie badań, a pacjenci byli specjalnie dobrze sytuowani materialnie, to Dybowski zgadzał się na przyjmowanie honorarium. Sam jednak nigdy takowego nie żądał. Od pacjentów niezamożnych z zasady nie przyjmował honorarium nigdy, przeciwnie — dawał im jeszcze bezpłatnie lekarstwa.

Praca naukowa i udzielanie pomocy lekarskiej — to była treść życia Dybowskiego na zesłaniu. Od obowiązków lekarza nie uchylał się nigdy, na pierwszym miejscu stawiał jednak zawsze pracę naukowo-badawczą. Ona pochłaniała go całkowicie i decydowała o wszelkich jego poczynaniach: podróżach, zmianach miejsc zamieszkania itd.

Badanie fauny Syberii rozpoczął Dybowski już w drodze do katorgi. W podróży tej słyszał pełne entuzjazmu opowiadania o Bajkale i wypływającej z niego rzece — Angarze. W opowiadaniach

tych Bajkał miał dziwny, tajemniczy urok. Sybiracy nazywali go nie jeziorem, ale morzem, i to „świętym morzem“, „świętą“ była też wypływająca z Bajkału Angara.

Dybowski pisze o niej: „Angara, jedna z najciekawszych rzek wschodniej Syberii, przepływa mimo stacji Telmińskiej¹⁾; ona jeszcze dotąd nie była zamrznięta, wtedy gdy inne rzeki już grubym lodem pokryły się, a mamy koniec listopada...”

Przeprawa przez Angarę naszej dużej partii odbywała się na promie... Nie spiesząc się wcale z przejazdem byłem w ostatnim szeregu, a czekając na kolej szukałem w wodzie, wzdłuż brzegu rzeki, i znalazłem kilka okazów drobnych muszelek, które później określiłem jako *Hydrobia angarensis*... opisany w r. 1859“ przez Gerstfeldta.

Tego Grzegorza Gerstfeldta, zoologa, poznał Dybowski swego czasu w Dorpacie. Projektował on wówczas podróż na Syberię wspólnie ze swym przyjacielem Ryszardem Maackiem. Po powrocie z Syberii ogłosił pracę o skorupiakach bajkalskich oraz o mięczakach bajkalskich i amurskich. Widział go Dybowski po powrocie z tej podróży i dowiedział się od niego, że Maack zajmuje w Irkucku jakiegoś ważne stanowisko i ma duże wpływy.

Zaraz tedy po przybyciu do Irkucka skomunikował się Dybowski z Maackiem w przekonaniu, że — jako naukowiec — nie odmówi mu on pomocy w badaniu Syberii. I nie zawiódł się. Maack pożyczył mu swą pracę o podróży na Amur tudzież prace Raddego i Gerstfeldta o faunie Syberii. Prace te pożyczył Maack Dybowskiemu do więzienia. Tu studiował on je gruntownie.

Pisze o tym: „...całe wieczory spędzałem robiąc wyciągi z dzieł pożyczonych, w ciągu tej pracy doszedłem był do przekonania, że przyrodniczy petersburscy mylą się uznając: 1) avifaunę Syberii Wschodniej za prawie identyczną z zachodnio-syberyjską i europejską. 2) że Bajkał jest bardzo ubogi odnośnie do fauny niższych zwierząt. Otóż postawiłem sobie za zadanie dowieść mylności tych twierdzeń“.

Jeszcze z więzienia wysłał Dybowski do Warszawy pierwsze okazy ptaków. Za pośrednictwem jednego z więźniów, któremu pozwolono wychodzić na miasto, kupił Dybowski głuszcza, cietrzewia, gawrona i kawkę. Okazy te spreparował i wysłał Taczanowskiemu za pośrednictwem Maacka.

¹⁾ Stacja Telminkaja — obecnie Telma (przyp. red.).

Na miejsce katoggi — jak to podałem wyżej — obrał sobie Dybowski Siwakową w Kraju Zabajkalskim. Tu też zaczął regularne badania faunistyczne. Zbierał więc owady, mięczaki i płazy. Przy okazji zbierał też i rośliny. Że jednak warunki pracy naukowej nie były tu pomysne, postarał się o przeniesienie do Darasunia. Jeździł w tej sprawie do Czyty. W czasie tej podróży nie zapominał o faunistyce. Mianowicie w drodze, w charakterze honorarium za leczenie (pieniędzy nie chciał przyjąć), dostał cztery okazy burunduków (rodzaj małej wiewiórki), które dostarczono mu do Siwakowej.

W Darasuniu praca faunistyczna szła bez porównania lepiej. Tu Dybowski został zwolniony od robót przymusowych. On i jego towarzysze (Godlewski, Parvex) dostali pozwolenie na broń myśliwską, którą udało się Dybowskiemu kupić tanio w Czycie. Toteż zbiory ptaków w czasie pobytu w Darasuniu powiększały się bardzo szybko. Między innymi zdobyto tu nowy podgatunek dropia (opisany przez Taczanowskiego jako *Otis dybowskii*), piękny okaz białej sowy, kilka gatunków żurawi i szereg innych ptaków. Łącznie przez czas pobytu w Darasuniu zebrał Dybowski przy pomocy swych towarzyszy przeszło 500 okazów ptaków, które reprezentowały 150 gatunków. Prócz tego zebrał dużo jaj ptasich, mianowicie całe legi, to znaczy pełne zniesienia 54 gatunków, a niektórych gatunków nawet po kilka lęgów.

Materiał ten został zebrany nie tylko w najbliższych okolicach Darasunia, ale również i w okolicach dalszych, podczas specjalnie w tym celu przedsięwziętych wycieczek naukowych czy też przygodnych wyjazdów do chorych. Zarówno w samym Darasuniu, jak i w czasie wyjazdów robił Dybowski notatki o obserwowanych ptakach. Notatki te, łącznie ze zbiorami, dostarczyły mu materiału do opracowania wykazu ptaków obserwowanych koło źródeł mineralnych w Darasuniu w Daurii w latach 1866—1867. Praca ta została opublikowana w języku niemieckim w Berlinie w *Journal für Ornithologie* w roku 1868. Jest to pierwsza praca Dybowskiego dotycząca fauny Syberii. Opisał w niej Dybowski nowy gatunek dropia, któremu dał nazwę na cześć Taczanowskiego. Taczanowski jednak, oddając rękopis do druku, wykreślił ten opis, a Dybowskiego zawiadomił, że ten drop nie różni się od europejskiego *Otis tarda* Lin. W parę lat później zmienił Taczanowski zdanie i w roku 1874 opisał tego dropia jako nowy gatunek, któremu dał nazwę *Otis dybowskii*. Obecnie

jest on uważany za podgatunek i nosi nazwę *Otis tarda dybowskii* Tacz.

Jak ogromne były zbiory darasuńskie, może świadczyć to, że co tydzień wysyłał Dybowski do Warszawy przesyłkę pocztową wagi w przybliżeniu 20 kg. W przesyłkach tych znajdowały się nie tylko ptaki, ale i inne zwierzęta, przede wszystkim kręgowce.

Prócz ptaków zajął się Dybowski w tym czasie opracowaniem ryb z Ingody i Ononu. Zbiory służące do tego opracowania składały się z czterdziestu kilku okazów, obejmujących 26 gatunków; w tym opisał Dybowski 12 nowych dla nauki gatunków. Tu zauważyć należy, że z tych nowych gatunków niektóre nie zostały uznane przez innych badaczy. A więc analogia do dropia. Ale jeśli nawet opisał Dybowski jako nowe gatunki te, które były już znane, to nie można się temu dziwić. Trzeba wziąć pod uwagę, że pracował w warunkach, w jakich nie mógł w stopniu dostatecznym opanować literatury naukowej. Tę pracę o rybach publikował Dybowski w roku 1869 w Wiedniu.

Tak więc już w Darasuniu zaczął Dybowski opracowywać rezultaty swych badań naukowych na Syberii. Opracowywanie to kontynuował następnie w Kultuku.

Z Darasunia bowiem przeniósł się Dybowski do Kultuka leżącego na południowym brzegu Bajkału. I tu zajął się badaniem fauny tego jeziora. Jakie przeszkody musiał przezwyciężyć zabierając się do tego badania, podałem już poprzednio. Tutaj dodam więc tylko parę słów o samej technice polowów. Otóż niestety musiał się Dybowski ograniczyć głównie do łowów na przynętę. Kosztorys dragi,



Drop — *Otis tarda dybowskii* Tacz. (okaz samicy wypchany przez Dybowskiego)
Ze zbiorów Instytutu Zoologicznego PAN
w Warszawie

potrzebnej do połowów fauny dennej na wielką skalę, został obliczony na dwa tysiące rubli. Była to suma, jak na owe czasy, ogromna, w dużym stopniu przekraczająca możliwości finansowe Dybowskiego. Musiał się więc ograniczyć do mało kosztownych metod, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, że w ten sposób nie będzie mógł zbadać fauny Bajkału w należytym stopniu. A jednak i to, czego dokonał Dybowski przy zastosowaniu prymitywnych metod, do których musiał się ograniczyć, jest godne najwyższego podziwu i uznania.



Jezioro Bajkalskie. Zatoka Kultucka

O badaniach fauny Bajkału w tym czasie pisze Dybowski: „Rzadko kto z przyrodników stawał w takiej pozycji do opisywanej i badanej fauny, jak my staliśmy wtedy względem fauny Bajkału: każda przerębła przynosiła nowe formy, coraz to ciekawsze, coraz oryginalniejsze. Różnorodność form, barwność kolorów pokryw ciała, dziwaczność uzbrojenia itd.“.

W czasie tym w związku z badaniem kielży prowadził Dybowski korespondencję z profesorem zoologii w Warszawie Augustem Wrześniowskim i Aleksandrem Strauchem w Petersburgu. Strauch był to jego kolega uniwersytecki. Przy okazji wyjaśnił mu Strauch wrogą stosunek Akademii Nauk w Petersburgu do jego badań Bajkału.

Właściwie był to wrogi stosunek akademika Fryderyka Brandta. Ale... Brandt decydował wówczas o wszystkim w Akademii. Do Dybowskiego zaś ustosunkował się wrogo, ponieważ był teściem Raddego, który badał Bajkał przed Dybowskim i orzekł, że fauna Bajkału jest bardzo uboga. Więc teraz, wobec odkryć Dybowskiego... kompromitacja.

Odkrycie jednej z najciekawszych form fauny bajkalskiej zawdzięcza Dybowski przypadkowi. Opisuje to tak: „Było to na wiosnę 1869 roku; wracałem saneczkami, po obejrzeniu przerębli, po linii Mydlanka—Bezimianna; znalazłem był wtedy nowy gatunek kielża wielkich rozmiarów, do 90 mm całkowitej długości, a 60 mm długości ciała, nazwałem go *Gammarus godlewskii*. Będąc rad z tego odkrycia, a marząc o nowych, nie nagliłem konia, biegł on lekkim truchtem. Raptem mijając dawną linię, wtedy zarzuconą, a mianowicie Angasolka-Kultuczna, nagle stanął, jak to było jego zwyczajem, gdy sobie przypominał przeręblę, u której stawał uprzednio. Wysiadłem i trzymając lejce w ręku obejrzałem miejsce; była tam dawna przerębla i przy niej pozostała wiecha zawiana obecnie śniegiem; wyjąłem oskard z sanek, odrzuciłem nawiany śnieg, wydobyłem wiechę, gałąź świerkową i już miałem siadać do sanek, atoli przedtem rzuciłem wzrokiem na przestrzeń gładką lodu opromienioną blaskiem słonecznym; tam spostrzegłem w przezroczystym lodzie jakiś niewielki przedmiot łamiący promienie słoneczne inaczej niż lód; zaintrygowany, skierowałem konia w tę stronę, ukląknąłem na lodzie i przypatrując się przedmiotowi widziałem wyraźnie przeźroczą istotę, podobną do kielży, zamarzną w lodzie. Przestrzeń lodu od powierzchni do owej istoty była niewielka; służyła ona tu dla wzroku, jak gdyby patrzyło się przez szkło powiększające, bo spoglądając przez lód, rozpoznawałem doskonale szczecinki i włoski obfite na czułkach i odnóżach sterowych. Okaz był świetnie zachowany, duży, do 60 mm całkowitej długości; byłem zachwycony! Takiej uroczej formy, przeźroczej jak kryształ, nie mieliśmy dotąd; przeźroczłość świadczyła, że to jest istota pelagiczna. Radość moją trudno opisać, gładziłem Ancypę (tak się nazywał koń, którym Dybowski jechał), pieściłem go, jemu tylko zawdzięczam to odkrycie.

Zaznaczywszy dokładnie miejsce wiechy i oskardem, pospieszyłem do domu i po odpoczynku ruszyliśmy z Godlewskim, ażeby ten drogocenny okaz wyrąbać z lodu; ostrożnie toporem wykuliśmy

dokoła głębokie rowy i z nich dłużej od spodu działając oddzieliliśmy bryłę lodową; zabraliśmy ją z sobą do domu; tam powoli roztała oswobadzając cudną istotę ze swych więzów chroniących ją dotąd od zniszczenia“.

Był to nowy dla nauki gatunek. Dał mu Dybowski nazwę *Caelestia branickii*, stosując się do życzenia Taczanowskiego, by jedną z nowych form fauny bajkalskiej dedykować hr. Branickiemu, który mocno się tą fauną interesował,łożył pośrednio na jej badanie i gotów był dać pewną sumę na wydanie pracy o kielżach bajkalskich.

Przytoczony opis znalezienia tego gatunku świadczy, ile uczucia wkładał Dybowski w swe badania naukowe. Entuzjazm jego i zachwyt tą co prawda wyjątkowo piękną formą równy jest olśnieniu artysty, który staje niespodziewanie przed wyjątkowo pięknym dziełem sztuki.

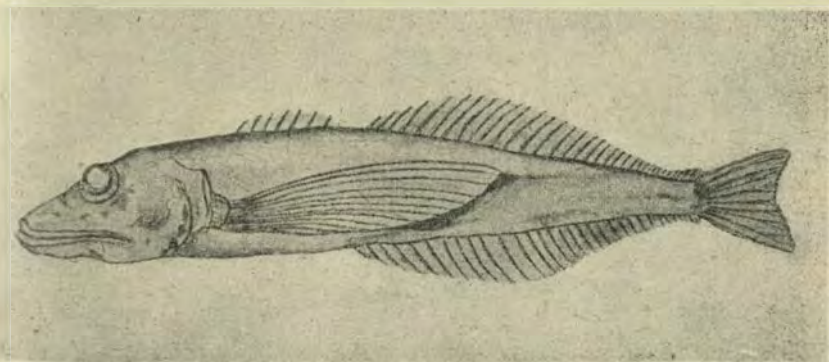
W tym czasie przeprowadzał Dybowski pierwsze pomiary głębokości Bajkału, mianowicie za pomocą własnej metody wagowej. Rezultaty tych pomiarów oraz samą metodę pracy ogłosił Dybowski w „Izwiestiach Sibirskawo Otdielenia Russkawo Geograficzeskawo Obszczestwa“.

Połowy planktonu robił Dybowski również siecią własnej konstrukcji, którą opisuje tak: „Przyrząd składał się z dwóch kółek mosiężnych, każde około 30 cm średnicy. Kółka były stale i mocno ze sobą połączone za pośrednictwem 3 prętów mosiężnych, przyrząd zewnątrz obciążony merlą. Do powierzchniowego kółka przywiązaliśmy więcierzyk zrobiony z cienkiej merli, sztywny, wznoszący się pionowo pod kółkiem. Do dolnego kółka był również uwiązany więcierzyk, pionowo nad nim umieszczony. Przyrząd obciążony oliwką opuszczaliśmy na lince do głębokości z góry oznaczonej. Spuszczający się w głąb wody aparat łowił plankton więcierzykiem dolnym, podnosząc się natomiast do góry — więcierzykiem górnym“.

Plankton miał opracowywać w Irkucku młody przyrodnik Hrebnicki, uczeń profesora Kowalewskiego z Odessy. Niestety zawiódł on nadzieje Dybowskiego. Sam planktonu nie opracował rzekomo z powodu braku odpowiedniej literatury. Zakomunikował Dybowskiemu, że otrzymane próbki z planktonem odesłał profesorowi Kowalewskiemu do Odessy. Okazało się jednak, że kłamał. Tak więc znaczna część materiału do fauny Bajkału, zbierana z takim trudem, zmarnowała się.

W roku 1869 nastąpiła przerwa w badaniach Bajkału, spowodowana wyjazdem Dybowskiego na wschód z generałem Skolkowem, o czym już była mowa.

Naukowe rezultaty tej podróży z ekspedycją Skolkowa były bardzo nikłe. Jednak tu i ówdzie udawało się Dybowskiemu zdobywać po kilka ptaków, a trochę przedstawicieli fauny wodnej — w jeziorze Chanka. Pod nieobecność Dybowskiego, Godlewski pozostał w Kultuku i nie próżnował. Według instrukcji Dybowskiego zbierał ptaki, a w Bajkale — kielże i mięczaki. Przerwa w badaniach Bajkału nie była więc całkowita.



Golomianka bajkalska — *Comephorus baicalensis* Pall.

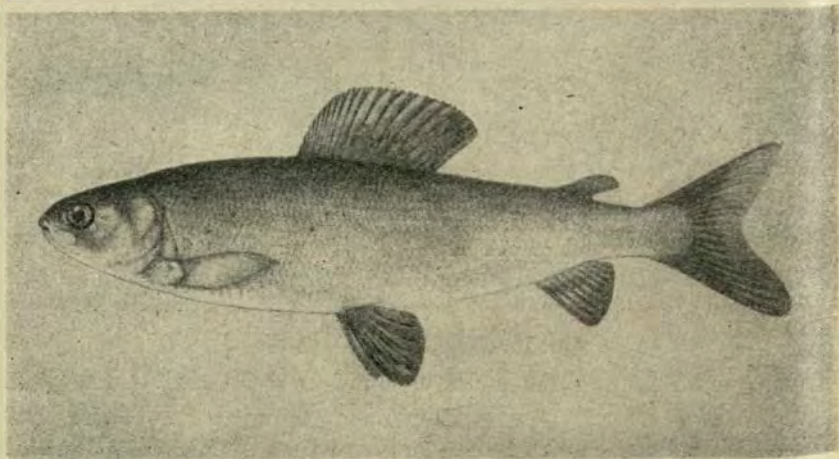
(„Sława Bajkału i moja“ — jak mówi Dybowski w „Pamiętniku“)

Po powrocie do Kultuka zajął się Dybowski przede wszystkim dwiema sprawami: 1. sprawozdaniem naukowym dla Towarzystwa Geograficznego oraz programem dalszych prac, 2. sprawą masowej śmierci golomianki. Ta druga sprawa była specjalnie ważna ze względu na gospodarcze znaczenie golomianki. Ryba ta poławiana jest w Bajkale w dużych ilościach. Według orzeczenia chemika Łomonosowa i Aleksandra Czekanowskiego, którzy zostali przez Towarzystwo Geograficzne delegowani do zbadania tej sprawy, masowa śmierć golomianki powodowana jest gazami wydobywającymi się z dna jeziora.

„Przeciwko temu zdaniu obu uczonych — pisze Dybowski — wystąpiłem ze stanowczością, która nie podobała im się; zarzucono mi, że bez żadnych pewnych dowodów ze swej strony zaprzeczam

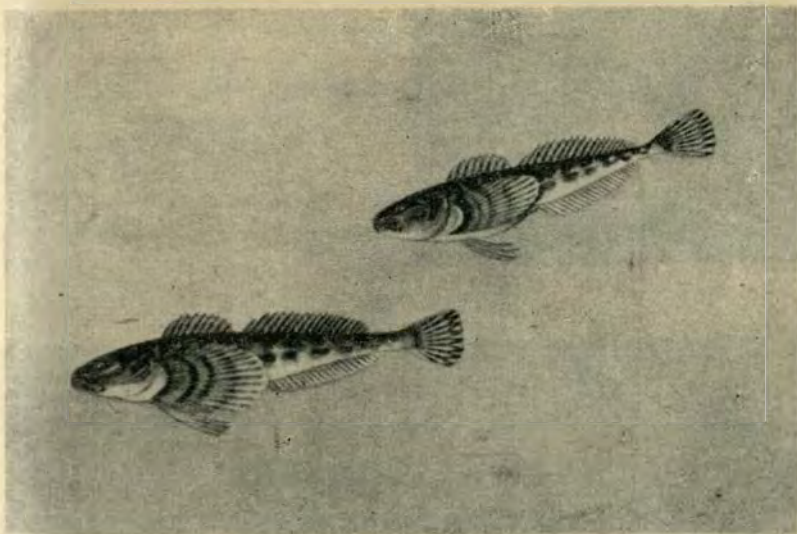
ich dowodom. Ale miałem już wtedy dwa negatywne dowody: mianowicie okazy gołomianek wyrzucone na brzeg Bajkału są zawsze jednostajnej wielkości, więc giną tylko okazy dorosłe. Gdyby gołomianki ginęły od gazów zabójczych, to mielibyśmy okazy różnej wielkości. Ten fakt był dla mnie tak ważny, że już tylko na jego podstawie postawiłem był wniosek, że gołomianki nie giną od gazów.

Gazy bajkalskie uznałem za gazy błotne, a nie za plutoniczne; gdyby takie gazy istniały i były zabójcze dla gołomianek, wówczas byłyby one także zabójcze dla omoli (*Coregonus omul*), a jednak masowych zgonów czy to omoli, czy lipieni nie obserwowano na Bajkale. Jakkolwiek nie umiano mi dać wyjaśnień przytaczanych faktów, ale mimo tego uznano je za nieważne. Postanowiłem tedy użyć wszelkich możebnych środków, ażeby wyjaśnić kwestię zgonu masowego gołomianki“.



Thymallus arcticus baicalensis Dyb. — lipień bajkalski, przemysłowa ryba Bajkału

I udało się to Dybowskiemu wyjaśnić. Stwierdził, że gołomianki nie składają jaj, lecz są żyworodne, przy czym cykl ich życia kończy się po wydaniu potomstwa; po prostu umierają śmiercią naturalną. Tak więc rozstrzygnął Dybowski zagadnienie masowej śmierci gołomianki, kładąc koniec rozmaitym innym hipotezom i sporom, które na ten temat trwały bardzo długo. To wyjaśnienie Dybowskiego zostało całkowicie akceptowane przez zoologię. A profesor Korotniew nazwał nowy, odkryty przez się gatunek gołomianki *Comephorus*



Cottus kessleri Dyb. — ryba bajkalska z rodziny głowaczy (*Cottidae*)

dybowski, podkreślając w ten sposób zasługę Dybowskiego w badaniu biologii gołomianki.

Sporządzenie sprawozdania z badań naukowych zajęło Dybowskiemu dużo czasu. Objął nim bowiem całość dotychczas przeprowadzonych prac, a przede wszystkim prace prowadzone w Darasuniu i Kultuku, wobec których materiały i obserwacje zebrane w innych okolicach były stosunkowo nikle.

A oto wyjątek z tego sprawozdania dotyczący Kultuku: „Mieliśmy w swych rękach 223 formy fauny ornitologicznej, a więc tyle, ile zdobyliśmy w Darasuniu (221 gatunków). Gustaw Radde przez cały czas swego pobytu w Przedbajkału i w okolicach Bajkału zebrał 133 gatunki, więc mieliśmy o 90 gatunków więcej.

Ssawców mieliśmy bądź całe zwierzęta albo tylko ich czaszki, jak np. czaszki losia, jelenia — gatunków 28. Psa morskiego bajkalskiego opisałem później i opatrzyłem rysunkami. Opis ogłoszony został w Berlinie.

Z gadów 2 gatunki. Z płazów 2 gatunki; jeden nowy, opisany przeze mnie pod nazwą *Salamandrella keyserlingi*. Z ryb 18 gatunków, kilka nowych głowaczy (*Cottus*). Z niższych zwierząt podaliśmy ogólnikowo przeszło 70 gatunków kielży (*Gammarus*) i około 30 form



a

Kielże bajkalskie:

- a — *Gammarus latior* Dyb.,
 - b — *Gammarus longicornis* Dyb.,
 - c — *Gammarus radoszkowskii* Dyb.
- ze zbiorów Instytutu Zoologicznego PAN w Warszawie



b



c

mięczaków (*Mollusca*), przeważnie nowe gatunki. Zbiór owadów składał się z 18 000 okazów. Do tego herbarium, zbiór minerałów i kolekcja jaj ptasich. Po śpiesznym opracowaniu sprawozdania wysłaliśmy je do zarządu Towarzystwa Geograficznego. Zarząd Towarzystwa postanowił przedstawić nas do nagrody na złote medale.

Program przyszłych badań, jaki wysłałem do zarządu Towarzystwa Geograficznego, nie znalazł uznania. Proponowałem utworzyć stację przyrodniczą w Kultuku, jakkolwiek wiedziałem z góry, że propozycja moja nie będzie akceptowaną“.

I istotnie nie była zaakceptowana. Projekty Dybowskiego zostały zrealizowane dopiero po Wielkiej Rewolucji Październikowej, po obaleniu caratu i zmianie ustroju. Na Bajkale powstała naukowa Stacja Badawcza, a statek tej stacji, służący do badań, otrzymał nazwę „Benedykt Dybowski“. Dybowski został powołany na członka Akademii Nauk w Leningradzie. W Związku Radzieckim ceniono wysoko Dybowskiego i jego zasługi położone w zbadaniu Azji północnej, szczególnie zaś Bajkału.

W przekonaniu, że renifery i losie tamtejsze muszą być odmienne od europejskich, starał się Dybowski o zdobycie okazów tych gatunków. Niestety nie udało mu się to. Natomiast zdobył wspaniałe okaz rosomaka. Opisując w swych pamiętnikach fakt zdobycia tego drapieżnika, porusza Dybowski zagadnienie atawistycznej, instynktownej obawy zwierząt przed niektórymi drapieżnikami, z jakimi nigdy nie miały one do czynienia. Już sam zapach tych drapieżników wywołuje u nich przerażenie. Tak reagują konie na wilki, psy — na rosomaki, myszy, szczury i króliki — na teńhorze itd.

Ssakom poświęcał Dybowski dużo uwagi. Prócz drobnych okazów ssaków (*Mus*, *Sminthus* itp.) zbierał i duże, choć wymagało to wiele trudu i pociągało za sobą koszty. Dwa okazy foki posłużyły mu do opisu nowego gatunku — *Phoca baicalensis*. Na podstawie okazu wilka, przesłanego z Kamczatki do Muzeum Zoologicznego w Warszawie, opisałem w roku 1926 tego wilka pod nazwą *Canis lupus dybowskii*.

W czasie tym zrobił Dybowski wypad w Góry Chamardabańskie. Dał on stosunkowo niewielkie efekty; jednak zebrano pewną ilość ptaków i drobnych ssaków. Przyjemnym urozmaiceniem tej wycieczki było spotkanie z Aleksandrem Czekanowskim, który prowadził tu badania geologiczne. Przykrych emocji natomiast dostarczyła po-

teżna burza, która rozszalała się pewnego dnia. Trwała do wieczora i długo w noc. Silna ulewa przeszła stopniowo w śnieżycę. Rano, gdy Dybowski wyszedł z namiotu, stwierdził grubą warstwę śniegu. Śnieg ten zatrzymał Dybowskiego i jego towarzyszy (Godlewskiego i Wrońskiego) w tych górach dłużej, niż to było projektowane. Zejść bowiem mogli dopiero wówczas, gdy śniegi stajały.

Wyświetliwszy sprawę gołomianki, zajął się Dybowski opracowaniem kielży. Przy okazji badań systematycznych opracował też ich morfologię. Uważając, że to, co dotychczas zrobiono w tym kierunku, jest niewystarczające, wprowadził nową nomenklaturę poszczególnych części ciała kielży, utworzoną na podstawie własnego komentowania jego segmentów. Rezultaty tych badań ogłosił w dwu pracach: 1. *Beiträge zur näheren Kenntniss der in dem Baikalsee vorkommenden niederen Krebse aus der Gruppe der Gammariden* (St. Petersburg 1874) i 2. *Neue Beiträge zur Kenntniss der Crustaceenfauna des Baikalsees* (Moskwa 1880—1884).

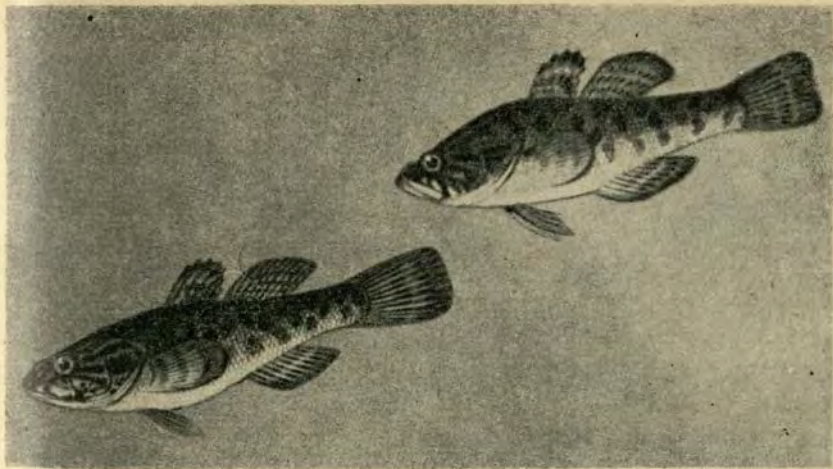
Rok 1870 i 1871 poświęcił Dybowski głównie pracy nad kielżami — ich systematycznemu opracowaniu, opisowi i rysunkom. Sprawą rysunków zajęli się Feliks Zienkowiec, Michał Łagowski i Stanisław Wroński. Rysowali oni jednak i malowali pod bezpośrednim kierownictwem Dybowskiego, któremu chodziło o to, by rysunki były zupełnie dokładne zarówno pod względem rozmiarów, jak i kolorytu.

Oprócz pracy nad kielżami Dybowski zajął się opracowaniem ryb przywiezionych ze wschodu. Przygotował do druku pracę *Zur Kenntniss der Fischfauna des Amurwassersystemes*, która wyszła w Wiedniu w roku 1872. Rysunki ryb do tej pracy wykonał Wroński.

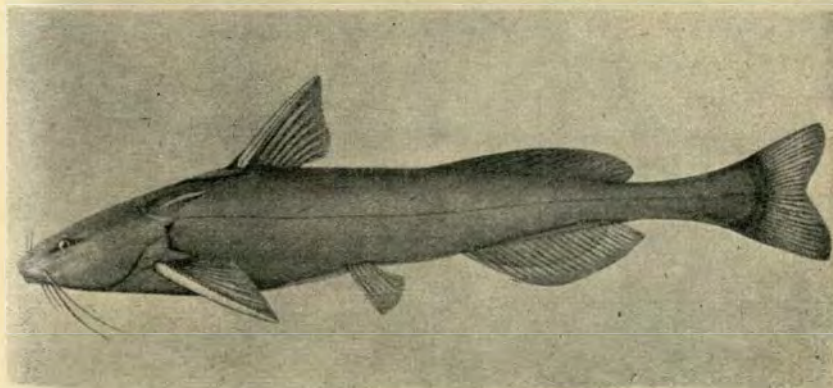
W tym czasie Dybowski rzadko bywał w Irkucku. Raz jeden pobyt jego tam trwał przez kilka dni. Wezwał go Czekanowski w ważnej sprawie. Okazało się, że Czernski oprócz geologii pracuje nad zwierzętami ssącymi i ma rozmaite wątpliwości, do rozstrzygnięcia których konieczny był Dybowski.

Przed projektowanym wyjazdem na Daleki Wschód przygotował Dybowski prócz wyżej wymienionych i inne prace dotyczące faunistyki Syberii Wschodniej. Prace te wyszły z druku w latach 1870—1875.

Przygotowanie tych prac do druku i starania o ich wydanie kosztowały Dybowskiego wiele trudu. W owych czasach sprawa



Perccottus glehni Dyb. — jeden z głowaczy amurskich



Liocassis ussuriensis Dyb. — kosatka ussuryjska

druku prac naukowych nie była tak prosta i łatwa, jak obecnie. A Dybowski miał jeszcze i te trudności, że przebywał daleko od ośrodków naukowych, w których można było publikować.

Akademia Nauk w Petersburgu odmówiła stanowczo wydania pracy o kielżach bajkalskich. Powody tej odmowy są zrozumiałe ze względów, które poprzednio podałem. Dzięki jednak generałowi Radoszkowskiemu, który był entomologiem i mieszkał stale w Petersburgu, praca ta ukazała się w wydawnictwach Rosyjskiego Towarzystwa Entomologicznego.

W roku 1872 badania Bajkału zostały przerwane na pewien czas. Przerwa ta była spowodowana podróżą na Daleki Wschód. Podróż tę już opisałem wyżej; tutaj dodam tylko nieco wiadomości o jej rezultatach naukowych. Były one bardzo wydatne. Jeszcze przed wyjazdem Dybowskiego i przed rozpoczęciem podróży Godlewski, oczekujący na Dybowskiego w Balzynie, zebrał sporo materiału ornitologicznego.

Podróż rozpoczęła się właśnie w Balzynie. Szczególnie bogate materiały zebrano w tych miejscowościach, w których Dybowski z tych czy innych względów zatrzymywał się przez czas dłuższy. Pierwszą taką miejscowością był Stary Curuchajtuj, gdzie budowa łodzi na podróż Amurem zatrzymała Dybowskiego i jego towarzyszy bardzo długo. Zebrano tu dużo ptaków, ryb, a także i przedstawicieli innych gromad. Z ptaków zdobyto szereg interesujących gatunków czy to ze względu na ich rzadkość, czy też rozmieszczenie geograficzne, między innymi np. kulika — *Macrorhamphus semipalmatus*. W roku 1858 Polak M. Moszyński przysłał jeden okaz tego kulika z Czyty do Warszawy. Przez cały czas pobytu na Syberii Dybowski na próżno szukał tego gatunku i dopiero właśnie w dolinie Arguni znalazł go, i to jako pospolitego ptaka gniazdowego. Wśród ptaków tam zebranych znalazło się kilka form, które nawet Taczanowski zmuszony był uznać za nowe, różniące się wyraźnie od form zachodnio-palearktycznych. Tak samo bogate zbiory dał pobyt w Kozakiewiczewoj nad rzeką Ussuri, gdzie Dybowski prowadził badania jeszcze dłużej niż w Starym Curuchajtaju.

W sierpniu 1874 roku ruszył Dybowski znad Ussuri dalej na wschód, na wybrzeże morskie. I tu zabawił większość tego czasu, który zabrała mu cała ta podróż. Toteż tu zebrał Dybowski najbogatsze zbiory. Z ptaków przybyło mu kilkanaście gatunków, których dotychczas w ogóle nie spotykał. To samo dotyczy innych skupień. Najciekawsze okazały się zbiory ptaków, ryb, mięczaków i skorupiaków. Wśród nich znalazło się wiele form w ogóle nowych dla nauki.

Ale oczywiście kolekcjonował Dybowski nie tylko tam, gdzie zatrzymywał się przez czas dłuższy. Bez przerwy w ciągu całej podróży odbywało się kolekcjonowanie i nie było dnia, by zbiory się nie powiększyły.

W październiku 1875 roku powrócił Dybowski z Bałtyku do Irkucka i zaraz zabrał się do kontynuowania badań Bajkału. Prowadził je w opisanej wyżej budzie na saniach.

Zupełnie niespodziewane rewelacje przyniosły pomiary głębokości Bajkału. Im bliżej było środka jeziora, tym bardziej zmniejszała się jego głębokość, malejąc od tysiąca paruset metrów do metrów 60, by następnie znów wzrastać. Okazało się tedy, że Bajkał obejmuje dwa baseny; zachodni — głębszy i wschodni — płytszy. Te dwa baseny rozdzielone są płycizną wynoszącą zaledwie 60—70 metrów. Takie ukształtowanie dna zwiększa różnorodność warunków ekologicznych, co oczywiście sprzyja wykształceniu bogatej i różnorodnej fauny.

Robiąc pomiary głębokości, jednocześnie — za pomocą specjalnie w tym celu skonstruowanego przyrządu, który nazwał „ilochwyttem“ — wydobywał Dybowski z dna ił, a wraz z nim faunę denną. W ten sposób udało się stwierdzić, że niektóre gatunki, uważane dotychczas za pelagiczne, prowadzą też i denny tryb życia. W tych próbach dna były liczne okazy pierścienic szczecionogich i robaków.

Po przyjeździe z Bajkału do Kultuka rozpoczęto znów intensywne badania ornitologiczne. W czasie tego drugiego pobytu w Kultuku zebrał Dybowski znów kilkaset okazów ptaków. W tym najważniejszą zdobyczą był nowy gatunek poświerki, którą Taczanowski opisał pod nazwą *Emberiza godlewskii*.

Zwrócenie uwagi na ptaki nie oderwało jednak Dybow-



Poświerka — *Emberiza rustica* Pall. (okaz spreparowany w Kultuku przez Dybowskiego) — ze zbiorów Instytutu Zoologicznego PAN w Warszawie

skiego od badania Bajkału i innych wód. I właśnie w tym czasie badania te dały ważne rezultaty. W Bajkale zdobył Dybowski bogaty materiał narybku gołomianki, a w Angarze znalazł pewną ilość gatunków, których dotychczas nie miał.

Dowodem zainteresowań zoogeograficznych Dybowskiego są badania innych wód Syberii poza Bajkałem, a to w celu ustalenia stosunku fauny Bajkału do fauny słodkowodnej innych zbiorników wodnych Azji. Ale badania te wykazały, a ściśle mówiąc, potwierdziły przekonanie Dybowskiego, że fauna Bajkału jest bardzo swoista. Nie znalazł Dybowski kielży bajkalskich ani w Jeziorze Śnieżnym, ani w jeziorze Kosso-Goń.

Pobyty w Kultuku zakończył badania Syberii przez Dybowskiego w czasie zesłania. Badania te trwały niemal przez czternaście lat — od roku 1864 do 1877.

Rezultaty tych badań stały się dla nauki wyjątkowo doniosłe i utrwały nazwisko Dybowskiego w nauce na zawsze, jako jednego z najwybitniejszych badaczy Azji północnej.

Zebrane materiały faunistyczne były tak ogromne, że tylko część ich mógł Dybowski sam opracować. Rozpoczął to już na Syberii. W czasie od roku 1868 do 1878 ogłosił Dybowski około 30 publikacji traktujących o przyrodzie Syberii. A jeśli już to, że w ciężkich warunkach zesłania potrafił prowadzić badania naukowe, jest godne najwyższego podziwu i uznania, to wręcz zdumiewa to, że zdołał w tych warunkach przygotowywać do druku rozprawy naukowe.

Dybowski pracował w tym czasie nad kielżami i rybami. Ogłosił jednak to i owo o ssakach, ptakach i płazach. Jeśli tak dużo uwagi poświęcał ptakom i zebrał tak wielkie ich ilości — to głównie z myślą o Władysławie Taczanowskim, ówczesnym kustoszowi „Gabinetu Zoologicznego“ Uniwersytetu Warszawskiego, wybitnym ornitologu, który podjął się opracować materiały ornitologiczne zebrane przez Dybowskiego. I opracował je. Sądzę więc, że najlepiej zrobię, gdy ocenę zasług Dybowskiego w poznaniu fauny ornitologicznej Syberii pozostawię Taczanowskiemu.

Omówiwszy badania poprzednich podróżników przechodzi Taczanowski do Dybowskiego i pisze: „Pobyty doktora Dybowskiego w Syberii Wschodniej, od roku 1865 aż do tego czasu, przyczynił się w dużym stopniu do poznania fauny ornitologicznej tego kraju.

Ten niestrudzony i całkowicie oddany nauce przyrodnik, po przezwyciężeniu wszelkich trudności, zainstalował się najpierw w Darasuniu, w Daurii zachodniej, gdzie w latach 1866 i 1867 ze swymi towarzyszami Parvexem i Godlewskim, równie oddanymi sprawie, zebrał wielkie kolekcje zoologiczne. W latach 1868—1871 wraz z Godlewskim kontynuowali eksplorację w Kultuku, na południowym brzegu Bajkału. W roku 1872 zajęty był w okolicach Akszy w Daurii, następnie w 1873 w Starym Curuchajtuju nad Argunią, w roku 1874 na stacji Kozakiewiczowej przy ujściu Ussuri (48° szer. półn.) i w roku 1875 w Port-Strielok (43° szer. półn.).

Ornitologiczne rezultaty tej eksploracji dodały do fauny ornitologicznej tych krajów około 80 gatunków, które nie były jeszcze zaobserwowane przez żadnego z poprzedników. W liczbie tej jest przynajmniej dziesiątek form nowych dla nauki, inne są znane z krajów sąsiednich. Zbiory Dybowskiego mają wielkie znaczenie dla nauki, dając możność porównania form syberyjskich z indyjskimi, chińskimi i europejskimi, co doprowadziło do dokładnego poznania gatunków. Prace ornitologiczne Dybowskiego są niemniej doniosłe dla nauki pod względem ich znaczenia dla geograficznego rozmieszczenia, wnoszą bowiem nowe dane do tej dyscypliny“ (L. Taczanowski *Revue critique de la faune ornithologique de la Sibirie Orientale. Bulletin de la Société Zoologique de France.* Paris 1876).

Powyższa praca Taczanowskiego ma niejako charakter tymczasowego zawiadomienia o rezultatach pracy ornitologicznej Dybowskiego na Syberii. Zbiory i obserwacje ornitologiczne Dybowskiego dały później Taczanowskiemu możność opracowania wielkiej podstawowej monografii ptaków Syberii Wschodniej, która pod tytułem *Faune ornithologique de la Sibirie Orientale* wyszła nakładem Akademii Nauk w Petersburgu (*Mémoires de l'Académie des Sciences de St. Petersbourg*, VII série, tome XXIX, 1891). W pracy tej uwzględnił Taczanowski oczywiście wszystko to, co zrobili w tej dziedzinie i inni badacze, ale większość materiałów stanowiły materiały Dybowskiego i jego towarzyszy.

Niestety Dybowski zawiódł się na Taczanowskim. To znaczy Taczanowski nie wyzyskał jego materiałów w należytych stopniu. Dybowski pisze o tym: „Pragnienie moje zbadania awifauny wschodniej Syberii nie było należycie ocenione przez Taczanowskiego. Mnie chodziło głównie o to, ażeby wykazać, że wszystkie formy

ptasie azjatyckie są różne od europejskich; otóż dla wykazania tych różnic koniecznością było gromadzić materiał dostateczny dla każdego gatunku, a nie rozpraszać go.

Taczanowski wierzący święcie w stałość i trwałość cech gatunkowych niechętnie skłaniał się do moich zapatrywań, stąd też wiele daremnych korespondencji poświęciłem temu przedmiotowi. Wiara Taczanowskiego w dogmatykę zoologiczną linneuszowską była wciąż przyczyną błędów, jakie popełniał w dziedzinie systematyki ptaków północno-azjatyckich. Co byłbym dał za to, gdybym mógł przekonać Taczanowskiego o konieczności posilkowania się przy pracach przyrodniczych zasadami ewolucjonizmu; próżne były moje wysiłki w tym kierunku, one raczej powodowały kwasy w czasie późniejszym, niż się przyczyniały do jaśniejszego pojmowania przyrody przez Taczanowskiego“.

Tu zauważyć należy, że Taczanowski nie był wyjątkiem wśród ówczesnych zoologów, jeżeli chodzi o stosunek do darwinizmu czy też ewolucjonizmu w ogóle. Większość zoologów tych czasów miała do tych zagadnień stosunek negatywny. To raczej tacy postępowi przyrodnicy jak Dybowski byli wówczas wyjątkami.

W sporze z Taczanowskim rację miał Dybowski. Późniejsi badacze ornitofauny Azji całkowicie potwierdzili to, do czego doszedł Dybowski na podstawie rozważań teoretycznych. Nie u wszystkich co prawda — jak w swym zapale ewolucyjnym sądził Dybowski — okazało się jednak, że u bardzo wielu gatunków populacje syberyjskie nie mogą być identyfikowane z europejskimi, że muszą być wyodrębnione, jako formy geograficzne, inaczej — podgatunki.

W związku ze sprawą badań ornitologicznych Dybowskiego podkreślić należy, że przynajmniej sto nowych form ptaków, które na podstawie jego zbiorów powinny były być w owym czasie opisane przez Polaków, zostało opisanych później przez innych uczonych. Pracowali nad tym przedstawiciele narodów zamieszkujących obydwie północne kontynenty — od Japonii w kierunku zachodnim — po Anglię i Amerykę włącznie. Większość form opisali uczeni radzieccy, głównie Buturlin. Oczywiście opisywali oni na podstawie innych, przeważnie późniejszych zbiorów. Ale i na podstawie zbiorów Dybowskiego jeszcze w stuleciu bieżącym opisano pewną ilość podgatunków. Mianowicie ja w latach 1915—1933 opisałem nowe formy z Daurii, Kamczatki i Kraju Ussuryjskiego.

Tak tedy z tym, co jeden człowiek zrobił w ciągu lat dziesięciu, kilkudziesięciu ludzi miało co robić przez długie lata.

Podkreśliłem to dlatego, by dać możliwie dokładne pojęcie o intensywności pracy Dybowskiego na Syberii i o rezultatach tej pracy. A przecież nie tylko ornitofaunę badał Dybowski na Syberii.

Jeszcze większe zasługi położył Dybowski przez zbadanie fauny Bajkału. Poczynił tu odkrycia wręcz rewelacyjne. Temu zagadnieniu poświęcam specjalny rozdział, w którym będzie mowa nie tylko o odkryciach Dybowskiego, ale i o faunie Bajkału w ogóle. W ten sposób bowiem uwydatni się wyraźniej, jak wysoce interesujące było odkrycie fauny tego jeziora. Zresztą jakże można pisać o Dybowskim nie pisząc zarazem o Bajkale!? Nie darmo wszak proponowano Dybowskiemu nazwisko „Dybowski-Bajkański“!

BAJKAL I JEGO FAUNA

„Prostornoje morie, Swiaszczennyj Bajkał...“ — oto początek pieśni o Bajkale, popularnej na Syberii. Słyszeć ją można jednak na zachód od Bajkału. Ja słyszałem ją na Woldze — z ust pewnego Sybiraka na zakończenie entuzjastycznego, pełnego zachwytów opowiadania o Bajkale. Sybiracy są dumni ze swego Bajkału, mówią o nim przy każdej okazji; nazywają go morzem.

Oczywiście Jezioro Bajkałskie morzem nie jest. Co innego — Kaspijskie, które również popularnie morzem jest nazywane. Nazwa ta o tyle jest uzasadniona, że stanowi ono przecież resztkę trzeciorzędowego Morza Sarmackiego. A ponadto jeszcze w czwartorzędzie miało połączenie z Morzem Czarnym. Podobny tytuł próbowano znaleźć i dla Bajkału, ale nic z tego nie wyszło.

Jeśli jednak chodzi o pojęcie „morza“ jako olbrzymiego obszaru wód, to niewątpliwie Bajkał może do tego pretendować. Powierzchnia jego wynosi około 35 tysięcy kilometrów kwadratowych. A jeszcze bardziej imponująca jest jego głębokość, która dochodzi do 1741 metrów. Dla porównania przytaczam głębokość Jeziora Kaspijskiego — niewiele ponad tysiąc metrów, Lemanu — 310 m, Jeziora Bodeńskiego — 252 m, Ontario — 310 m, Huronu — 525 m. Bajkał jest najgłębszym jeziorem ziemi, Tanganika z głębokością 1435 m zajmuje drugie miejsce.

Pierwsze miejsce wśród jezior słodkowodnych zajmuje też Bajkał pod względem faunistycznym. Jest to najbogatsze w gatunki jezioro słodkowodne. Przy wielkim bogactwie fauny Bajkału skład tej fauny jest wyjątkowo interesujący, a jej pochodzenie, mimo ciągłych badań stanu faktycznego i dociekań teoretycznych, pozostaje wciąż okryte mrokiem tajemnicy. I co ciekawsze — w miarę postępu badań wyjaśnienie pochodzenia fauny Bajkału następuje coraz większe trudności. Hipotezy, które swego czasu traktowane były poważnie, obecnie wydają się wręcz naiwne.



Bajkał

Ta zmiana poglądów na pochodzenie fauny Bajkału następuje nie tylko w miarę dalszego badania jeziora, lecz również w związku z badaniem innych zbiorników wodnych Eurazji. Ale jakkolwiek badania te dostarczają wciąż nowych danych faunistycznych, mających znaczenie w rozważaniach zoogeograficznych, to jednak nie wpływają już w stopniu mającym jakies zasadnicze znaczenie na poglądy o składzie faunistycznym Bajkału. I właśnie zasługą Dybowskiego jest ustalenie tego, że:

1. fauna Bajkału jest wyjątkowo bogata;
2. wykształciły się tu głębokowodne formy słodkowodne;
3. wiele form bajkalskich wykazuje podobieństwo do form morskich;
4. fauna Bajkału ma piętno archaizmu;
5. większość gatunków bajkalskich — to gatunki endemiczne¹⁾, a endemicznymi są nie tylko gatunki i rodzaje, ale nawet i rodziny;
6. przedostały się tu niedawno niektóre gatunki morskie.

¹⁾ Gatunki endemiczne — gatunki występujące li tylko na pewnej, ściśle określonej przestrzeni, a poza nią nigdzie niespotykane (przyp. red.).

Dybowski pisze: „Rozpoczynam od nowego rodzaju i gatunku ślimaka znalezionego w głębiach wód Bajkału. Należy on do działu ślimaków wyłącznie morskich, które stanowią grupę znaną pod mianem »ślimaków tyłoskrzelnych« (*Opisthobranchiata*). Dotąd z wód słodkich nie znano ani jednego gatunku, należącego do tej grupy, z tego też powodu, i to bardzo słusznie, pochodzenie ich morskie było uważane za cechę wielce dla nich znamioną. Toteż można z całą stanowczością twierdzić, że gdyby komukolwiek z naturalistów dany był do rozstrzygnięcia charakter wód pewnego zbiornika na podstawie obecności w nim ślimaków tyłoskrzelnych, to niezawodnie nazwałby ów zbiornik wód — morzem“.

Dziś, gdy fauna Bajkału jest tak dobrze poznana, gdy stwierdzono jej imponujące bogactwo, trudno jest zrozumieć, jak bogactwo to mogło uchodzić uwagi badaczy tak długo. A czasu do rozpatrzenia się było dość! Bajkał bowiem nie należy bynajmniej do nowych odkryć geograficznych.

Pierwsze wiadomości o Bajkale dotarły do Rosji już w latach dwudziestych XVII wieku. Dotarły wraz z nazwami: buriacką — Bajkał i tunguską — Łama; ta ostatnia nazwa oznacza morze.

W „Atlasie rosyjskim“, wydanym przez Akademię Nauk w roku 1745, znajduje się już mapa zatytułowana: „Prowincja Irkucka i Bajkał z górnym biegiem rzeki Leny“.

W latach siedemdziesiątych XVII wieku poseł moskiewski do Chin zawadził o Bajkał. I przywiózł wiadomości o ogromnym bogactwie fauny Bajkału. Oczywiście sfera jego zainteresowań faunistycznych obejmowała tylko ryby i foki. Ale przecież później, w miarę rozwoju nauki, zakres zainteresowań faunistycznych zwiększał się. Przeprowadzano badania fizjograficzne Imperium Rosyjskiego, organizowano wyprawy naukowe do Azji. A jednak Bajkał pozostawał nieznanym. Dziwnymi drogami chodziła nauka carska! Wspomniałem o tym już poprzednio, ale tu muszę jeszcze raz — i znów zacytuje Dybowskiego: „Pomimo imponującej obfitości życia zwierzęcego na dnie Bajkału nie śpieszono się wcale z poznaniem jego fauny zwierząt niższych. Ryby łowiono w wielkiej ilości, mianowicie omole (*Coregonus migratorius*); solono je, spożywano, lecz nie umiano wyciągnąć stąd wniosku koniecznego, że obfitość ryb jest zawsze zależną od obecności bogatej fauny zwierząt niższych, którymi się one karmić muszą. Wbrew tedy logice przypuszczano, że brak jest wszelkiego

życia na dnie Bajkału. Apriorystyczne przekonanie o nieistnieniu zwierząt niższych w jeziorze było oparte na przesądnych poglądach teoretycznych kilku autorytetów naukowych znad Newy; mianowicie utworzono sobie hipotezy, że jeziora północne nie mają fauny zwierząt niższych, a następnie, że jeziora o wielkich głębiach są martwe. Obie hipotezy wpłynęły na uznanie Bajkału za pozbawiony fauny...“

Sugestii tej uległ i Gustaw Radde badający Syberię z ramienia Akademii Nauk, który pogląd ten potwierdził. Praca jego — sprawozdanie z podróży na Syberię — ukazała się w roku 1862, na kilka lat przed przybyciem Dybowskiego na Bajkał.

A może nawet Radde nie ulegał żadnej sugestii, a po prostu nie chciał zadzierać ze swymi protektorami. A niewątpliwie musiałoby dojść do jakiegoś konfliktu, gdyby Radde, odkrywszy tak bogatą faunę Bajkału, wykazał całą bezsensowność poglądów carskich zoogeografów znad Newy.

Tak więc wyglądała sytuacja w czasie, gdy nad Bajkałem znalazł się Dybowski. Jakie przeszkody musiał przezwyciężyć zabierając się do badania Bajkału, podałem już poprzednio.

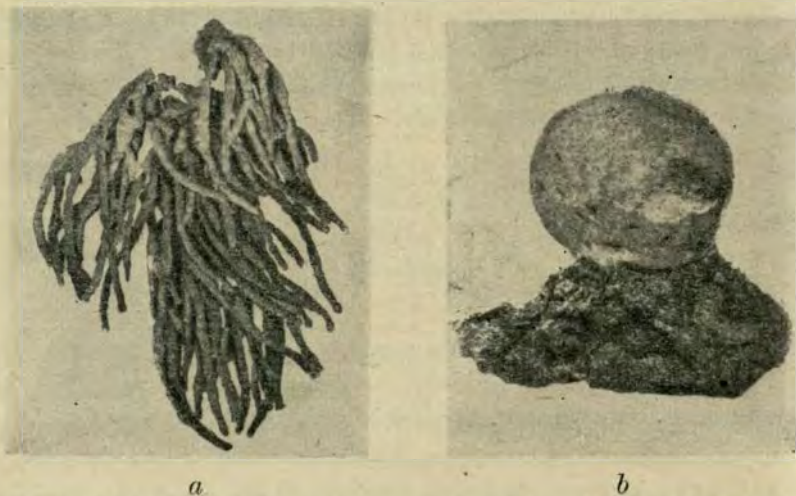
Wiadomo też Czytelnikowi, że przewidywania naszego uczonego okazały się słuszne i że badania dały rezultaty wręcz rewelacyjne. Już po kilkumiesięcznej eksploracji jeziora mógł Benedykt Dybowski przesłać swemu bratu Władysławowi ogromny zbiór mięczaków do opracowania. I oto do czasu opublikowania pracy Władysława Dybowskiego znanych było z Bajkału wszystkiego tylko 7 gatunków mięczaków. Władysław, na podstawie zbiorów brata, dodaje do tego dalszych 88, w czym — w tej swojej pierwszej pracy o Bajkale i w następnych — opisał czterdzieści kilka gatunków nowych.

Kielzami zajął się sam Benedykt Dybowski. Jak o tym już wspomniałem, w roku 1874 wyszła pierwsza jego praca o kielzach bajkałskich, w której opisał sto kilkadziesiąt gatunków tych skorupiaków. Stwierdził też, że przy tak dużej ilości gatunków występuje tu ogromna ilość osobników. Trup zwierzęcia, opuszczony na dno jeziora do głębokości 500 metrów, prędzej zostaje objedzony przez kielże „do kości“ niż taki sam trup na lądzie przez owady.

Taką samą rewelację, jak opracowanie mięczaków i kielży, dały opracowania ryb, gąbek, robaków i pierścienic.

Te świetne odkrywcze badania Dybowskiego wywołały wielkie zainteresowanie się Bajkałem wszystkich zoogeografów i faunistów; stały się one bodźcem do dalszego intensywnego badania Bajkału.

Szczególnie ekspedycja profesora Korotniewa, która badała Bajkał w latach 1900—1902, dała bardzo bogate rezultaty i wybitnie przyczyniła się do poznania fauny tego jeziora. Dość powiedzieć,



Gąbki bajkalskie: a — *Veluspa baicalensis* Dyb., b — *Veluspa bacillifera* Dyb.

że praca tej ekspedycji zwiększyła kilkakrotnie ilość gatunków zwierząt znanych z Bajkału. Tak więc ilość kielży — ze stu kilkudziesięciu do 300, głowaczy (*Cottidae*) z 6 do 20, golomianek (*Comephorus*) z 1 do 2, wirków (*Planariae*) z kilku do 100, skąposzczetów (*Oligochaeta*) z kilku do 43 itd.

W stosunku do ilości gatunków stwierdzonych przez Dybowskiego jest to bardzo dużo. Ale w jakże różnych warunkach pracowali ci badacze! Dybowski — zesłaniec polityczny — miał do dyspozycji środki bardziej niż ograniczone. Sam budował pułapki, sam kręcił liny, rąbał przeręble, stawiał i ciągnął sieci. A ekspedycja Korotniewa miała cały sztab pracowników naukowych i była wspólnie zaopatrzona we wszelkie przyrządy do badań faunistycznych. Miała też do dyspozycji statek.

Intensywne, planowe badania Bajkału rozpoczęły się jednak dopiero po Rewolucji Październikowej. W roku 1928 została tu

założona specjalna „Stacja“ do badania jeziora, o czym wspomniałem już wyżej.

Obecnie ilość zwierząt znanych z Bajkału wynosi dziewięćset kilkadziesiąt.

Podkreślałem już, że charakterystyczną cechą fauny Bajkału jest jej endemiczność, i to nie tylko gatunków i rodzajów, ale nawet i rodzin. Co najmniej 3/4 gatunków Bajkału — to gatunki endemiczne. Według Abrikosowa (dane z roku 1936) 76% gatunków bajkalskich — to gatunki endemiczne, według Birnsteina (dane z roku 1946) z wielokomórkowych 93% jest endemicznych.

Tu zaznaczyć należy, że ilość endemizmów bajkalskich zmniejsza się w miarę poznawania fauny innych zbiorników słodkowodnych Eurazji, w szczególności Syberii, Mongolii i Chin. Na razie jednak gatunków uważanych za endemizmy bajkalskie w innych jeziorach znajduje się tak mało, że nie może to wpłynąć na obalenie faktu wysokiego procentu endemików w faunie Bajkału.

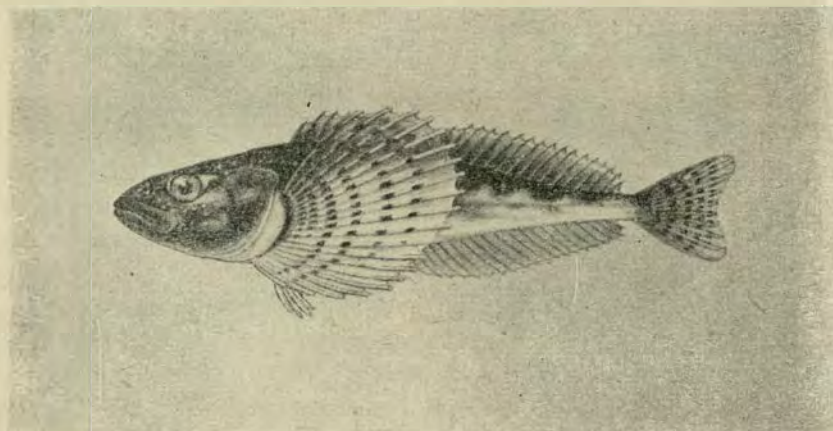
Jeżeli chodzi o poszczególne jednostki systematyczne (wymieniam tu nie wszystkie), to w ogólnych zarysach skład tej fauny wygląda w sposób następujący: ryb 36 form, z tego 14 endemicznych; mięczaków brzuchonogich—91, prawie wszystkie endemiczne; kielży niemniej niż 300 form, z tego większość endemiczna; wieloszczetów 4 formy, wszystkie endemiczne — według innych autorów tylko jeden gatunek endemiczny; skąposzczetów 53 formy, z tego 12 endemicznych; wirków — 86 form, z tego 60 endemicznych. W tym szeregu rodzajów endemicznych i dwie endemiczne rodziny ryb (*Comphoridae* i *Cottocomphoridae*). Wreszcie jeden endemiczny gatunek ssaka — *Phoca Sibirica*.

Trzeba tu nadmienić, że przy tak wielkim bogactwie form występujących w Bajkale, brak przedstawicieli niektórych rzędów rozmieszczonych w ogóle bardzo szeroko. A więc: słonecznic (*Heliozoa*), larw ważek (*Odonata*), chrząszczy (*Coleoptera*), pluskwiaków (*Rhynchota*), wioślarek (*Cladocera*), wodopójek (*Hydrachnidae*). Jeśli przedstawiciele wymienionych skupień występują tu, to tylko sporadycznie, pojedynczo. Ta negatywna strona fauny Bajkału przedstawia się zupełnie zagadkowo.

Skład, pochodzenie i kształtowanie się fauny Bajkału — wszystko to było bardzo szeroko dyskutowane w zoogeografii, a dyskusja ta zaczęła się bezpośrednio po rewelacyjnych odkryciach Dybowskiego.

Poglądy wypowiedane na ten temat przez różnych uczonych różnią się bardzo wybitnie, a hipotezy jeszcze bardziej.

Podobieństwo fauny Bajkału do fauny morskiej było podstawą, na której starsi uczeni (Humboldt, Middendorf, Neymayr, Peschel) oparli hipotezę bezpośredniego pochodzenia fauny Bajkału z fauny morskiej. Bajkał miał być czymś w rodzaju fiordu Oceanu Lodowatego i stamtąd otrzymał całą swą faunę z foką na czele.



Cottocomephorus grewingki Dyb. — jedna z ważniejszych przemysłowych ryb bajkalskich z endemicznej rodziny *Cottocomephoridae*

Hipoteza ta, by się utrzymać, musiała znaleźć potwierdzenie w danych geologicznych. Ale badania geologiczne, a mianowicie już badania dwu Polaków — zesłańców politycznych, Czernickiego i Czekanowskiego — wykazały, że obszary, na których leży Bajkał, od ery paleozoicznej nie były bezpośrednio połączone z morzem. I hipoteza Humboldta upadła.

Bajkał jest niewątpliwie jeziorem starym, ale historia jego zaczyna się dopiero w trzeciorzędzie. Prawdopodobnie jezioro to powstało w miocenie.

Jeśli fauna Bajkału wyprowadzana jest z morza — to nie w większym stopniu niż fauna innych zbiorników słodkowodnych. A jej większe podobieństwo do fauny morskiej tłumaczy się konwergencją¹⁾.

¹⁾ Konwergencja (zbieżność cech) — upodobnienie się pod wpływem jednakowych warunków życia zewnętrznej postaci organizmów należących do różnych grup systematycznych (przypr. red.).

Przeciwstawieniem hipotezy morskiego pochodzenia fauny Bajkału jest hipoteza całkowicie słodkowodnego jej pochodzenia. Obrońcą tej hipotezy jest Berg, według którego w Bajkale, prócz foki, nie ma żadnych morskich elementów. Według Berga endemiczna fauna Bajkału — to pozostałość trzeciorzędowej słodkowodnej fauny Azji. Prócz tego występują tu starsze od tej fauny elementy, które wykształciły się w samym Bajkale w czasie jego długotrwałego życia geologicznego. Do takich należą gołomianki (*Comephoridae*), których najbliższych krewniaków nie znajdujemy nigdzie, ani w morzach, ani w wodach słodkich.

Te poglądy Berga twierdzące, że fauna Bajkału jest rodzimą fauną słodkowodną, były zwalczane przez Dybowskiego, który wypowiadał się, że nie jest do przyjęcia możliwość jakiegokolwiek rodzimej fauny słodkowodnej. Można tylko mówić o starej lub młodej faunie słodkowodnej, zawsze jednak fauna ta wyprowadza się z morza.

Jeśli nie będziemy się zbyt entuzjasmować niewątpliwie bardzo frapującą hipotezą Berga, a obiektywnie zestawimy rezultaty całej tej dyskusji, pozwoli nam to wyróżnić w faunie Bajkału trzy grupy gatunków:

Pierwszą grupę stanowią relikty fauny trzeciorzędowej, która swego czasu występowała na znacznych przestrzeniach Europy i Azji. W górnym trzeciorzędzie fauny słodkowodne zbiorników wodnych zachodniej i wschodniej Eurazji różniły się między sobą znacznie mniej niż obecnie. Resztki tej fauny zachowały się właśnie w Bajkale, i to w znacznej ilości, do tej grupy bowiem należy większość gatunków bajkalskich.

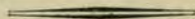
Drugą grupę stanowią gatunki, które stosunkowo niedawno przedostały się tu z morza. Do tych należy foka, niektóre ryby, jak np. omul (*Coregonus*) i niektóre skorupiaki, jak np. *Gammarocanthus loricatus*. Gatunki tworzące tę grupę przedostały się do Bajkału bądź to z południowego zachodu, z Morza Sarmackiego, bądź też z Oceanu Lodowatego podczas jego ostatniej transgresji na południe. Wprawdzie wody Oceanu Lodowatego i Morza Sarmackiego nie kontaktowały bezpośrednio z wodami Bajkału, ale rolę dróg umożliwiających to przedostanie się mogły odegrać rzeki.

Trzecią grupę — drugą pod względem liczebności — stanowią gatunki, które rozwinęły się w samym Bajkale. Do nich należą niektóre ryby oraz niektóre mięczaki, skorupiaki i gąbki. Pochodzenie

tych gatunków na razie przedstawia się zagadkowo, to znaczy nie wiadomo, gdzie — w czasie i przestrzeni — szukać ich typów wyjściowych. Są to najstarsze elementy fauny Bajkału; one to nadają jej piętno archaizmu.

Nie miejsce tu na wymienianie tych wszystkich badaczy, którzy zabierali głos w zagadnieniach Bajkału. Z radzieckich uczonych nie mogłem pominąć Berga, nie mogę też pominąć Wiereszczagina, który przez dłuższy czas był dyrektorem Stacji Naukowej na Bajkale. Otóż właśnie Wiereszczagin jest wybitnym obrońcą tezy o morskim pochodzeniu większości gatunków Bajkału.

Wspomniałem wyżej, że niektóre gatunki bajkalskie, uważane dawniej za endemiczne, zostały wykryte w innych zbiornikach słodkowodnych Eurazji. Na zakończenie — kilka słów o tych gatunkach. Są to właśnie relikty owej szeroko rozmieszczonej fauny trzeciorzędowej. Poszczególne elementy tej fauny zachowały się w niektórych zbiornikach Eurazji. Są w nich rozproszone, tylko w Bajkale występują w wielkiej ilości. Specjalnie przychylne warunki — rozległość jeziora z wielką różnorodnością warunków ekologicznych — umożliwiły ich przetrwanie.



W WARSZAWIE PO POWROCIE Z SYBERII

Jesienią 1877 roku wyjeżdżał Dybowski z Irkucka do Warszawy z myślą o powrocie do Azji północnej. Uważał, że dobro nauki wymaga, by kontynuował rozpoczęte tu badania fizjograficzne. A przewidując możliwości znacznego zwiększenia zakresu tych badań — miał je wszak prowadzić nie jako zesłaniec, ale jako człowiek wolny — już w Irkucku starał się o pozyskanie współpracowników do pracy na Kamczatce, która miała być następnym terenem eksploracji.

Ściśle rzecz biorąc — Dybowski właściwie nie wracał do kraju z zesłania, lecz jechał do Europy w celu zorganizowania wyprawy naukowej na Kamczatkę. Miał nadzieję, że uzyska tam stanowisko lekarza rządowego, co da mu możność prowadzenia badań. Trzeba jednak było znaleźć punkty oparcia w ośrodkach naukowych, zaopatrzyć się w potrzebne do badań przyrządy, a dla towarzyszy badań uzyskać odpowiednie uposażenie czy subsydia.

Oczywiście jechał przede wszystkim do Warszawy. I tu natrafił na pierwsze trudności w realizowaniu swych projektów. Trudności te polegały na przewycieżaniu przeszkód, które stwarzali mu wszyscy, to znaczy — znajomi, przyjaciele i rodzina, starając się go zrazić do tej wyprawy.

„Rozstawać się z rodziną, z krajem rodzinnym, z Warszawą — pisze Dybowski — do której przyrośliśmy my, tzw. „Litwini“, całym sercem, pędzić na koniec świata, zagrzebać się gdzieś w kącie dalekim — tak wyglądał w oczach moich znajomych projekt podróży na Kamczatkę. Najbliżsi moi przyjaciele, a już nie mówię cała rodzina, starali się odwieść mnie od tego przedsięwzięcia. Trzeba było pokonać namowy i prośby. Zrobiwszy jednak raz postanowienie i mając nadzieje na wspólną pracę naukową z Czerskim, trwałem stale przy projekcie i przygotowywałem się jak można najspieszniej do drogi, jakkolwiek przyznać muszę, że pożegnanie z krajem, rodziną i przyjaciółmi było ciężkie. Pracować mieliśmy poza ojczyzną, lecz dla niej

wyłącznie. Według mego widzenia rzeczy ten, co kocha szczerze kraj swój, potrafi sercem być w nim zawsze, chociażby był od niego oddalony o tysiące kilometrów, kto tej miłości nie posiada, będzie mu kraj własny obcym, chociażby w nim przebywał stale“.

Główna przeszkoda była jednak natury naukowej. Chodziło o objęcie kierownictwa pewnej placówki, i to ściśle związanej z dotychczasową działalnością Dybowskiego. Było mianowicie projektowane utworzenie nowego muzeum zoologicznego w Warszawie i niewątpliwie najodpowiedniejszym kandydatem na dyrektora tego muzeum był Dybowski.

Potrzeba utworzenia tego muzeum wynikała stąd, że Uniwersytet Warszawski ulegał coraz większej rusyfikacji. W latach siedemdziesiątych widać już było wyraźnie, że jest on przeznaczony na ośrodek rusyfikacji i że społeczeństwo polskie nie może liczyć na to, by nauka polska mogła tam znaleźć jakiegokolwiek oparcie. W tych warunkach powstał projekt założenia prywatnego „Muzeum Zoologicznego Branickich“, do którego oprócz innych zbiorów miały wejść również częściowo zbiory Dybowskiego z Syberii. Inicjatorem tego projektu był Taczanowski, który zabiegał również i o to, by kierownictwo nowej placówki znalazło się w rękach Dybowskiego. Ale już pierwsza rozmowa Dybowskiego z założycielem nowego muzeum, Konstantym Branickim, wykazała niemożliwość współpracy między tymi ludźmi o tak zupełnie odmiennych poglądach. Dybowski odmówił, zarysowały się także i inne trudności, utworzenie projektowanego muzeum okazało się niemożliwe. Tym samym odpadł główny powód zatrzymania Dybowskiego w Warszawie.

Zaczął się tedy Dybowski nieodwołalnie przygotowywać do wyjazdu na Kameczatkę. A nie była to podróż łatwa. W roku 1912 pisał on na ten temat: „W dobie obecnej każda podróż przez Syberię jest wielce ułatwioną wskutek budowy kolei żelaznej syberyjskiej; odbywać więc ją można wygodnie jadąc w wagonach; toteż zatarły się w pamięci obecnego pokolenia obrazy osnute na tle opowiadań dotyczących przygód podróży odbywanych pocztą. Nastąpiły nowe czasy dla Syberii, zaszły zmiany raptowne, nagle; przeszłość utonęła w niepamięci, a jakkolwiek jest ona — w stosunku do czasu — tak od nas niedaleką, atoli w zmianach, jakie nastąpiły prawie we wszystkich warunkach życiowych tamtejszych, zdaje się być od nas oddaloną o całe stulecie. W niedawno minionym okresie kultury syber-

ryjskiej udawało się wyjątkowemu tylko śmiertelnikowi przebywać przestrzeń, dzielącą Irkuck od Niżnego Nowgorodu¹⁾, w dni dwadzieścia; do tych wyjątkowo szczęśliwych ludzi należeli generał-gubernatorowie i »kuryery«; ci ostatni wysłani z polecenia władz najwyższych. Dla nich były zawsze gotowe konie, tzw. »kuryerskie«, a nadto każdy przejazd generał-gubernatora był zawczasu oznajmiany na stacjach pocztowych, gdzie konie, przybrane już w chomąta, czekały na przyjazd satrapy. Natomiast zwykli podróżni, nie mający prawa na blankiety podróżne o »dwóch pieczęciach«, wlec się musieli po tej drodze półtora do dwóch miesięcy, znosząc cierpliwie różne nieprzyjemności ze strony naczelników stacyjnych i pisarzy pocztowych, zwykle pijaków nałogowych“.

Trudności podróży przez Syberię mógł też Dybowski ominąć jadąc morzem przez Suez dokoła Azji, ale podróż taka była bardzo kosztowna i Dybowski nie mógł sobie na nią pozwolić, tym bardziej że wypadło płacić koszty podwójne. Zabierał bowiem Dybowski z sobą preparatora. Wybrał mu Taczanowski młodego, silnego chłopca, namiętnego myśliwego i doskonałego strzelca Jana Kalinowskiego. Wybór był znakomity. W Kalinowskim znalazł Dybowski świetnego pomocnika o wysokich zaletach moralnych. Wykształcił go na pierwszorzędnego eksploratora, który później samodzielnie podróżował i kolekcjonował w Azji i Ameryce Południowej.

Jak już wspomniałem, wypadło Dybowskiemu jechać na Kameczatkę nie wprost z Warszawy, lecz przez Petersburg. Ale uprzednio był też w Dorpacie, gdzie odwiedził swych dawnych kolegów i profesorów. W ubiegłym stuleciu koleżeństwo akademickie wiązało bardzo ściśle, a Dybowski miał silne uczucie tych więzów.

Na Kameczatkę postanowił Dybowski jechać zimą, była to bowiem z różnych względów najdogodniejsza pora do tej podróży. Po pierwsze, drogi po śniegu są o wiele lepsze, a na znacznych przestrzeniach i krótsze. Ponadto pojazdy na saniach są tańsze i mniej podlegają uszkodzeniom. Można brać z sobą więcej rzeczy i są one mniej narażone na zniszczenie niż latem. Zapasy żywności w stanie zamrożonym dają się przechowywać całymi tygodniami, co pozwala brać z sobą żywność na całą podróż i uniezależnia pod tym względem od personelu stacyj. I wreszcie zimą o wiele łatwiej o konie, gdy więc

¹⁾ „Niżny Nowgorod“ = Niżny Nowogród (przyp. red.).

zabraknie na jakiejś stacji koni pocztowych, to cena najmu koni prywatnych jest znacznie niższa niż latem.

W związku z tym tak wyraźnie określonym terminem podróży spędził Dybowski w Warszawie czas dłuższy podejmowany serdecznie przez wszystkich, przede wszystkim jednak przez lekarzy i przyrodników. Wyjechał dopiero po świętach. Był zaproszony aż na dwie wieczery wigilijne. Na jedną „sybiracką” — do zoologa Antoniego Waleckiego, na drugą — do kolegi gimnazjalnego i towarzysza pracy konspiracyjnej w powstaniu styczniowym — Witolda Jodki, który szczęśliwie uniknął Syberii, jakkolwiek w jego mieszkaniu w Warszawie odbywały się posiedzenia Rządu Narodowego. Jako dar gwiazdkowy otrzymał Dybowski od kolegów przyrodników mikroskop z odpowiednim okolicznościowym napisem.

Przez cały czas pobytu w Warszawie, niemal do ostatnich chwil odjazdu, odmawiano Dybowskiego od tej „tak ryzykownej podróży”. Panowało powszechne przekonanie, że z podróży tej Dybowski już nie wróci. Wysocki, preparator Gabinetu Zoologicznego, w sekrecie przed Taczanowskim, prosił Dybowskiego, by przed odjazdem zrobił testament i postanowił w nim, że zbiory syberyjskie, darowane uprzednio Gabinetowi Zoologicznemu, stają się własnością miasta. Gdy Dybowski odpowiedział, iż czas jest jeszcze na testament, Wysocki oświadczył, że wątpi w to, by kiedykolwiek jeszcze miał zobaczyć Dybowskiego.

Na wieczór drugiego dnia świąt zaprosił Dybowski kolegów i przyjaciół do siebie, a trzeciego dnia świąt już wyjechał do Petersburga.

W Petersburgu zatrzymał się u generała Radoszkowskiego, który spotkawszy naszego uczonego w Warszawie już wówczas go do siebie zaprosił.

Generał Radoszkowski mieszkał stale w Petersburgu. Był Polakiem. Jego stanowisko wojskowe nie przeszkadzało mu w pracy naukowej. Był entomologiem. Specjalność jego stanowiły owady błonkoskrzydłe. Opracowywał zbiory Dybowskiego z Syberii. Stąd znajomość i przyjazne stosunki. Jako prezes Towarzystwa Entomologów umożliwił wydanie pracy Dybowskiego o kielżach bajkalskich w wydawnictwach tego towarzystwa. A i teraz w Petersburgu był bardzo pomocny Dybowskiemu w jego zabiegach organizacyjnych w związku z wyprawą na Kameczatkę.

PETERSBURG — MOSKWA — NIŻNY NOWOGRÓD

Ponieważ wówczas w Rosji trzymano się kalendarza Juliańskiego („starego stylu“), który w stosunku do kalendarza Gregoriańskiego („nowego stylu“) był o 13 dni spóźniony, więc Dybowski obchodził w Petersburgu święta po raz drugi. Pobyt w stolicy przeciągnął się zresztą znacznie poza święta, uczony nasz wyjechał stąd bowiem dopiero 10 stycznia (1878 roku).

Czas ten spędził Dybowski w Petersburgu wielce pracowicie. Musiał tu zorganizować swą wyprawę na Kameczatkę. Pozornie wprawdzie jechał tam „do gotowego“ — na stanowisko lekarza rządowego. Ale stanowisko to nie miało nic wspólnego z badaniami naukowymi Kameczatki. A przy tym chodziło nie tylko o niego, ale i o jego towarzyszy.

W sprawie tych badań musiał się Dybowski zwrócić przede wszystkim do Akademii Nauk będącej ośrodkiem badań fizjograficznych całego Imperium. Konkretnie musiał tu Dybowski załatwić wiele spraw umożliwiających mu dalszą pracę, a więc złożyć prośbę o wysłanie do Władywostoku przesyłki z literaturą naukową i bibułą do zielnika oraz prośbę o wypożyczenie z biblioteki Akademii prac o Kameczatce, przede wszystkim prac Kraszeninnikowa, Stellera i Erdmanna, ponadto prośbę o otrzymanie wykazu kameczackich gatunków zwierząt reprezentowanych w zbiorach Akademii. Należało także złożyć prośbę o wydanie odpowiedniego polecenia urzędowi pocztowym, by przesyłki do Akademii przyjmowane były bezpłatnie, oraz złożyć także prośbę o wyznaczenie Czerskiemu, który miał jechać z Dybowskim, pensji rocznej 1000 rubli na badania geologiczne i przyznanie mu tytułu „Geologa Akademii“.

Widać z tego, jak poważnie traktował Dybowski swą wyprawę na Kameczatkę i jak dokładnie przygotowywał się do niej.

O ile dawniej, gdy chodziło o badanie Bajkału, Akademia Nauk ustosunkowała się do Dybowskiego nieprzychylnie, o tyle obecnie

spotkał się tu Dybowski z największą życzliwością i uznaniem. Wszystkie jego życzenia zostały załatwione pozytywnie i szybko.

Niezależnie od spraw związanych ze swą wyprawą naukową na Kameczatkę, poruszył Dybowski sprawę uczczenia zasług dawniejszych badaczy Azji północnej.

Wszystkie wymienione sprawy załatwiał Dybowski w Akademii za pośrednictwem Aleksandra Straucha, swego kolegi z Dorpatu, członka Akademii i rektora jej zbiorów zoologicznych. Spotkał się tu też Dybowski i z innymi kolegami uniwersyteckimi i odnowił znajomości z różnymi zoologami, z którymi był dawniej w kontakcie czy to osobistym, czy też listownym.

Schmidt z okazji pobytu w Petersburgu Dybowskiego, Middendorffa i Schrencka urządził u siebie koleżeńskie zebranie dorpatczyków, na którym Dybowski był zmuszony wychylić toast za pomyślność swej wyprawy na Kameczatkę.

W ogóle świat naukowy stolicy przyjmował Dybowskiego z wielkim uznaniem, należnym tak wybitnemu uczonemu; w tym czasie imię Dybowskiego głośne już było w całym świecie naukowym.

Tak więc wróciwszy pewnego dnia do domu zastał tam Dybowski dyplom na członka Towarzystwa Geograficznego. Pociągało to z sobą wydatek 10 rubli. W rozmowie z Siemionowem, wiceprezesem Towarzystwa (prezesem był Wielki Książę Konstanty), uważał Dybowski, iż należy podziękować mu za ten zaszczyt, przy okazji jednak zażartował, że został przez to w podróży narażony na nieprzewidziany wydatek. Wówczas Siemionow poczuł się dotknięty tym żartem:

— Dziwnym jest Pan człowiekiem! Inni usilnie zabiegają o członkostwo, które uważane jest za zaszczyt. Pana spotyka to bez żadnych starań, a jest Pan z tego niezadowolony.

Przytaczam to dla uwydatnienia, jak obojętny stosunek do tego rodzaju zewnętrznych dowodów uznania miał Dybowski.

A oto inny przykład: W czasie tym organizowano ekspedycję w celu ratowania wyprawy „Vegi“¹⁾. Zwrócono się do uczonych w Petersburgu z prośbą o wskazanie wybitnego przyrodnika, mówiącego po rosyjsku i po niemiecku, który zgodziłby się wziąć udział w tej ekspedycji. Chodziło tu oczywiście o człowieka zaprawionego w badaniach dalekiej północy. Postawiono kandydaturę Dybowskie-

¹⁾ „Vega“ — nazwa statku, na którym Szwed A. E. Nordenskiöld odbywał w latach 1878—1879 wyprawę polarną (przyp. red.).

go. Sprawa ratowania wyprawy polarnej okrętu „Vega“ głośna była w całym świecie i najwybitniejsi uczeni starali się o wzięcie udziału w ekspedycji. Dybowski jednak odmówił przyjęcia tej zaszczytnej propozycji wychodząc z założenia, że większą korzyść dla nauki przyniosą jego badania na terenie Azji.

Nie tylko jednak przez kolegów przyrodników był Dybowski podejmowany w stolicy. Miał też liczne zaproszenia do domów prywatnych, zarówno polskich, jak i rosyjskich, bowiem jak zwykle wszędzie cieszył się tu dużym powodzeniem towarzyskim.

Pobyty swój w Petersburgu opisuje Dybowski dość szczegółowo, a opisy te dają pełny obraz ówczesnego życia tego miasta.

W czasie swego pobytu w Petersburgu korzystał Dybowski z każdej sposobności, by pozyskać życzliwość dla sprawy polskiej. Tłumaczył, że postępową inteligencją rosyjską, a przede wszystkim intelektualistami powinni się upomnieć o przyznanie narodowi polskiemu praw kulturalnych. Przede wszystkim więc powinny być przywrócone pełne prawa językowe. W szkołach w Polsce i na Uniwersytecie Warszawskim wykłady powinny się odbywać w języku polskim. Prześladowanie języka i w ogóle jakichkolwiek przejawów kultury narodowej — to wielki wstyd dla cywilizacji współczesnej. Inteligencja rosyjska powinna wyteńczyć wszystkie siły na przeprowadzenie tego, by rząd zmienił swą dotychczasową politykę w tym zakresie. Czas jest zapoczątkować nową erę w życiu politycznym Rosji. Nie tylko Polacy, ale w ogóle wszystkie narody, a więc także pozostające na niskim stopniu kultury narody azjatyckie, mają takie samo prawo do rozwoju kulturalnego i trzeba im dać możność realizowania tego prawa.

Dybowski nie zdawał sobie sprawy z całej naiwności swych usiłowań. Wszystko wypływało u niego z wiary w to, że na drodze usilnej działalności kulturalnej najbardziej oświeconych sfer społecznych, w ewolucyjnym rozwoju przyjdzie czas, w którym zapanuje sprawiedliwy ustrój społeczny, gdy nie będzie gnębionych i wyzyskiwanych.

Ten zasadniczy błąd w ocenie sytuacji doprowadził do tego, że Dybowski uznał za możliwe przekonać osobiście i bezpośrednio władze najwyższe o konieczności zmian. Opracował tedy obszerny memoriał w tej sprawie i przekonywał wpływowych mieszkających w Petersburgu Polaków, że memoriał ten trzeba wręczyć jakimś

wybitnemu politykowi, który trafi z nim do cara i skłoni go do reform. Na człowieka opatrnościowego, który miał to przeprowadzić, upatrzył sobie Dybowski byłego ministra Gołowina. Oczywiście nikogo nie przekonał; wszyscy zgodnie oświadczyli Dybowskiemu, że całe to działanie jest zupełnie bezcelowe, nierealne — wprost naiwne. Że w sferach rządowych dobrze zdają sobie sprawę z tego, co robią, że kulturę polską tępią nie przez nieświadomość, ale wprost przeciwnie — z całą świadomością. Że na to, co zamierza Dybowski, szkoda czasu i sił. Nie dał się jednak Dybowski przekonać. Twierdził, że nie można się uprzedzać, zniechęcać i wpadać w pesymizm. Trwale, uporezywe działanie, dopominanie się o należne, słuszne prawa, odwoływanie się do postępowych odłamów społeczeństwa rosyjskiego i współdziałanie z nim musi dać należyty rezultat.

Postarał się o audiencję u Gołowina, przeczytał mu i wręczył swój memoriał. Gołowin przyjął memoriał do wiadomości zupełnie zimno i zbył Dybowskiego ogólnikami. Oświadczył, że nie ma obecnie stosunków u dworu i że nie może się podjąć przedstawienia carowi treści memoriału. Wiadomo mu jednak, że car jest bardzo przychylnie usposobiony do Polaków i że można liczyć na to, iż wkrótce nastaną dla nich lepsze czasy.

Poza tym jednym niepowodzeniem wszystko inne poszło Dybowskiemu w Petersburgu bardzo dobrze, z pobytu więc swego był całkowicie zadowolony. Czasu na próżno nie stracił. Dla projektów swych zyskał i Akademię, i Towarzystwo Geograficzne. Obie te instytucje obiecały go wspierać zarówno moralnie, jak i materialnie. Był tylko bardzo zmęczony załatwianiem tylu spraw, ale liczył na to, że odpocznie w wagonie.

* * *

I istotnie — odpoczął. Wagon, w którym ulokowano Dybowskiego, był nie tylko wygodny, ale też urządzony z komfortem: jedwab, aksamit, ozdobne złocenia, czystość wzorowa. Miejsca było w nim dość, prócz bowiem naszych podróżników jechało jeszcze tylko dwu pasażerów. Jeden był dragonem przy poselstwie w Pekinie, drugi inżynierem przy kolei permsko-ekaterynburskiej.

„Každy z wchodzących — pisze Dybowski — witał się grzecznie i wypowiadał parę słów przywitania. Piękność i ład w otoczeniu wpływa umoralniająco na duszę człowieka. Estetyka jest ważnym

czynnikiem uszlachetniającym ludzkość. W brudnych wagonach pasażerowie dostrajają się do otoczenia przez brud, przez nieład i niegrzeczność w obejściu“.

Od wyżej wzmiankowanego inżyniera komunikacji dowiedział się Dybowski, że drogę z Permu¹⁾ do Ekaterynburga²⁾ będzie mógł przebyć już koleją. Ale do Permu trzeba jechać poczta, to jest końmi.

W Moskwie zatrzymał się Dybowski dwa dni. Miał on ten dobry zwyczaj, że przybywszy do jakiegoś ośrodka naukowego składał wizyty uczonym, uprawiającym te dyscypliny nauk, które go interesowały. Tutaj złożył więc wizyty Renardowi i Bogdanowowi.

Rozmawiał z nimi dużo nie tylko na tematy naukowe, ale i społeczne. Z wielką przyjemnością stwierdził postępowość obu tych uczonych.

Dużo czasu poświęcił Dybowski na zwiedzenie Ogrodu Zoologicznego, który też dokładnie opisuje w swych wspomnieniach.

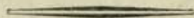
Renardowi, redaktorowi wydawnictw Moskiewskiego Towarzystwa Przyrodników, złożył Dybowski do druku rękopis jednej ze swych prac (o równonogach Bajkału). Renard zaproponował Dybowskiemu zapisanie się na członka tego Towarzystwa. Dybowski odmówił tłumacząc się, że jego środki pieniężne nie wystarczą na płacenie składek. Renard nie nalegał. Obiecał nawet, że i tak będzie Dybowskiemu przysyłał zupełnie bezpłatnie wydawnictwa Towarzystwa.

W Niżnym Nowogrodzie — u końca swej podróży kolejowej — stanął Dybowski 13 stycznia, czyli w Nowy Rok „starego stylu“. Tu udało się Dybowskiemu kupić wyjątkowo tanio, tak zwany „wazok“, czyli zainstalowany na saniach domek z piecykiem, oknami i wszelkimi możliwymi w tym zakresie wygodami. W takim pojeździe można było podróżować dość wygodnie i ciepło. W podróży poczta powszechnie była praktykowana jazda we własnym ekwipażu. Dawało to znaczną wygodę, oszczędzało bowiem przesiadania się na każdej stacji z jednego pojazdu do drugiego. Wyprzęgano tylko konie, wprzęgano świeże i można było bez straty czasu ruszać dalej. Szczególnie wygodne było to dla podróżnych, którzy mieli dużo bagażu.

¹⁾ Perm — obecnie Molotow (przyp. red.).

²⁾ Ekaterynburg — obecnie Swierdłowski (przyp. red.).

W Niżnym Nowogrodzie zabawił Dybowski trzy dni. Zaopatrzył się tu w żywność na tydzień i zapłacił pocztę do Kazania. Ten sposób opłaty jednorazowej za konie stanowił wielką wygodę, gdyż unikało się przez to rozrachunków na każdej stacji, a tych między Niżnym a Kazaniem było 18.



NA KAMCZATCE

W Niżnym Nowogrodzie zaczął Dybowski swą podróż kameczacką, która trwała niemal cztery lata, bo od stycznia 1879 do 1883 roku. W tym prawie pół roku zajął przejazd przez Syberię. Nie był to jednak po prostu przejazd, ale istotna część podróży, i to jedna z najciekawszych, najbardziej urozmaiconych. Przez cały ten czas zbierał Dybowski materiały faunistyczne, uzupełniając w ten sposób swą poprzednią pracę na tych terenach.

Można oczywiście uważać, że podróż ta zaczęła się w dniu wyjazdu z Warszawy. Ale ściśle rzecz biorąc po wyjeździe z Warszawy podróżował Dybowski po Rosji europejskiej, podróżował wygodnie — koleją. Był w Petersburgu i Moskwie. Załatwiał sprawy związane z podróżą, rzecz można — przygotowywał ją. W Niżnym Nowogrodzie skończyły się te przygotowania. Skończyły się też wygodne przejazdy kolejowe z miasta do miasta, zaczęła się uciążliwa podróż końmi.

Z Niżnego Nowogrodu wyjechał Dybowski 16 stycznia i po dwu dniach stanął w Kazaniu. Tu miał zamiar zatrzymać się celem zwiedzenia zbiorów zoologicznych uniwersytetu, które, jak na owe czasy, były bardzo bogate. Nie zastawszy jednak kustosza tych zbiorów, nie mógł się z nimi zapoznać. Zatrzymał się tedy tylko tyle, ile trzeba było dla zrobienia zapasów żywności, zapłacił za konie do Permu i ruszył dalej.

Dalsza droga była zła, a na niektórych odcinkach nawet bardzo zła: ...szkaradniejszej drogi chyba sobie wyobrazić nie można. Pędzimy po wybojach, uhabach, nyrkach, po jamach różnych nazw i różnej głębokości. Wóz nasz zatacza się na boki, stuka po wybojach, zapada w nyrki, wznosi się do góry, by spaść raptownie do nowego dołu. Odetchnęliśmy dopiero, gdyśmy stanęli na stacji Sobalińskiej. Wysiadając i oglądając wóz nasz pomyślałem, że jeżeli po tej drodze jadąc nie został rozbity, to chyba wytrzyma i w dalszej podróży“.

Te nierówności drogi do pewnego stopnia wyrównują opady śnieżne, które bywają tu bardzo obfite. Po drodze, widzieli nasi podróżni całe wioski zasypane śniegiem aż do dachów. Do drzwi chat prowadziły wykopane w śniegu wąskie korytarze ze śnieżnymi schodami. Szczególniej dodatnio na stan dróg wpływają „burany”, czyli zawieje śnieżne. Sybiracy twierdzą, że gdyby nie one, to w ogóle nie można by jeździć.

Ale z czasem śnieg nawiewany na drogę i wciąż ubijany przez sanie powoduje, że droga powoli zaczyna się wznosić nad otoczenie na kształt grobli prowadzącej przez kopne śniegi. Zjechanie z tej grobli pociąga za sobą wiele kłopotu, wydostanie się bowiem z kopnego śniegu z powrotem jest bardzo trudne. Toteż wymijanie się ze spotkanymi saniami, a szczególnie z karawanami sań, sprawia zawsze trudności. W takich okolicznościach Dybowski zmuszony był kłaść urzędową czapkę, co do pewnego stopnia ratowało sytuację.

Na tak fatalnej drodze nie obyło się bez różnych przygód. Tak np. „Jadąc z Palany do Kislówki, zaraz na wstępie, niedaleko od stacji, wjechał »jemszczyk« do hurby śnieżnej z boku drogi leżącej; konie stanęły, musieliśmy odgarniać śnieg przed końmi, ubijając nogami miejsce do przejazdu; uzbroiwszy się w drągi, któreśmy zdobyli z ogrodzenia pobliskiego, podważaliśmy płozy naszego wozu i dopiero po długiej, mozolnej pracy zdołaliśmy nareszcie wyciągnąć pojazd na drogę bitą“.

A oto przygoda innego typu: „Przeprzącwszy konie na stacji Akkożyno ujechaliśmy zaledwie wiorst kilka, gdyśmy uczuli, że konie stanęły; wołamy z wozu na »jemszczyka«, lecz żadnej odpowiedzi nie odebrawszy wysiadamy; okazuje się, że wóz i konie stoją w rowie przydrożnym, szerokim, lecz nie głębokim. »Jemszczyka« nie ma; wołamy, krzyczymy, szukamy po śniegu śladów, które by nam wskazały, w którą stronę poszedł nasz woźnica – wszystko na próżno. Próbujemy zmusić konie do ciągnięcia, pomagając im przy tym dźwignikami z żerdzi. Konie nas nie słuchają. Kalinowski projektuje wystrzelić z dubeltówki i w ten sposób pobudzić konie do ruchu. Już wziąłem był lejce do ręki, Kalinowski gotował się do strzału, gdy naraz spostrzegliśmy człowieka idącego ku nam od strony ogrodzenia; czekaliśmy, aż się zbliży i tu poznajemy naszego »jemszczyka«. Napadamy na niego grożąc skargą; pytamy, dlaczego nas zostawił.

dokąd chodził. »Jemszczyk« milczał upornie. Mileżąco wziął lejce do ręki, świsnął batem po koniach, huknął i nasza trójka wróciła na drogę, a wraz z nią i nasz wóz“.

Oczywiście woźnica był pijany. Tacy pijani woźnicy trafiali się często, powodując różne wypadki. Raz np. taki pijany woźnica zasnął, a konie, idąc same, skrzyły z traktu na jakąś drogę polną i dużo czasu upłynęło, nim powrócono, gdzie należy.

Nie tylko woźnice się upijali. Pili tego również i naczelnicy stacji pocztowych, krótko mówiąc — cały personel poczty. A i większość podróżnych, zatrzymujących się na stacjach pocztowych uważała to za specjalną okazję do pijaństwa i urządzała prawdziwe orgie pijackie nie dające spać tym, którzy w tych orgiach nie brali udziału. Zaraz w początkach podróży na jednej ze stacji domagano się od Dybowskiego poczęstunku wódką. Odpowiedział, że sam nie pije i innych tą trucizną nie częstuje.

— A dokąd panowie jedziecie?

— Do Irkucka.

— To bez wódki nie dojedziecie!

Jakoś dojechali. Zamiast wódką, częstował Dybowski herbatą, cukierkami, dobrym słowem. Gawędził, a w gawędach tych propaganda trzeźwości i całkowitego wstrzymania się od alkoholu niepoślednie zajmowała miejsce. Trudna to była propaganda. Przykład nadużywania alkoholu szedł bowiem z góry. Pili najwyżsi urzędnicy i duchowieństwo. I na to powoływali się pijacy, do których rozsądku przemawiał Dybowski.

Ale pominąwszy nawet sprawę alkoholu, stacje pocztowe, w których zatrzymywano się na noc, były bardzo nieprzyjemne; brudne, zapluskwione, niekiedy tak zimne, że woda w nocy zamarzała. Umeblowanie ich było fatalne, a starania o nadanie pokojom dla podróżnych estetycznego wyglądu dawały wręcz odwrotny rezultat.

Zdawałoby się, że podróż sankami przez Syberię, przy tamtejszym wspaniałym zaśnieżeniu — szczególnie dla badacza ornitofauny mogącego strzelać ptaki po drodze — powinna być bardzo przyjemna, a w każdym razie przyjemniejsza od monotonnej i męczącej podróży wagonem kolejowym. Jednak była bardziej męcząca, gdyż trudności i przykrości podróży znacznie przewyższały jej przyjemne atrakcje. Oczywiście dla Dybowskiego, który jechał wyłącznie

w celach faunistycznych, decydująca była możliwość robienia zbiorów ornitologicznych, i to pokrywało z nawiązką wszystkie ujemne strony podróży.

Na specjalnego typu trudności natrafił Dybowski w Tiumeniu. Tu oznajmiono mu, że ze względów formalnych musi jechać do Tomsku nie wprost na wschód, ale drogą okreśną przez Omsk. Wobec tego wybrał inną możliwość — podróż nie pocztą, lecz końmi prywatnymi. Nazywało się to jazdą „na druzkach“. Taką podróż doradził Dybowskiemu naczelnik stacji pocztowej. Na pytanie Dybowskiego, czy można dowierzać „druzkom“, odpowiedział, że tu wszyscy tak jeżdżą i że pod opieką „druzków“ jest podróżny bezpieczniejszy niż na stacjach pocztowych. Jak na urzędnika pocztowego niezła informacja! Ale trzeba pamiętać, że był to carski urzędnik. Dowiedział się też Dybowski, że ci prywatni furmani mają ceny stałe, a noclegi u nich są czyste i wygodne.

Informacje te sprawdziły się. Na przestrzeni 1500 wiorst, bo tyle wynosi odległość z Tiumenia do Tomsku, raz tylko spotkał się Dybowski z chęcią wyzysku. Ponadto podróż ta była tańsza niż podróż pocztą. Miała też tę wygodę, że nie trzeba było wieźć z sobą zapasów żywności, prócz herbaty i cukru. — Płacąc po 20 kopiejek od osoby można było jeść bez ograniczenia pieczywo, mięso itd.

Noclegi u chłopów bardzo się Dybowskiemu podobały: czyste, ciepłe, wygodne. Chwali też domy Sybiraków; według jego słów są one raczej podobne do dworców szlacheckich niż do chat chłopskich. Obszerne, czyste, starannie umeblowane, zawsze z łaźnią. Toteż kąpieli używali nasi podróżnicy przy każdej sposobności.

Jedzenie było znakomite. Sławne bliny rosyjskie z kawioirem, ryby, pieczony drób stanowiły podstawę każdego obiadu czy kolacji. Gościnność była ogromna: wprost wmuszano w podróżnych jedzenie, a przy odjeździe wtykano jeszcze zapasy na drogę. Dybowski starał się rewanżować drobnymi podarkami (pewną ilość takich podarków woził zawsze ze sobą).

Sybiracy przyjmowali chętnie te podarki — nie wypadalo wszak odmawiać — ale biorąc podarki nie chcieli już jednak brać pieniędzy.

Stosunki między Dybowskim a „druzkami“ układały się jak najlepiej. I zupełnie dobrze obywało się bez wódki. Zastępował ją pogodny humor naszego uczonego. Miał on zawsze w pogotowiu

dobre słowo, wesoly żart, anegdotę. Oto np. anegdotka, którą opowiedział przy okazji przeprężania koni:

Przyjechał Anglik na stację pocztową i pyta, ile czasu będzie jechał do następnej stacji.

— To będzie zależało, ile koni każesz zaprząć: jeśli dwa, to będziesz jechał dwie godziny; jeśli cztery — to godzinę.

— No, to zaprzęgnijcie tyle koni, bym jechał minutę!

Anegdota ogromnie się podobała zebrany. Orzekli:

— Widzicie, jaki Anglik chytry, bodaj chytrzejszy od Niemca.

Tak oto żartując, gawędząc i zaprzyjaźniając się z ludźmi podróżował Dybowski „na druzkach“. Była to najprzyjemniejsza część jego podróży, jako że odbywała się poza nawiasem administracji carskiej i że w czasie jej trwania stykał się z ludem rosyjskim, którego zalety mógł teraz dobrze poznać.

Jadąc szlakiem znanym sobie z dawniejszych czasów, spotykał nasz podróżnik sporo starych znajomych. Robił też i nowe znajomości, a ponieważ zawsze interesowali go wszyscy ludzie, więc opisuje spotykanych i dzieje ich życia, niejednokrotnie bardzo dokładnie. Carscy oficerowie i urzędnicy wyglądają w tych opisach na ogół fatalnie. Fatalnie też w opisach Dybowskiego wygląda duchowieństwo. Że relacje Dybowskiego są obiektywne, świadczy to, że spotkawszy jakiś typ dodatni chętnie wydaje o nim możliwie najlepszą opinię. Nawet jeśli to jest duchowny, choć z duchowieństwem był Dybowski, jak wiadomo, w stosunkach jak najgorszych.

Z dużym uznaniem jest Dybowski dla urody Sybiraczek. Umie ją ocenić i scharakteryzować, oczywiście w formie, w jakiej to się w owe czasy robiło. Córkę jednego z chłopów, do którego był zaproszony na obiad, tak opisuje: „Piękna jak anioł, zwinna jak Hebe, dowcipna i mówna jak warszawianka, skupiała w sobie przymioty rzadko spotykane w połączeniu“.

Zwracając uwagę na wszystko i notując wszystko, nie zapominał jednak Dybowski, że głównym celem jego podróży są badania naukowe. W pracy tej okazało się, jak cennym pomocnikiem jest Kalinowski, który z całym zapalem oddawał się kolekcjonowaniu ptaków.

Przy okazji kupował też Dybowski do zbiorów naukowych, co się tylko dało. Tak np. we wsi Krutyje Łapy, niedaleko Tomsku, kupił parę czaszek borsucznych, w Tomsku — kilka ptaków.

Gdzie tylko zachodziła potrzeba, udzielał uczony nasz porad lekarskich, a że za porady te nie brał, a nawet lekarstwa dawał darmo, więc wszędzie zgłaszali się doń pacjenci — na każdym niemal noclegu, na każdym postoju we wsi. Niekiedy byli to dawniejsi pacjenci czy też znajomi. Byli też i tacy, których nie znał, ale oni znali go ze słyszenia, sława jego bowiem, jako lekarza i badacza przyrody, rozeszła się szeroko po Syberii, podobnie jak innego znakomitego badacza Azji — Mikołaja Przewalskiego.

Z nowych znajomości zawartych w tej drodze wspomnę tylko o dr Harnacku — lekarzu. Dowiedziawszy się, że jedzie on do Kraju Zabajkalskiego i że jest myśliwym, rozpoczął z nim Dybowski rozmowę na temat naukowego badania Syberii i namawiał Harnacka do robienia zbiorów ornitologicznych. Gdy wyjaśniło się, że obaj mają zamiar zatrzymać się przez pewien czas w Irkucku, Dybowski obiecał, że zaznajomi Harnacka z preparowaniem ptaków do celów muzealnych. I dotrzymał tego przyrzeczenia, gdy w Irkucku Harnack zgłosił się do niego. Tak oto przy każdej okazji starał się nasz badacz wciągać ludzi do pracy naukowej.

W Irkucku zabawiał Dybowski od 7 lutego do 27 marca. Miasto to stanowiło ważny etap jego podróży. Jako w stolicy Syberii, miał tu Dybowski do załatwienia różne sprawy urzędowe. Ale najważniejsze było to, że w Irkucku miało się odbyć ostateczne zorganizowanie wyprawy na Kameczatkę przez przyłączenie się Czerskiego, Hartunga i Księżopolskiego. Otóż pod tym względem spotkał Dybowski przykry zawód. Wszyscy oni odmówili udziału w wyprawie. Księżopolski ożenił się, miał już syna i nie chciał opuszczać rodziny, Czerski właśnie miał się żenić, a Hartung był chory.

Poza załatwianiem spraw urzędowych oraz poza odwiedzinami starych przyjaciół i znajomych — cały swój wolny czas poświęcał Dybowski dalszym badaniom Bajkału i fauny lądowej okolic Irkucka. Pracował też w Muzeum Towarzystwa Geograficznego.

Z wyjątkiem diety — wszystkie inne sprawy udało się Dybowskiemu załatwić pomyślnie. Diety obiecyto mu o osiemset kilkadziesiąt rubli, tłumacząc to jakimiś względami formalnymi.

Dla naszego przyrodnika była to duża strata, bo jadąc dotychczas na swój koszt pieniądze otrzymane jako diety przeznaczał na naukowe badania Kameczatki.

Był też Dybowski u prezesa Towarzystwa Geograficznego. Ten przyjął go bardzo życzliwie i zapewnił, że środki na badania, jakkolwiek nieznaczne, zawsze się znajdują. Na razie skończyło się jednak na obietnicy.

Niesposób wymieniać wizyt u Polaków, których Dybowski — gościnnie i serdecznie przyjmowany — odwiedzał przez cały czas pobytu w Irkucku. Nie wszystkich starych znajomych zastał Dybowski w Irkucku. W czasie tym wiele Polaków — zesłańców opuściło już Syberię, otrzymawszy pozwolenie na osiedlenie się w Rosji europejskiej. Wyjeżdżali ciesząc się, że będą bliżej kraju. Później żalowali tego, a listy ich pisane do tych, którzy pozostali, odstręczały od dalszych wyjazdów. Życie na Syberii było bowiem znacznie łatwiejsze i swobodniejsze niż w Rosji europejskiej. Tego samego zdania byli też i Rosjanie.

Dużo czasu zajęły Dybowskiemu różne zakupy, jak to amunicji, lekarstw i chemikalii. Przed samym wyjazdem musiał też kupić zapasy żywności na drogę.

Według zasięgniętych informacji droga za Bajkałem była zmieniana — miejscami sanna, miejscami wozem. Nie można więc było jechać własnym pojazdem. Musiał tedy Dybowski sprzedąć swój wehikul. Odstąpił go Książopolskiemu po cenie kupna, jakkolwiek ten ofiarowywał znacznie więcej, miał nań bowiem kupca, któremu mógł go sprzedać z zarobkiem.

Wysławszy do Warszawy zbiory naukowe, a porobione sprawunki do Władywostoku, ruszył Dybowski w dalszą drogę. Wyjeżdżał pełen optymizmu, zaopatrzoney we wszelkie potrzebne dokumenty i listy polecające.

Droga z Irkucka do Sreteńska, skąd dalej podróż odbywała się statkiem, stanowiła bodaj najgorszy etap podróży. Przesiadanie się na każdej stacji było bardzo uciążliwe. Często pojazdy były tak małe, że nie można się w nich było zmieścić z bagażem. Trzeba się było wyklócać o pojazdy większe lub też o dwa pojazdy. Szło to niekiedy dość opornie, ale ostatecznie różne urzędowe papiery, w które zaopatrzył się Dybowski w Irkucku, decydowały o pomyślnym załatwieniu sprawy. Niekiedy wystarczała czapka urzędowa.

Na ogół jednak podróż odbywała się według schematu ustalonego od początku. A więc po drodze strzelanie ptaków, a na możliwie krótkich postojach ich preparowanie, porady lekarskie i gawędy

z naczelnikami stacji, pacjentami lub przygodnie spotkanymi podróżnymi. Tematy rozmów były najrozmaitsze.

Miał tu Dybowski sposobność do krytykowania istniejącego ustroju i dzielenia się swoimi myślami. Ludzkość nie może stać w miejscu, pouczał, musi wciąż iść naprzód. Postęp jest dźwignią kultury. Obecny ustrój należy zastąpić innym, lepszym, sprawiedliwym. Ludzie nie powinni się nawzajem wyzyskiwać. Nie może być tego, by jedni nic nie robili i żyli w przepychu, a inni pracowali na nich i żyli w nędzy. Pracować muszą wszyscy, nie tylko dla siebie, ale również dla wspólnego dobra. I wszyscy powinni być równi wobec prawa. Każdy powinien mieć zapewniony „dach nad głową“ i „kawałek chleba“. Tak będzie, prędzej czy później, bo to zależy tylko od ludzi. I zmiana przyszła prędzej, niż mógł się tego Dybowski spodziewać sto lat temu. To, co wówczas w ustroju kapitalistycznym wydawało się mrzonką, to obecnie, na tejże Syberii, w ustroju socjalistycznym Kraju Radzieckiego jest realizowane i wydaje się tak naturalne, jak płynąca rzeka lub wschodzące słońce.

Wspomniałem już, dając przykład dr Harnacka, że Dybowski zawsze się starał wciągnąć ludzi do pracy naukowej lub choćby do zbierania materiałów naukowych, gdy tylko zachęta miała jakieś widoki powodzenia. W Nereczyńsku zyskał znów dla nauki niejakiego Kuzniecowa, o czym pisze: „W mieszkaniu u Latuskowicza zastałem towarzystwo przy rannej herbacie. Z obcych był tu Kuzniecowa, oryginalny człowiek; oświadczył się z chęcią zajęcia się zbiorami florystycznymi i wysyłaniem roślin suszonych i nasion pod adresem Taczanowskiego do Warszawy. Prosi mnie przy tym, ażebym go nauczył mierzyć ludzi, gdyż chętnie podjąłby się wykonania jakiejś pracy antropologicznej; zapraszam go do Strietieńska¹⁾, gdzie dłuższy czas mam zabawić; tam obiecuję mu, że będziemy się zajmować zbieraniem roślin, preparowaniem ptaków i mierzeniem ludzi“.

W Nereczyńsku zatrzymał się Dybowski dwa dni; przyjechał 6 IV, wyjechał 8 IV. Odwiedzał starych znajomych, którzy i jego odwiedzali.

Na drugi dzień po wyjeździe z Nereczyńska dotarł do Sreteńska. Oczekując na uruchomienie żeglugi, zabawił tu przeszło miesiąc. Cały ten czas wypełniły mu badania naukowe i leczenie chorych.

¹⁾ „...do Strietieńska“ — do Sreteńska (przyp. red.).

Między innymi wzywany był do portu, do pracowników Kompanii (towarzystwo żeglugowe). Gdy chciano mu zapłacić za leczenie, nie przyjął; powiedział, że leczy darmo. Jeśli jednak Kompania chce koniecznie odwdziżyć się za leczenie, to niech mu da darmowe bilety na statek do miejscowości Kamień-Rybołów. Bilety może przyjąć jako badacz w podróży naukowej. Odpowiedziano mu, że bilety i tak dostanie darmo, Kompania bowiem daje darmo bilety każdemu, kto ma list polecający z Akademii Nauk lub Towarzystwa Geograficznego. A on ma od obu tych instytucji. Mimo to uczony nasz pieniędzy nie przyjął.

Ze Sreteńska znów wysłano przesyłkę ze zbiorami do Warszawy. Przy pakowaniu okazało się, że od wyjazdu z Irkucka zebrano 150 okazów. Dybowski uważał, że to niewiele, że powinno być dwa razy tyle. I byłoby na pewno, gdyby nie zajęcia lekarskie, które zajmowały mu dużo czasu.

Szyłka wreszcie oczyściła się z lodów i żeglugę uruchomiono. „Ingoda“, na której Dybowski odbywał podróż już po raz trzeci, ruszyła 13 maja. Uczony nasz otrzymał bilety pierwszej klasy, upoważniające do korzystania z osobnej kajuty. Ta osobna kajuta, pomijając już wygodę osobistą i możliwość odseparowania się od pijackiego towarzystwa, była o tyle ważna, że bardzo ułatwiła preparowanie zbiorów. Kajuta, w której Dybowskiego zainstalowano, była dostatecznie obszerna, czysta, a nawet urządzona z pewnym zbytkiem. Po uciążliwej podróży z Irkucka do Sreteńska obiecywali sobie nasi podróżnicy solidny wypoczynek.

Ptaki strzelali oczywiście przy każdej sposobności. Teraz jednak były możliwości robienia i innych zbiorów, a przede wszystkim zwierząt wodnych. Wkrótce też zdobył Dybowski nowy dla nauki gatunek szczupaka, nazwawszy go *Esox reicherti* na cześć profesora Reicherta z Berlina, który wraz z profesorem Grube z Wrocławia ratował Dybowskiego od szubienicy.

Podróż Szylką trwała krótko; na trzeci dzień „Ingoda“ znalazła się na Amurze, który otrzymał swą nazwę od miejsca, gdzie Szylka łączy się z Argunią.

W Błagowieszczeńsku stała „Ingoda“ przez dwa dni (20—22 V), co oczywiście zostało odpowiednio wykorzystane do celów faunistycznych.

W Chabarówce siedzieli nasi podróżnicy również przez dwa dni, to znaczy przyjechawszy 25 V, wyjechali 26 V,

tu bowiem trzeba się było przesiąść na inny statek, który odszedł właśnie 26 maja.

Podróż z Chabarówki do stacji Kamień-Rybołow trwała cztery dni, w tym pięć godzin zajęła przeprawa przez jezioro Chanka. Podróż tę odbył Dybowski na statku „Sungacza“.

Po 17 dniach podróży słodkowodnej wylądowali nasi podróżni 30 maja w miejscowości Kamień-Rybołow. Tu pobyt trwał przez kilka dni, po czym znów końmi udali się do Nikolska, a stamtąd do miejscowości Razdolnoje.

Trzydniowa podróż ze stacji Kamień-Rybołow do Nikolska stanowiła jeden z najgorszych etapów podróży. Szczególnie przykra była przeprawa przez szeroko rozlane wody rzeki Mo.

10 czerwca rano w Razdolnoje wsiedli na statek „Suifung“ i po rzece tejże nazwy spłynęli do morza, co trwało kilka godzin. Przy ujściu rzeki przesiedli się na morski statek „Polza“. Ten drugi etap podróży wodnej trwał również krótko, gdyż o trzeciej po południu tegoż dnia wysiedli już we Władywostoku.

Pobyt Dybowskiego we Władywostoku trwał dwa tygodnie. Tryb życia w tym czasie był zwykły: praca faunistyczna i lekarska. Poza tym załatwianie spraw urzędowych, robienie zakupów i wizyty osobiste.

Mieszkańcy Władywostoku odradzali Dybowskiemu wyjazd na Kamczatkę, przedstawiając warunki życia tam w najczarniejszych barwach. Namawiali natomiast Dybowskiego, by pozostał we Władywostoku. Oczywiście rady te w najmniejszym stopniu nie mogły wpłynąć na zmianę projektów Dybowskiego, który pod żadnym pozorem nie zamierzał odstępować od swego postanowienia badania naukowego tej części Azji.

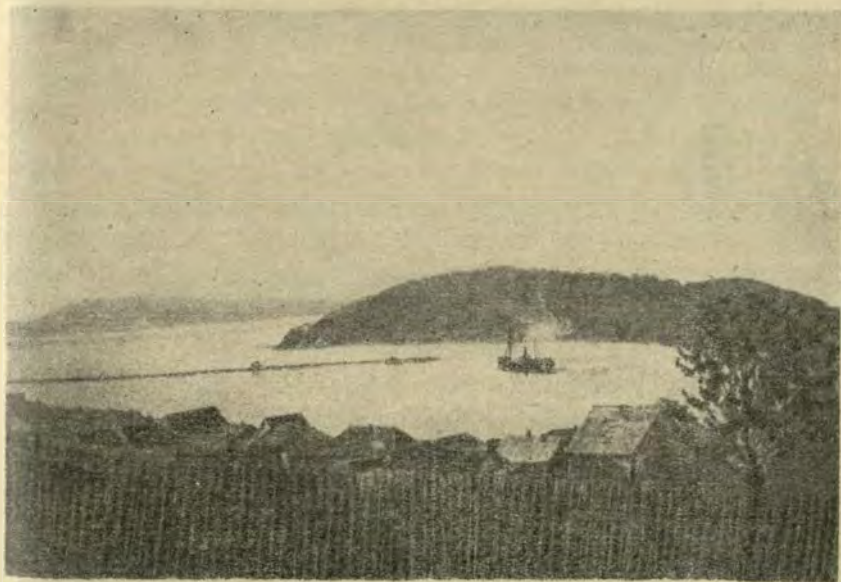
Odesławszy do Warszawy zbiory zgromadzone w drodze ze Sreteńska, wsiadł Dybowski na statek „Kurier“ i 24 czerwca odplynął do Pietropawłowska¹⁾.

Ten ostatni etap podróży był bardzo przykry, bo towarzystwo jadące na statku bez ustanku urządzało orgie pijackie. Nie było możliwości uniknięcia towarzystwa tych pijaków, gdyż oddzielnej kabiny Dybowski nie miał, a fatalna pogoda uniemożliwiała mu przebywanie na pokładzie.

¹⁾ Pietropawłowsk — obecnie Pietropawłowsk Kamczacki. (przyp. red.).

Diety Dybowskiego w drodze z Władywostoku do Pietropawłowska wynosiły 800 rubli. Nie wypłacono ich Dybowskiemu, bo rzekomo miały pójść właśnie na opłacenie tego przejazdu statkiem. Ale za tak dużą sumę można się było spodziewać wygodniejszej podróży.

W Pietropawłowsku wylądował Dybowski 5 VII 1879 r. Że zaś z Niżnego Nowogrodu wyjechał 16 stycznia, więc ten przejazd na Kameczatkę trwał przeszło pół roku, a jeśli liczyć od Warszawy, to jest od 27 grudnia 1878 roku, to odpowiednio dłużej.



Port Pietropawłowski (z r. 1878) widziany od strony lądu

Była to trzecia, a jeśli liczyć podróż ze Skolkowem — od Irkucka na wschód — to czwarta już podróż Dybowskiego przez Syberię. Była ona zarazem i ostatnia, z Kameczatki bowiem wracał Dybowski do kraju drogą morską, dokoła Azji.

Pietropawłowski nie był jednak ostatnim etapem tej podróży. Przeciwnie, tu właśnie zaczęła się tej podróży część najważniejsza. Tu rozpoczęło się badanie Kameczatki i wysp sąsiednich. A to był jednak główny cel podróży. Badania faunistyczne Syberii, — które spowodowały, że na Kameczatce stanął Dybowski tak późno, jakkolwiek

wchodziły one do programu tej wyprawy — były robione tylko okolicznościowo. Po prostu, korzystając z przejazdu, uzupełniał w miarę możliwości swe dawniej czynione tu zbiory i obserwacje.

Jako lekarz okręgowy miał Dybowski siedzibę w Pietropawłowsku. Tutaj spędzał jednak stosunkowo mało czasu. Była to jego baza operacyjna, z której czynił wypadki w różne okolice Kamczatki i na wyspy sąsiednie. Wycieczki te miały charakter naukowy lub lekarski. Przeważnie potrafił Dybowski łączyć jedno z drugim, tak że z każdego wyjazdu służbowego — lekarskiego przywoził pewną ilość zbiorów i spostrzeżeń faunistycznych.

Pobyty Dybowskiego na Kamczatce trwały pięć lat. Jeśli jednak w czasie poprzedniego pobytu w Azji głównym zajęciem Dybowskiego były badania naukowe, to teraz stanowiła je praca lekarska. A była to praca bardzo ciężka, tak że nie nie przesadzali ci życzliwi ludzie, którzy odradzali Dybowskiemu objęcie stanowiska lekarza. Obszar okręgu lekarskiego powierzony Dybowskiemu miał powierzchnię 50 000 geograficznych mil kwadratowych. Ale dodać tu trzeba, że był to kraj zupełnie pierwotny, bez śladów kultury europejskiej, bez dróg i jakichkolwiek znośnych punktów oparcia w czasie podróży.

Swoje obowiązki lekarza okręgowego traktował Dybowski bardzo poważnie i poświęcał im wiele czasu. Niewątpliwie sam fakt objęcia stanowiska lekarza okręgowego Kamczatki był spowodowany chęcią badania tamtejszej fauny. Jednak nie uważał Dybowski za możliwe bagatelizowanie tu pracy lekarza i przesunięcia jej na plan drugi. Krótko mówiąc, badania zoologiczne, które Dybowski tu prowadził, nie odbywały się kosztem zaniedbywania pracy lekarskiej. Jedno z drugim mógł Dybowski pogodzić tylko dzięki bardzo intensywnej, wytężonej pracy — po prostu pracował za dwóch. I jeśli o rezultatach swej pracy faunistycznej sygnalizował w czasopiśmie przyrodniczych, to ślady pracy w zakresie medycyny znajdujemy w czasopiśmie lekarskich.

Jako lekarz okręgowy nie poprzestawał Dybowski na wypełnianiu przepisanych mu obowiązków, lecz z własnej inicjatywy robił znacznie więcej. Stale objeżdżał swój okręg, zwalczał epidemie i starał się im zapobiec szerząc wśród ludności zasady higieny. Założył szpital dla trędowatych i syfilityków, na zwalczanie tych chorób kładł bowiem specjalny nacisk.

Jego troska o ludność okręgu nie ograniczała się tylko do opieki lekarskiej i sanitarnej: troszczy się w ogóle o byt mieszkańców Kameczatki i Wysp Komandorskich, stara się o podniesienie kultury materialnej i intelektualnej tubylców, zwalcza alkoholizm rujnujący ludność materialnie i moralnie, wprowadza na Kameczatkę kozę i królika, na Wyspę Beringa — renifera i konia.

Przy aklimatyzacji rena na Komandorach natrafił Dybowski na niespodziewane trudności ze strony dozorczy rządowego nad Wyspami, niejakiego Mikołaja Hrebnickiego. Ten, dowiedziawszy się o projekcie Dybowskiego, zaprotestował stanowczo. A zapytany, co widzi szkodliwego w sprowadzeniu renów na Wyspę, odrzekł, że: „1. reny mogą przestraszyć koty morskie¹⁾ i te wyniosą się z wybrzeży Wyspy; 2. że będą napadać na ludzi zajętych zbieraniem jagód; 3. że zarażą koty morskie podskórnymi pasożytami²⁾, przez co skóry ich tracą na wartości; 4. że owe pasożytnicze baki będą niepokoić stada kotów morskich spoczywających na wybrzeżu; wszak dlatego — powiada — nie ma legowisk kotów morskich na Kameczatce, że tam są baki“. Argumenty te, zupełnie bezsensowne, zbił Dybowski z wielką łatwością, ale Hrebnickiego nie przekonał.

Jednak Dybowski postawił na swoim i reny na Wyspę Beringa sprowadził, a to dzięki interwencji głównego agenta Kompanii *Hutchison Cohl et Comp.* — Józefa Lugiebil, kulturalnego, wykształconego człowieka. Ten też przewidywał trudności, ale materialne. Wyobrażał sobie, że będzie to kosztować kilka tysięcy rubli. Gdy jednak Dybowski — opierając się na tym, że cena rena na Kameczatce wynosiła wówczas 4—5 rubli — obliczył koszt na 300 rubli, zgodził się na aklimatyzowanie rena na Wyspie Beringa kosztem Kompanii. Tym chętniej, że Dybowski oświadczył, że koszt powyżej 300 rubli bierze na siebie.

Celem zakupu renów odbył Dybowski dwie podróże po Kameczatce. Oto co pisze o tej podróży i o przewozie renów:

„8 VII 1881 wyjechaliśmy na letni objazd całego okręgu; długa i ciężka była to podróż, lecz zwiedziłem większą część półwyspu, poznałem Kameczatkę w jej szacie letniej, wraz z nędzą tubylców nawet w tej porze, gdy mają ryby tyle, że mogą się najęść do syta. Zwiedziłem czumy letnie koczowników; obserwowałem reny na

¹⁾ Kot morski, inaczej kotik (*Callorhinus ursinus*), gatunek foki (przyj. red.).

²⁾ Podskórne pasożyty — tu larwy pasożytniczych baków (przyj. red.).

pastwiskach górskich, słowem — dużo widziałem rzeczy ciekawych i nowe snułem projekty pożyteczne dla tubylców na przyszłość. Wróciłem z objazdu 13 X 1881 r. Przeszło trzy miesiące byłem w drodze, której długość wynosiła 2000 wiorst, licząc wszystkie boczne wycieczki.

2 II 1882 wyjechałem na zwykły objazd zimowy; 24 II stanąłem w Tigilu; zastałem już tam Gawryła Łomuta czekającego na mój przyjazd i zawarłem z nim kontrakt formalny. Dostał on 300 rb. za sztuk piętnaście renów: 12 samice i 3 samce; naddatek ponad cenę umówioną miał dostać wtedy, gdy wszystko będzie akuratnie i pomyślnie wykonane. Naddatek miał się składać z 10 cegiełek herbaty, 10 funtów tytoniu i trzech butelek spirytusu. Gawryło obowiązany był dostawić młode i zdrowe okazy na początek lipca 1882 r. do miejsca wskazanego, mianowicie w pobliżu ostróżka Koriaki i natychmiast zawiadomić mnie przez umyślnego o swoim przybyciu.

12 V 1882 zawiął statek »Aleksander« do portu Pietropawłowskiego. Kapitan Sandmann przywiózł wiadomość, że kapitan Niebaum polecił wypłacić 300 rb. za kupno 15 sztuk renów, a zarazem wydał zarządzenie przewiezienia renów na Wyspę Beringa. W taki sposób starania moje zostały uwieńczone najpomyślniejszym rezultatem.

W połowie czerwca 1882 r. nadeszła wiadomość, że Łomut Gawryło z częścią swego tabunu jest już nad rzeką Kamczatką, u jej źródeł w pobliżu ostróżka zwanego Puszczyzna¹⁾ i że obiecuje stanąć pod koniec czerwca w okolicach ostróżka Koriackiego.

26 VI 1882 r. odebrałem list, pisany przez starostę Naczykińskiego ostróżka²⁾ — Uljana Merlina, w imieniu Łomuta Gawryły, ażebym przybył osobiście do Koriak dla obejrzenia sprzedanych okazów i dla umówienia się odnośnie do sposobu przeprowadzenia kupionych renów z Koriak do Pietropawłowska.

29 VI 1882 r. wyruszyłem konno, ażeby zbadać i wedle możliwości ściśle oznaczyć szlak, po którym prowadzone będą reny. Po-dróż na przestrzeni mającej w prostym kierunku nie więcej niż 25 wiorst trwała przeszło pół doby; nawet na Kamczatce trudno sobie przedstawić uciążliwszą drogę nad tę, cośmy mieli przed sobą. Dziesięć wiorst pierwszych mieliśmy grunt twardy i ścieżkę udeptaną przez pieszych, którą się dojeżdża do wsi Awaczy; odtąd już bez

1) Puszczyzna — obecnie Puszczyno (przyp. red.).

2) Ostróżek Naczykiński — obecnie Naczyki (przyp. red.).

ślądu drogi przebijając się trzeba przez gąszcz olchy kolezastej lub brnąć po topielach 15-tu rzeczek ściekających z gór w dolinę nizinową rzeki Awaczy. Rzeczki przebywa się w bród, przy czym konie zapadają po brzuch w błocie. Dopiero późno w nocy przybyliśmy więc do Koriak znacząc drogę załamywaniem gałęzi w gąszczach i wycinając w niektórych miejscach całe krzaki.

30 VI 1882 r. zwidziłem koczowisko Łomuta; łatwo było wyróżnić kupione okazy, bo każdy z nich miał oszyjnik. Gawryło objaśnił, że przypędził tu część swego stada, gdyż inaczej sprzedanych okazów nie mógłby dostawić na miejsce: uciekłyby szukając stada. Odtąd trzeba będzie wieść na linie każdą sztukę osobno, do czego są potrzebni najęci ludzie; od siebie daje trzech, a sam będzie dozorować. Musiałem więc najmować w Koriakach pewną ilość ludzi, a resztę nająć miałem w Pietropawłowsku. Cena najmu była wysoka: po 5 rb. i po butelce wódki, a nadto pokarm i tytoń w czasie drogi. Łomutom dać musiałem cukru, herbaty i tytoniu; wódki, o którą prosili, nie dałem, obiecując doręczyć w Pietropawłowsku, gdy już będą reny na miejscu.

Natychmiast po powrocie do Pietropawłowska prosiłem kapitana Sandmanna, ażeby ściśle oznaczył dzień odjazdu na Wyspy, tak aby reny mogły przybyć wieczorem przed dniem odjazdu. Wyznaczono go na 14 VII. Do sprowadzenia renów pięciu Kozaków dał isprawnik; płaciłem im po 3 rb. i po butelce wódki wraz z prowiantem w czasie podróży; oprócz tego nająłem jeszcze trzech ludzi ze wsi Awaczy — po 5 rb. Ogółem wydatek, nie licząc prowiantu i wódki, bez której tu ludzie obejść się nie mogą, wynosił 55 rb. Prócz tego musiałem nająć mieszkanie dla rodziny Gawryły i zapłacić za wikt w czasie jej pobytu w Pietropawłowsku; toteż suma wydatków była znaczna, licząc i naddatek umówiony według kontraktu“.

Na statku trzeba było zbudować zagrodę z desek ze słupami, do których reny miały być przywiązane. Trzeba też było zbudować prom do przewiezienia renów z lądu na statek i przygotować zapasy pokarmu (gałązek drzew i krzaków) na drogę. Wszystko to płacił Dybowski z własnej kieszeni, gdyż 300 rubli, które ofiarowała Kompania dzierżawiąca Komandory, poszło w całości na zakup renów.

Gdy wszystko było gotowe, ruszył Kalinowski z wynajętymi ludźmi do Koriak i 13 VII stanęły reny w Pietropawłowsku. Na-

zajutrz od rana transportowano reny na statek i po południu ruszono w drogę.

Podróż morską zniosły reny bardzo dobrze. Trwała ona dwie doby, tak że 16 VII w południe wylądowano na Wyspie Beringa. Oczywiście Dybowski osobiście brał udział w tym transporcie.

Ren, wprowadzony na wyspę Beringa, zaaklimatyzował się tam doskonale i — jak to dobrze przewidział Dybowski — stał się podstawą egzystencji i dobrobytu Aleutów — mieszkańców Wyspy. W związku z tym powstała legenda:

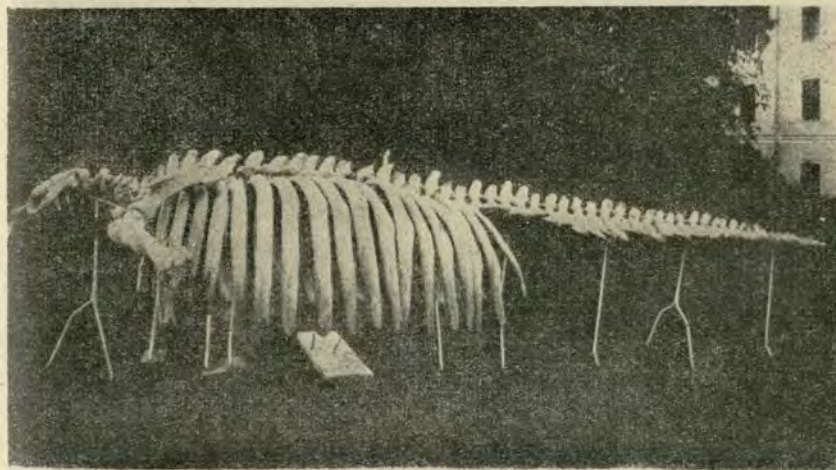
— Ludność Wyspy żyła w wielkiej nędzy, cierpiała biedę i głód. aż zjawił się „Dobry Biały Bóg“, zlitował się i dał rena.

Legendę tę słyszał na Wyspie Beringa prof. Morozewicz, który w pierwszych latach bieżącego stulecia był na Komandorach. Po wysłuchaniu tej legendy prof. Morozewicz wyjaśnił Aleutom całą tę sprawę. Nie przyszło mu to łatwo, a nawet początkowo ustosunkowała się doń ludność bardzo wrogo i groźnie, jako do bluźniercy. Ostatecznie jednak udało mu się wytłumaczyć, że ten, kto dał Aleutom renifera, nie był żadnym „bogiem“, a tylko wyjątkowo dobrym człowiekiem, starającym się pomóc innym. Aleuci, dowiedziawszy się, że Dybowski żyje, postanowili w jakiś sposób okazać mu swą wdzięczność.

Oto co pisze na ten temat prof. Morozewicz w liście do Dybowskiego o dn. 25 XII 1903: „Przed miesiącem niespełna wróciłem z Wysp Komandorskich i Kameczatki, gdzie pamięć o Szanownym Panu przechowuje się do dnia dzisiejszego w sercach tubylców. Ludzie wieku podeszlejszego zarówno w Pietropawłowsku, jak i na Wyspach wspominają o dobrodziejstwach wyświadczonych przez Pana. Zaprowadzone z Pańskiej inicjatywy reny na Wyspie Beringa rozmnożyły się w chwili obecnej do kilku tysięcy i stanowią dla mieszkańców tej Wyspy niewyczerpaną spiżarnię. Obywatele tej Wyspy doskonale oceniają doniosłość ekonomiczną Pańskiej idei i odczuwają wdzięczność przechodzącą niezawodnie w całości i na pokolenie dorastające. Toteż gdy im opowiedziałem, że świat naukowy obchodził w tym roku 40-lecie Pańskiej działalności, wszyscy zapragnęli w jakikolwiekby sposób wyrazić Panu swoją pamięć i wdzięczność. Chciano Panu wysłać adres... Wówczas zaproponowałem im, że o ich pamiętliwych i wdzięcznych sercach opowiem Panu osobiście za powrotem do Europy i że zamiast tego adresu mogliby ofiarować Panu szkielet krowy

morskiej, niedawno przez Sinicy na Aleuta znaleziony i wykopany i już nawet zapakowany w skrzynie celem odesłania do Petersburga. Na projekt ten z początku nie zgadzała się policja, ale w końcu, potrzebując moich względów, uległa“.

Szkielet ten, przesłany do Lwowa, gdzie Dybowski był wówczas profesorem, doszedł na miejsce szczęśliwie. Dybowski ofiarował go do Muzeum Zoologicznego uniwersytetu.



Szkielet krowy morskiej — *Rhytina stelleri*

Prócz tego był Dybowski w posiadaniu jeszcze dwu szkieletów *Rhytina stelleri*; jeden z nich ofiarował do Instytutu Anatomii Porównawczej Uniwersytetu Warszawskiego, drugi do — *Hofmuseum* w Wiedniu.

Jak bardzo był Dybowski przejęty sprawą aklimatyzacji renów na Kamczatce, świadczy fakt, iż opisał to szczegółowo w osobnej publikacji. Z niej właśnie wzięłem przytoczone wyżej cytaty.

Tamże pisze Dybowski o aklimatyzacji innych zwierząt domowych na Kamczatce i Komandorach: „Z innymi próbami przesiedlenia zwierząt pożytecznych na Wyspy Komandorskie i na Kamczatkę szło oporniej: króliki, com sprowadził z St. Francisco, płodziły się obficie, dopóki były w moich rękach; oddane na rozplód, na Kamczatce i na Wyspach nieszczególnie się hodowały, zresztą nie mam o nich wieści późniejszych.

Trzy konie: ogier, klacz i źrebię, kupione za 180 rb. wraz z siodłami i chomaćtem, przewiezione zostały późną jesienią na Wyspę Beringa; wraz z nimi pojechał Kalinowski, ażeby nauczyć Aleutów jazdy konnej i zaprzęgu. Czy się one jednak zaaklimatyzowały na Wyspie Beringa, dowiedzieć się nie mogłem“.

Jak z powyższego widać, prócz inicjatywy i trudów nie żałował Dybowski i pieniędzy, byle tylko pomóc miejscowej ludności. Niestety, nie starczało mu środków na realizowanie wszystkiego, co uważał za stosowne.

Pisze o tym: „Gdybym był wówczas posiadał większe środki albo gdyby władze we Władywostoku dały się przekonać o wielkim pożytku zarybienia jezior kamiczackich, dziś byłyby jeziora w Dolinie Paratuńskiej już dostarczały cały rok okrągły świeżego pokarmu ludności okolicznej“.

By sprawa przywiezienia renów na Komandory stała się dla Czytelniczki zupełnie zrozumiała, należy wyjaśnić, że w roku 1871 rząd carski wydzierżawił te Wyspy wyżej wymienionej amerykańskiej Kompanii. Sprawę tej dzierżawy, jej warunków, dochodów Rosji z Komandorów i dochodów wymienionej Kompanii przestudiował Dybowski dokładnie w związku z memoriałami przesyłanymi do rządu rosyjskiego w sprawie poprawy warunków bytu mieszkańców Kamczatki i Komandorów. W memoriałach swych i raportach zwracał Dybowski uwagę na złe warunki higieniczne, w których żyje ludność tamtejsza, a szczególnie ludność Komandorów. Toteż pisał Dybowski, że konieczne jest osadzenie stałego lekarza na Komandorach, gdyż lekarz mieszkający w Pietropawłowsku nie wystarcza. Na samej Kamczatce ma on dużo do roboty i zbyt rzadko może dojeżdżać na Wyspy. A wożenie chorych z Wysp do Pietropawłowska jest kosztowne i uciążliwe. Zadaniem tego lekarza, podobnie jak lekarza kamiczackiego, byłoby też uświadamianie ludności o podstawowych, koniecznych zasadach higieny mieszkania i odżywiania się. W związku z tym należałoby zrationalizować dowóz żywności obniżając jednocześnie ceny na podstawowe produkty żywnościowe. Poprawa higienicznych warunków życia i zmniejszenie przeciążenia pracą, które szczególnie na Wyspie Miedzianej jest nadmierne, zmniejszy znacznie śmiertelność, a mianowicie zejścia przypadkowe, których procent jest bardzo wysoki.

Silny nacisk kładł Dybowski na konieczność rozbudowy szkolnictwa. W jednym ze swych memoriałów pisał: „Nareszcie należałoby pomyśleć o podniesieniu poziomu oświaty. Trzeba postawić szkoły, w których uczono by nie tylko abecadła, ale także starano się zapoznać z wiadomościami niezbędnymi w życiu. Obok nauki czytania i pisania, obowiązkowej dla dzieci obojga płci (dotychczas w szkołach uczą się tam tylko chłopcy), pożądanym byłoby urządzenie szkoły rzemieślniczej i odczytów publicznych w długie zimowe wieczory, aby w ten sposób dać umysłowi jakiś pokarm i zajęcie.

Jakkolwiek na pozór zdawać by się mogło, że wymienione tutaj postulaty zbyt trudne są do urzeczywistnienia, to jednak w stosunku do Wysp Komandorskich nie przekraczają one granic możliwości wobec olbrzymich dochodów, jakie stamtąd ciągnie Kompania“.

Sprawę dochodów, które dawały w tym czasie Komandory, przestudiował Dybowski bardzo dokładnie. Według jego obliczenia Kompania amerykańska miała z tych Wysp osiemset kilkadziesiąt tysięcy rubli dochodu rocznie, Rosja zaś — kilkadziesiąt tysięcy, zależnie od roku — od 50 do 90. Czerpiąc tak ogromne dochody wyzyskiwała Kompania mieszkańców Komandorów w sposób wręcz fantastyczny.

Jak starannie przestudiował Dybowski tę sprawę, świadczy fakt, iż postarał się także o wiadomość, jakie dochody dają Ameryce Wyspy Pribyłowa. Otóż dawały one w tym czasie 300 tysięcy dolarów rocznie, czyli 600 tysięcy rubli.

Przesyłając te dane zwracał Dybowski uwagę na konieczność rewizji warunków dzierżawy po ukończonym terminie. Nic to oczywiście nie pomogło. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w tak korzystnym dla Kompanii amerykańskiej kontrakcie byli zainteresowani ci, od których zależało ustalenie warunków dzierżawy. Przekupstwo, łapownictwo i zupełny brak patriotyzmu u urzędników carskich zbyt dobrze znane to sprawy, by trzeba było nad tym się rozwodzić.

Zabiegał też Dybowski o wolność polityczną dla narodów Azji wschodniej; domagał się poszanowania ich kultury, obyczajów, języka, protestował przeciwko przenoszeniu ich dalej na zachód w celach rusyfikacji.

Z omówienia tego widać, iż poza obowiązkami lekarza i pracą naukową, bardzo dużo energii poświęcał Dybowski dla dobra tam

tejszej ludności. Ale podkreślić trzeba, że głównym celem, dla którego znalazł się tu nasz uczoney, były badania naukowe.

Jakkolwiek w podróży tej zbierał Dybowski materiały do całości fauny, zarówno lądowej, jak i wodnej, to jednak główne jego zainteresowania skoncentrowane były na kręgowcach. Przede wszystkim zaś zwracał uwagę na ssaki łowne, ze względu na to, że dawały one podstawy bytu ludności. Zbierał tedy starannie dane o ich występowaniu.

W roku 1883 opublikowano dane te we *Wszecławswiecie*. Są tu również i dane statystyczne, z których można się zorientować w ilościowym występowaniu poszczególnych gatunków. Stwierdził tedy Dybowski, że od połowy roku 1879 do końca zimy 1880 roku zabito na Kameczatce: soboli 2883, wyder 700, lisów 1000, gronostai 1300, niedźwiedzi 1300, rosomaków 22, fok rozmaitych 1900, morsów 19, reniferów dzikich 900, baranów dzikich 300, wydrozwierzów 22 itd. Nie ma tu sarn, łosi i jeleni, a miejsce ich zajmuje renifer.

Imponująco wygląda w tym wykazie ilość zabitych soboli. Ale to tylko pozór. W czasach tych bowiem soból był już na Kameczatce stosunkowo nieliczny, tak że Dybowski alarmował, iż grozi mu wyginięcie.

Oto co pisze on o sobolu w wymienionym roczniku *Wszecławswiata*: „Sobole tu na Kameczatce, przy pierwszym wkroczeniu Kozaków, tak były pospolite, że futro psie wyżej się od nich cenilo; Kameczadale śmieli się z głupich Kozaków dających nóż za skórę sobola. Wnosząc z opowiadań żyjących dotąd starych tubylców, obfitość tych drogocennych zwierząt była nadzwyczajna, wszędzie ich było pełno; każda ponowa¹⁾ dostarczała pracowitemu myśliwemu od 20 do 40 sztuk. Steller powiada, że niejednen urzędnik wzbogacił się tam po kilkuletnim pobycie. Nawet jeszcze w początkach tego stulecia rokrocznie zdobywano po kilkadziesiąt tysięcy sztuk na półwyspie. Powoli jednak ilość soboli zmniejszać się zaczęła; zrazu to zmniejszanie się nie było tak widoczne, brano to za rok niesprzyjający polowaniu, lecz gdy ciągle lata po sobie następowały niepomyślne, przekonano się ostatecznie, że sobole zostały wytępione. Jeżeli obecnie porządek polowania nie będzie zmieniony, łatwo przepowiedzieć, że za lat 10, a najdalej za 20, soból zniknie zupełnie na Kameczatce“.

¹⁾ Ponowa — świeżo spadły śnieg (przyp. red.).

W specjalnym referacie wysłanym do gubernatora podał Dybowski przyczyny zanikania sobola na Kameczatce i opracował środki zaradcze mogące ocalić to zwierzę od zupełnego tu wytepienia. W tym celu według Dybowskiego należało: ograniczyć polowanie do 3 miesięcy w roku — listopada, grudnia i stycznia; zabronić chwytania soboli w pułapki; utworzyć kilka rezerwatów, w których polowanie byłoby całkowicie wzbronione.

Po sobolu najważniejszym zwierzęciem łownym był niedźwiedź. Przyrodnik nasz, znający przecież dobrze całą Syberię, twierdzi, że nigdzie w Azji nie ma tyle niedźwiedzi, co na Kameczatce. Zresztą dowodzi tego najlepiej liczba zabijanych tu niedźwiedzi. Kalinowski w krótkim czasie zabił 100 niedźwiedzi i przestał na nie specjalnie polować, gdyż mu się to znudziło. Mówił też, że w tak krótkim czasie nigdy nie mógłby w Polsce zabić 100 zajęcy.

„Wszędzie, dokąd zajeżdżam we wsiach tutejszych — pisze Dybowski — mięso niedźwiedzie, tłuszcz jego znajduję na pewno. Mięso solone, wędzone i świeże uważa się za przysmak; na tłuszczu smażą ryby, jeleninę i kartofle. Z kiszek robią szyby do okien. Skóry służą za posłanie w domu, a zszyte w rodzaj worka, kukulem zwanego, służą do noclegu pod gołym niebem na mrozie. Skóry używane są także w miejsce wołoka pod siodło, ze skóry robią ozdobne obroże dla psów; wyprawne służą na podeszwy. Ileż to innych jeszcze użytków ciągną z niedźwiedzia, np. pęcherz żółciowy sprzedają jako drogicę lekarstwo do Japonii i Chin“.

Dybowski interesował się specjalnie krową morską (*Rhytina stelleri*). Potężny ten ssak morski, dochodzący do długości 8 metrów i wagi 4 tysięcy kilogramów, odkryty był przez Stellera w roku 1740, a już w kilkanaście lat później — wyginał. Gdy Dybowski badał Kameczatkę i Komandory, nie było już nawet ludzi, którzy widzieliby żywą lub martwą krowę morską. Znajdowano tylko szkielety na Wyspie Beringa.

Do zaginięcia krowy morskiej przyczynił się w pewnym stopniu człowiek. To nie ulega wątpliwości. Wszędzie, gdzie to było możliwe, polowano zawzięcie na to zwierzę dostarczające tak olbrzymich ilości mięsa i tłuszczu. Lecz, jak pisze Dybowski w swej pracy o Wyspach Komandorskich: „O ile wnosić można z kości krów morskich, rozrzuconych wszędzie po wybrzeżu, żyły one na brzegach Wyspy Beringa nie w jednym tylko wyłącznie miejscu. Jak wiadomo zaś,

brzegi te po większej części są nieprzystępne i niedogodne dla statków, choćby na krótko tu zatrzymać się chciały, a co zatem idzie, że łowy na krowę morską, o których wspominają, ledwie w kilku miejscowościach mogły się odbywać, tam gdzie jaka taka znalazła się przystań, np. na zachodnim brzegu około Nowego Portu albo na wschodnim koło Starego Portu“.

Wyginięcie krowy morskiej uczony nasz tłumaczy warunkami klimatycznymi. Stwierdza więc, że i na Kameczatce, i na wyspach sąsiednich po stosunkowo ciepłym okresie następują zimy tak mroźne, że całe Morze Beringa pokrywa się grubym lodem. I właśnie „wypadki niespodziewanego zamrażnięcia znacznego obszaru morza, które zwykle nie zamraża, tłumaczą nam lepiej aniżeli inne przypuszczenia przyczynę zniknięcia gatunku krów morskich“.

Znajdowane kości krów morskich badał Dybowski bardzo starannie. Efektem tego była praca o dymorfizmie płciowym w czaszkach *Rhytina stelleri*, drukowana w roku 1883. A jeszcze w roku poprzednim ogłosił Dybowski swą pierwszą pracę o ssakach Kameczatki. Podobnie jak pracę o czaszkach krowy morskiej, drukował ją w Londynie. W owe czasy właśnie Anglia była krajem produkującym w badaniu ssaków. Z czasem dominujące stanowisko w tej dyscyplinie nauk zajął Związek Radziecki.

Prawie równocześnie z pracami o ssakach publikował Dybowski rezultaty swych badań ornitologicznych, a więc spostrzeżenia nad ptakami z rodziny maskonurów oraz uwagi o ptakach Kameczatki i Wysp Komandorskich. Były to jednak raczej zawiadomienia tymczasowe o stanie badań, liczne bowiem zajęcia społeczne i lekarskie uniemożliwiały Dybowskiemu poświęcenie większej ilości czasu na opracowywanie zbieranych materiałów. Uczony nasz zajął się tym dopiero po powrocie do kraju.

Ale dane faunistyczne o Kameczatce i Komandorach podaje Dybowski nie tylko w pracach specjalnych. Dużo ich znajdujemy w opisie Wysp Komandorskich drukowanym w *Kosmosie* w roku 1885. Jest to treść odczytu wygłoszonego w roku 1884 na posiedzeniu Towarzystwa Geograficznego w Petersburgu.

W bardzo skondensowanej formie, bo na 100 stronicach daje Dybowski całkowity opis Komandorów. A więc znajdujemy tu dane historyczne, poczynając od odkrycia Wysp przez Beringa w roku 1741, następnie dane geologiczne, geograficzne i inne. O Aleutach

Spółdzielni nad ptakami
i kaniemi
Maskonurów (Normandii) i
skrzeli

Dr. Benedykt Dybowski, Lwów obiegowy
w Pietropawłowsku a na Kamezatece.

Pracując obok mojej szkoły, marnotrawiłem one ptaki,
od fam. Maskonurów ^{cał} i Normandii, ^{Prallii} i do
względn. brzości ujętego odcia, zamieszkał w niezbyt szum
wieloletni, kaniemi głębi trój miedzi, tymczasem o białej
nad temi interesującymi, a tak ^{nie} widokiem
dokł. i kaniemi ptakami. Wiele osobno ^{nie} rozprawy
o Maskonurach brzoży języcu, a wcale ^{nie} kaniemi
kaniemi języcu; toż i kaniemi rozprawy o kaniemi
języcu: rozprawy ^{nie} kaniemi języcu, ^{nie} kaniemi
wzrostu ^{nie} kaniemi w tym względy uwagi i opisanie.
Najnowszy kaniemi ^{nie} Dr. Burcau (Prallii)
ma to ^{nie} kaniemi ^{nie} kaniemi ^{nie} kaniemi ^{nie} kaniemi

Dr. J. F. Burcau (Dr. Prallii), Ornithologie parvula, wgl. op. m.
na ptakach wyl. kaniemi języcu. ^{nie} Dr. Burcau, kaniemi. ^{nie} kaniemi.
Dr. Burcau, Prof. J. F. Burcau 1846. ^{nie} Dr. Burcau, kaniemi.

Dr. J. F. Burcau (Dr. Prallii), Recherches sur la race
du bec des oiseaux de la famille des Normandii
i kaniemi.

Karta z rękopisu dra B. Dybowskiego o maskonurach (pisanego w Pietropawłowsku na Kamezatece) — ze zbiorów Instytutu Zoologicznego PAN w Warszawie

jest tam również dużo danych; autor omawia: charakterystykę morfologiczną i psychiczną, język, obyczaje, mieszkanie — słowem podaje całokształt ich życia.

Szereg tablic z danymi statystycznymi ułatwia Czytelnikowi wniknięcie w życie Wysp nie tylko pod względem przyrodniczym, ale i ekonomicznym. Praca jest ilustrowana fotografiami krajobrazu, wsi, mieszkańców i zwierząt. Jest też i mapa Wysp.

W roku 1881 nadchodzi propozycja objęcia katedry zoologii w Petersburgu; Dybowski odmawia, tak jak przedtem odmówił objęcia katedry zoologii w Tomsku, którą mu proponowano przed wyjazdem na Kameczatkę.

Gdy jednak otrzymuje propozycję objęcia katedry we Lwowie — propozycję tę przyjmuje. W roku 1883 opuszcza Kameczatkę. Tym razem żegna się z Azją na zawsze, resztę bowiem życia spędza w kraju.

Do końca życia projektuje jeszcze jedną podróż na Bajkał. Podróż ta jednak pozostała w sferze marzeń.

Dybowski nie zaprzestał pracować nad fauną Bajkału, ale pracował nad nią już tylko w kraju — opracowywał swe stare materiały naukowe.



Do kraju nie wracał Dybowski z pustymi rękami. Wiózł z sobą olbrzymie zbiory przyrodnicze i etnograficzne. Obdarował nimi krajowe muzea. Tym razem zbiory zoologiczne nie poszły do Warszawy. Zabrał je Dybowski z sobą do Lwowa, do muzeum przy katedrze zoologii.

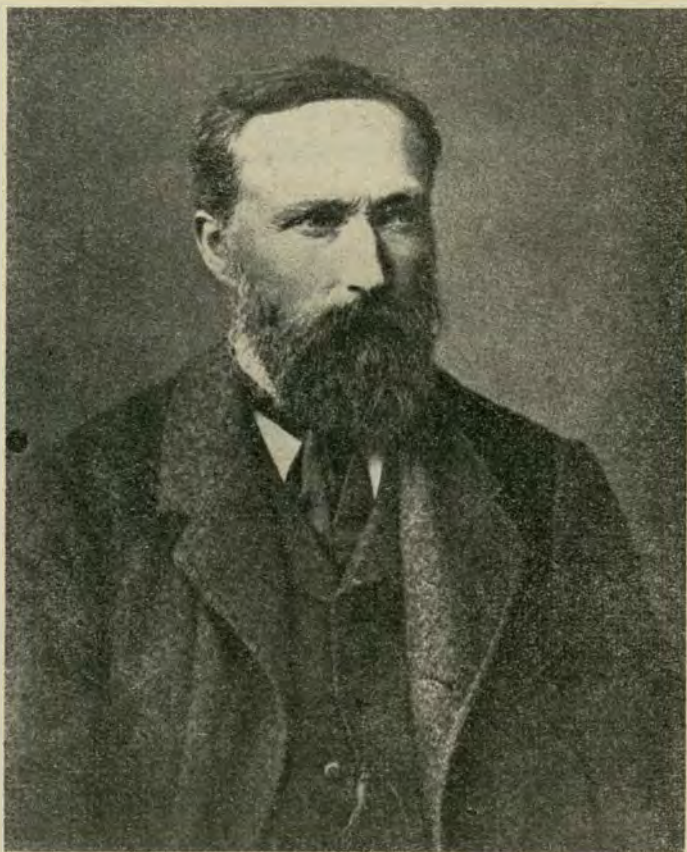
Do organizowania Instytutu Zoologicznego zabrał się Dybowski z całą energią i właściwym sobie zapalem. Specjalnie duży nacisk kładł na muzeum. Przy jego organizowaniu nie ograniczał się tylko do typu „zbioru podręcznego“, obejmującego pewną ilość zwierząt służących do demonstracji w czasie wykładów i ćwiczeń. Gromadził w nim również materiały naukowe, a własne zbiory, przywiezione z Kameczatki, miały się stać ich zaczątkiem.

Wykłady jego szybko zdobyły sobie ogromną popularność. Porywał w nich młodzież entuzjazmem do wiedzy, szerokimi horyzontami poglądów i postępowością.

Nie wpadł nigdy w schematyzm. Z roku na rok opracowywał wykłady na nowo, tak, że stały one zawsze na poziomie ostatnich zdobyczy nauki. Były to wykłady wciągające słuchaczy na drogę badań naukowych. I wciągnęły wielu, a niejeden został z czasem profesorem uniwersytetu, właśnie pod wpływem tych wykładów.

Oczywiście takie przygotowywanie wykładów zajmowało Dybowskiemu dużo czasu. Wkladał w nie wiele pracy, tak jak w ogóle w całą działalność profesorską. Był profesorem wzorowym pod każdym względem i jako pedagog, i jako uczonec, i jako wychowawca młodzieży. A trzeba sobie zdać sprawę z tego, że w owych czasach, gdy Dybowski obejmował katedrę, w pracy swej profesor miał znaczne trudności. To nie to, co obecnie. Nie było w języku polskim odpowiednich podręczników, z których słuchacze mogliby się uczyć, nie było nawet ustalonej nomenklatury i terminologii zoologicznej. Trzeba to było od podstaw opracowywać.

Jak sumiennie traktował Dybowski swe obowiązki profesorskie i jak dalece pragnął ułatwić pracę studentom, niech świadczy to, co mi opowiadał prof. Grochmalicki, długoletni asystent profesora Benedykta Dybowskiego:



Dr B. Dybowski w r. 1883

— Przed każdym wykładem, jeszcze zanim się słuchacze zaczęli schodzić do sali wykładowej, pisał Dybowski kredą na tablicach obszerne streszczenie wykładu. Nie trzeba się nad tym rozwodzić, w jak dużym stopniu ułatwiało to słuchaczom robienie obszernych notatek i jak wpływało na ich dokładność. Ale jak dużo czasu i trudu kosztowało to profesora!

W wykładach swoich stał Dybowski ściśle na gruncie ewolucjonizmu. Omawianiu zagadnień ewolucji poświęcał specjalnie dużo uwagi i czasu. A trzeba zdać sobie sprawę z tego, że w dwu ostatnich dziesięcioleciach wieku XIX ewolucjonizm, zwany wówczas popularnie darwinizmem, miał bardzo licznych wrogów. Był silnie zwalczany nie tylko przez kler, ale nawet przez wielu przyrodników. Darwinistów uważano powszechnie niemal za rewolucjonistów, za wrogów panującego ustroju społecznego. Starali się wszak obalić stary, od wieków przyjęty pogląd na świat, a stworzyć zupełnie nowy.

Wykładami Dybowskiego interesował się cały kulturalny Lwów, a wkrótce zainteresował się i Wiedeń.

Pewnego dnia odwiedził Dybowskiego w Instytucie Zoologicznym rektor uniwersytetu. Rozmowa miała przebieg następujący:

— Przyszedłem do Pana Profesora w związku z pismem, które otrzymałem z Wiednia, z Ministerstwa Oświaty.

— Bardzo mi przyjemnie widzieć Pana Rektora w moim Instytucie. Ale jakież związku ma to pismo ze mną?

— Ma bardzo duży, dotyczy bowiem właśnie Pana Profesora.

— O! Nie przypuszczałem, że Wiedeń interesuje się mną...

— Interesuje się, i to bardzo. W piśmie, o którym wspomniałem, Ministerstwo zwraca uwagę, że Pan Profesor szerzy w swych wykładach jakieś rewolucyjne idee, niezgodne z ogólnie przyjętymi w nauce poglądami. Że jest zwolennikiem teorii Darwina, że propaguje ewolucjonizm!

— Tak, jestem zwolennikiem teorii Darwina. Jestem ewolucjonistą i daję temu wyraz w wykładach. Jest to moim obowiązkiem, gdyż jako profesor uniwersytetu jestem obowiązany prowadzić wykłady na poziomie wiedzy współczesnej i uwzględniać w nich wszelkie zdobycze nauki. A teoria ewolucji jest największą zdobyczą nauki XIX stulecia. Jest teorią, która tłumaczy całokształt zagadnień przyrodniczych. Tylko na podstawie ewolucjonizmu można sobie zbudować wartościowy i zgodny z nauką, postępowy światopogląd. A do moich obowiązków, jako profesora jednej z dyscyplin przyrodniczych, należy dbać o to, by studiujący taki właśnie światopogląd z tych murów wynieśli. Ale ciekaw jestem, skąd to Ministerstwo Oświaty w Wiedniu wie, co ja tu we Lwowie wykładam?

— Tego nie wiem. Ale wiem to, że we Lwowie jest Pan Profesor bardzo popularny. I cały Lwów mówi o tym, że Pan Profesor

wykłada darwinizm. A wszak dla większości ludzi Darwin to symbol bezbożnictwa, amoralności, rewolucji i tym podobnych rzeczy. A na kler działa to wprost jak „czerwona plachta na byka“. Toteż przypuszczam, że księża postarali się, by wiadomość ta dotarła do Wiednia. I niewątpliwie władze kościelne zabiegają o to, by Pan Profesor prowadził wykłady w innym duchu.

— A więc w tym piśmie Ministerstwo Oświaty żąda, bym nie wykładał darwinizmu czy też ewolucjonizmu w ogóle?

— Nie piszą tego wyraźnie. Ale treść pisma nasuwa takie sugestie.

— Panie Rektorze! Sądzę, że niezbędne tu jest wyraźne, jasne postawienie sprawy. Oświadczam tedy Panu Rektorowi, że jestem ewolucjonistą, w tym duchu istotnie prowadzę wykłady i nadal prowadzić będę. Sądzę, że dobrze będzie, jeśli Pan Rektor to moje oświadczenie przekaże do Wiednia. Proszę też przy okazji dodać, że jakiegokolwiek próby zmuszenia mnie do zmiany treści mych wykładów dadzą tylko ten efekt, że zrezygnuję z katedry. Wrócę na Kamezatkę, gdzie będę miał lepsze możliwości szerzenia kultury i postępu.

Na tym się skończyło. Wiedeńskie Ministerstwo Oświaty zrezygnowało. Bali się niewątpliwie, że Dybowski dotrzyma słowa i ustąpi z katedry. A to miałoby posmak zbyt wielkiego skandalu. — Nazwisko Dybowskiego sławne było w całym świecie i jego rezygnacja z katedry na skutek wyżej wymienionych powodów byłaby szeroko komentowana przez postępowy świat naukowy w sposób kompromitujący austriackie władze oświatowe.

Po powrocie do kraju Dybowski ożenił się z panną Heleną Lipnicką. Ślub wziął w r. 1886 we Lwowie. Zwlekał tak długo z zawarciem ślubu, pamiętał bowiem o tym, że był lekarzem trędowatych i że okres inkubacyjny trądu trwa niekiedy bardzo długo. Uważał tedy, że z zawarciem małżeństwa musi czekać tak długo, aż będzie miał zupełną pewność, że się nie zaraził.

W roku 1906 przechodzi Dybowski na emeryturę. Ma wówczas 73 lata. Jest zmuszony opuścić katedrę z powodu osiągnięcia dopuszczalnej dla profesorów granicy wieku. Ustępuje jednak w pełni sił i możliwości pracy. Pozostaje nadal we Lwowie. Urządza sobie

pracownię naukową w domu i pracuje nadal i naukowo, i publicystycznie. To się tylko zmienia w jego życiu, że odpadają mu obowiązki profesorskie. Służba społeczna trwa nadal. Tak że przejście na emeryturę nie stanowi w życiu Dybowskiego wyraźnego etapu. I cały czas jego pobytu we Lwowie od roku 1883 aż do roku 1930, czyli do roku śmierci, wypada w życiu Dybowskiego traktować jako jedną całość — ostatni etap Jego życia. Jak był on pracowity świadczy liczba publikacji (przeszło 130) ogłoszonych w tym czasie.

Oczywiście od czasu do czasu wyjeżdżał Dybowski ze Lwowa. Były to jednak podróże po kraju. Na Syberię już nie wrócił, choć nie przestał o tym marzyć do końca życia.

Podczas jednego z takich wyjazdów, gdy bawił w swych stronach rodzinnych, wybuchła pierwsza wojna światowa. Przeszedł wówczas Dybowski ciężkie czasy, co tak opisuje w liście do profesora Talko-Hrynczewicza: „Chciano nas wyrzucić za Wołgę, tylko rozmaitym staraniem zawdzięczamy, żeśmy pozostali w Nowogródkiem, a w domu siostry mojej p. Nargielewiczowej bawiliśmy aż do czasu, gdy inwazja dotarła do Niemna. Bombardowano dom, gdzieśmy bawili. Przebywaliśmy w piwnicy podczas ataków. Ostatecznie zdobyli Niemcy. Myśleliśmy, że nastaną lepsze czasy, ale okazało się, że były gorsze — wyrzucono nas, po ograbieniu z całego mienia, zabrano wszystko, spalono dom i zabudowania gospodarskie, rozebrano spalone mury na piece w okopach, wycięto park, gaje, przekopano całe pola okopami — dewastacja najzupełniejsza. Żyliśmy kątem u hr. Orurków we Wsielubniu. Dzięki znajomości z wnukiem W. Humboldta, oficerem niemieckim, dostaliśmy nareszcie pozwolenie powrotu do Lwowa; tak dojechaliśmy do Wilna, gdzie przebywać zmuszeni byliśmy parę miesięcy, zanim rząd austriacki wydał nam pozwolenie powrotu do Lwowa, i wśród najcięższych warunków podróży przez Poznań przybyliśmy do Lwowa“.

Po powrocie do Lwowa warunki bynajmniej nie zmieniły się na lepsze. Emerytura, którą Dybowski otrzymał, była śmiesznie mała, nie starczała na najskromniejsze utrzymanie. Już nie mówiąc o tym, że nie było na remont domku zniszczonego przez wojnę. Dybowscy sami musieli gotować, prac, sprzątać; nie stać ich było na jakąś płatną siłę pomocniczą. Przetrwali jednak. A po wojnie stosunki unormowały się, emerytura osiągnęła należyty poziom i warunki bytowania stały się znów znośne.

W najgorszych nawet warunkach Dybowski nie przestawał jednak pracować. Z równą intensywnością pracował do ostatnich dni życia.

Zmarł 31 stycznia 1930 roku we Lwowie i tam jest pochowany. Na miejsce wiecznego spoczynku Dybowskiego odprowadzało wojsko. Chowano wszak jednego z ostatnich uczestników powstania styczniowego.

PRACA NAUKOWA

Nauka, pedagogika, praca społeczna, publicystyka, lecznictwo, walka o higienę społeczną — oto dziedziny, w których pracował Dybowski. A w każdej pracował z pełną energią, kładąc w pracę wszystkie swoje możliwości, całą duszę.

Za kogo tedy mamy uważać Dybowskiego? Która z wymienionych dziedzin była mu najbliższa, która była istotą jego życia?

Niewątpliwie nauka. Dybowski był przede wszystkim uczonym. Wszelkie jego projekty i plany życiowe, wszelkie nastawienia rozumowe i uczuciowe związane były z pracą naukową. Nauka — jako dźwignia postępu — miała dlań najwyższe wartości.

Nauka była głównym celem Jego życia.

Ale w jakiej dziedzinie nauki pracował Dybowski? Z wykształcenia był lekarzem. Lecz — jak to już wiemy — z charakteru swych prac naukowych był przyrodnikiem. Jako profesor wykładał zoologię. Jego prace naukowe — to przede wszystkim prace zoologiczne, a jeśli inne — to geograficzne, z nimi związane. Do takich należą np. prace nad morfologią Bajkału lub fizycznymi właściwościami jego wód.

Ale stwierdzić, że Dybowski był zoologiem i że pracował w tej dyscyplinie — to mało. Zoologia bowiem — to cały zespół różnych specjalności.

Otóż Dybowski był przede wszystkim systematykiem i zoogeografem. Ale dość dużo pracował też w dziedzinie anatomii porównawczej. Większość jego rozpraw naukowych poświęcona jest systematyce, faunistyce i zoogeografii. Tu zauważyć należy, że zoologowie systematycy zajmują się zwykle jedną tylko grupą zwierząt np. ptakami (ornitologodzy), rybami (ichtiolodzy) itd. A nawet w granicach poszczególnych gromad zwierząt, szczególnie tych, które obejmują rzędy bardzo różnorodne, systematycy zazwyczaj opracowują jeden tylko rząd, ponieważ i bogactwo form w świecie zwierzęcym jest

olbrzymie, i literatura traktująca o nich jest bogata. Opanowanie jednego i drugiego nastrocza znaczne trudności, więc np. entomolodzy specjalizują się w motylach (lepidopterolodzy), chrząszczach (koleopterolodzy), błonkówkach (hymenopterolodzy) itd. Otóż Dybowski nie był takim wąskim specjalistą. I trudno jest nawet powiedzieć, jaką grupą zwierząt zajmował się specjalnie. Nie mówiąc już o tym, że w Azji zbierał wszystko i dawał następnie do opracowania specjalistom, sam opracowywał zebrane materiały z grup bardzo różnorodnych.

Pierwsza jego praca traktuje o rybach. Nad rybami pracował następnie dużo, zarówno nad europejskimi, jak i azjatyckimi. Jego dorobek w tej dziedzinie jest znaczny. Można go uważać za wybitnego ichtiologa, a z polskich ichtiologów był niewątpliwie najwybitniejszym. Ale i nad skorupiakami pracował dużo i to od samego początku swej pracy naukowobadawczej, a jego praca o kielżach Bajkału jest pracą klasyczną. Ale nie na tym koniec. Pracował bowiem i nad ssakami, ptakami, płazami przyczyniając się walnie do rozszerzenia znajomości każdego z tych skupień. Pod względem metodycznym jego prace faunistyczne stały na najwyższym poziomie. Nie były to proste wykazy form z pewnego terenu, oznaczone według jakiegoś klucza czy monografii, lecz racjonalnie — z punktu widzenia zoogeografa — przeprowadzone badania. Zbiory, nagromadzone w trakcie badań, były następnie dokładnie opracowywane pod względem systematycznym. Krótko mówiąc, do pracy tej miał podejście systematyka i zoogeografa.

Występujące na danym terenie gatunki interesowały go nie tylko pod względem faunistycznym. Badał je możliwie wszechstronnie. Nie mówiąc już o zaznaczaniu i komentowaniu różnych cech morfologicznych, zwracał uwagę na biologię znajdujących i obserwowanych gatunków, na ich sposób bycia, rozmnażanie, a szczególnie na zależność od warunków otoczenia. Był jednym z pierwszych ekologów, jego spostrzeżenia i uwagi ekologiczne są z reguły bardzo wartościowe. Jak ważne jest ekologiczne podejście do badanego pod względem faunistycznym terenu, udowodnił na przykładzie Bajkału. Właśnie wychodząc z założeń ekologicznych doszedł do przekonania, że fauna Bajkału musi być bardzo bogata. A że nie uległ sugestii poprzednich badaczy Bajkału, którzy twierdzili coś wręcz przeciwnego, świadczy to, w jak wysokim stopniu był w swych

badaniach samodzielny i oryginalny. Podchodzenie do danego problemu tak, jakby nie był on zupełnie przez nikogo poruszony, przy całkowitym opanowaniu literatury zagadnienia, znamionuje bardzo wybitnych badaczy. Takim był Dybowski. Nie jest to łatwe, ale daje znakomite rezultaty i jakże często prowadzi do wyników zupełnie niespodziewanych. Zadziwiają wtedy odkrycia spóźnione, których oczywistość jest taka, że wprost niepojęte jest, jak poprzedni badacze mogli danego zjawiska nie zauważyć. Tak właśnie było z Bajkałem.

Odkrycie i opracowanie fauny Bajkału — to najwybitniejsza zasługa naukowa Dybowskiego. Prace te zyskały naszemu uczonemu rozgłos światowy i uznanie wszystkich przyrodników.

O badaniach Bajkału i o pracy naukowej Dybowskiego na Syberii pisałem już poprzednio. Tu chciałbym tylko dodać jeszcze kilka uwag natury ogólnej. Oczywiście już sam fakt odkrycia tak wyjątkowo ciekawej fauny Bajkału zasługiwałby na specjalną uwagę i zapewniłby Dybowskiemu nieśmiertelne imię w nauce. Ale podkreślić tu należy, że badając tę faunę był Dybowski jednym z pierwszych pionierów w badaniach fauny dużych głębokości. Powszechne bowiem było wówczas przekonanie, że na większych głębokościach nie ma życia zwierzęcego. Pierwsze badania głębinowej fauny morskiej były przeprowadzone przez ekspedycję *Challenger*a (1872—1876). A w ogóle badania limnologiczne były wówczas w zaczątku; wszak pojęcie planktonu utrwała się dopiero w latach osiemdziesiątych. Dybowski rozpoczął swe badania Bajkału w tym samym czasie, w którym rozpoczynano badania jezior w Europie. Swe klasyczne badania Jeziora Genewskiego prowadził Forel w latach siedemdziesiątych.

Na Bajkale nie kończą się jednak zasługi Dybowskiego w badaniach Azji. Jeśli badania Bajkału wysuwają się na pierwsze miejsce, to jednak równie ważne są badania innych okolic. Doprowadziły one do poznania fauny tych krajów, jak na owe czasy, wręcz znakomitego.

Oto co pisze na ten temat wybitny badacz krajów polarnych Nordenskiöld, który w jednej ze swych podróży natknął się na statek stojący koło Wyspy Beringa: „Na okręcie tym znajdował się doktor Benedykt Dybowski, zesłany, a następnie ułaskawiony Polak, którego mistrzowskie zoologiczne prace są najważniejszymi z osiągniętych w ostatnich czasach we względzie badań przyrody Syberii.

Zajęcia jego przeważnie poświęcone dotąd były Krajowi Zabajkalskiemu, lecz ponieważ zamierzył je rozszerzyć do Kamczatki, przyjął więc dobrowolnie posadę lekarza w Pietropawłowsku. Nauka może więc spodziewać się bardzo cennych rezultatów jego poszukiwań w okolicach Syberii, najbardziej interesujących, lecz najmniej zbadanych.“

To, co przepowiedział Nordenskiöld, sprawdziło się całkowicie. Po kilkoletnich badaniach przeprowadzonych przez Dybowskiego znajomość fauny Kamczatki posunęła się ogromnie.

Zarówno na Kamczatce, jak i w innych okolicach Syberii specjalnie dużo uwagi poświęcał Dybowski ptakom. Toteż pod względem ornitologicznym zbadał Syberię Wschodnią zadziwiająco dokładnie. Zgromadził olbrzymie materiały naukowe. Nie poprzestawał, jak to robiono w tych czasach, na zebraniu jednego czy paru okazów jakiegoś gatunku. Zbierał całe serie osobników. Zdawał sobie sprawę z tego, że przy zmienności indywidualnej, która u niektórych gatunków jest bardzo duża, porównanie dwu osobników z różnych okolic krainy rozmieszczenia gatunku, nie wystarcza, by rozstrzygnąć sprawę różnic czy podobieństwa populacyj tych okolic. Sprawę może rozstrzygnąć porównanie dużych serii okazów. Dybowski był pionierem tej metody pracy w systematyce.

Powszechnie zaczęto ją stosować dopiero w kilkadziesiąt lat później. A wówczas ta metoda pracy doprowadziła do tego, że wbrew powszechnie przyjętemu wówczas przekonaniu okazało się, iż fauna ornitologiczna Syberii nie jest identyczna z fauną ornitologiczną Europy. Pomijając już występowanie pewnej ilości odmiennych gatunków, Dybowski i ci, którzy opracowywali jego zbiory ornitologiczne, stwierdzili, że u bardzo wielu gatunków populacje z Syberii różnią się od populacyj z Europy. Wyniki te potwierdziły przewidywania Dybowskiego, który od samego początku swych badań w Azji był przekonany, że to się okaże.

Dybowski ogłaszał tylko fragmenty swych badań i obserwacji ornitologicznych. Całość materiałów przezeń zebranych opracował ówczesny kustosz zbiorów zoologicznych Uniwersytetu Warszawskiego — Władysław Taczanowski. Efektem tego opracowania jest kapitalna monografia *Faune ornithologique de la Sibirie Orientale*. Niektóre inne zbiory Dybowskiego opracowali: brat Benedykta —

Władysław Dybowski (mięczaki, gąbki), prof. E. Grube (wyplawki), E. Haase (wije), prof. J. Nussbaum-Hilarowicz (wieloszczety), prof. W. Kulczyński (pajaki).

I jeszcze jedno: specjalnie podkreślić należy, w jak trudnych warunkach prowadził Dybowski badania Bajkału i innych okolic Azji. Zesłaniec polityczny — miał bardzo ograniczone możliwości poruszania się, a środki finansowe więcej niż skromne. Sam musiał kombinować i budować narzędzia do połowów, sam musiał kręcić liny.

Gdyby te badania, które przeprowadził Dybowski, przeprowadziła dobrze wyposażona ekspedycja, złożona z kilku badaczy, to rezultaty osiągnięte przez nią można by uważać za bardzo duże. A dokonane przez jednego człowieka, w tak wyjątkowo ciężkich warunkach, są wręcz imponujące.

Po powrocie do Polski Dybowski zajął się faunistyką i systematyką zwierząt krajowych. Nie zapomniał nigdy o Syberii i Kameczatce. Stale się tam wybierał, niemal do końca życia. Pamiętam dobrze rozmowę z nim na ten temat. Jeszcze jako 90-letni starzec projekt podróży na Bajkał traktował zupełnie poważnie i proponował mi, bym mu towarzyszył.

Po roku 1883 ponad pięćdziesiąt publikacji Dybowskiego dotyczy Syberii i Kameczatki, z czego ponad trzydzieści — to prace zoologiczne. Niektóre ogłaszał z Janem Grochmalickim, jedną — z Władysławem Taczanowskim.

W tym lwowskim okresie swego życia publikował też Dybowski prace z anatomii porównawczej; specjalnie interesował się zębami zwierząt ssących. Dużo uwagi zwracał na zagadnienia ogólnobiologiczne.

Na osobną wzmiankę zasługuje praca z dziedziny historii zoologii pt. „Rzut oka na historyczny rozwój zoologii“ (*Kosmos*, Lwów 1885). Jest to pierwsza praca tego ogłoszona w języku polskim.

DYBOWSKI JAKO ANTROPOLOG ¹⁾

Główne zasługi naukowe prof. dra Benedykta Dybowskiego dotyczą zoologii, w zakresie której ogłosił on liczne i niezmiernie wartościowe prace naukowe. Zjednywały mu one wielkie uznanie.

Jednak Dybowski zasłużył się wielce nie tylko zoologii, ale również i antropologii polskiej. Wzbogacił on polskie zbiory antropologiczne ofiarowując prof. Izidorowi Kopernickiemu — dla utworzonego przezeń Muzeum Antropologicznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie — bardzo cenne serie czaszek Kamczadałów, Ainów oraz Aleutki i Koriaka, które gromadził podczas długoletniego pobytu na Kamczatce i w różnych okolicach Syberii.

Dybowski robił również pomiary antropologiczne plemion zamieszkujących Kamczatkę, lecz niestety materiały te uległy zniszczeniu w czasie jego podróży po Syberii. Uczony ten skonstruował także kilka przyrządów antropologicznych własnego pomysłu, a wśród nich profilaktor do robienia profilów czaszek i głów, wykonany na Kamczatce, a potem ulepszony przezeń i przez dra Władysława Fuchsa we Lwowie.

Po powrocie z wygnania do kraju Dybowski powołany został w roku 1884 do objęcia katedry zoologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie i będąc na tym stanowisku poczynił starania w kierunku utworzenia na powyższym uniwersytecie katedry antropologii. W tym celu prócz obowiązujących go wykładów zoologii wykladał kurs antropologii, w którym — jako zdecydowany zwolennik nauki Darwina i Haeckla — poświęcił wiele czasu zagadnieniom antropogenezy i dalszej ewolucji człowieka.

Ogłosił też pracę *O starożytności rodu ludzkiego w świetle nowszych badań* (Kosmos, t. 29, Lwów 1904).

¹⁾ Napisał prof. dr Kazimierz Stołyhwo.

Dybowski nie tylko rozumiał dobrze znaczenie antropologii — jako uzupełnienia innych nauk przyrodniczych — ale wprost był jej entuzjastą, gdyż w swym artykule pt. „Kilka uwag dotyczących stanowiska antropologii i jej przyszłej działalności“ (*Światowid*, t. XII, Warszawa 1926) pisał: „Celem nauki o człowieku jest poznanie przeszłości jego bliskiej, tudzież dalekiej, mrokiem milionów stuleci spowitej, następnie jego teraźniejszości, tak obszernej, jak łąd nasz cały, a nareszcie przyszłości ginącej w oddaleniu marzonego ideału. Dopiero w ostatnich czasach zdołano uświadomić sobie należycie, że antropologia jest nauką nad naukami, więc obowiązkowo poznana być winna powszechnie“.

Nic więc dziwnego, że ustosunkowując się w sposób powyższy do antropologii Dybowski nie tylko zapoczątkował wykłady antropologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, ale i czynił zarazem energiczne zabiegi w celu ugruntowania tego przedmiotu. W tym celu usiłował on pozyskać zgodę prof. Zygmunta Zaborowskiego z Paryża na objęcie katedry antropologii we Lwowie. Gdy jednak Zaborowski odmówił przyjęcia tej propozycji, Dybowski zwrócił się do młodego wówczas antropologa z Warszawy, Kazimierza Stołyhwy — z propozycją objęcia asystentury przy katedrze zoologii w celu doktoryzowania się i habilitowania z antropologii. K. Stołyhwo nie przyjął tej propozycji, ponieważ nie chciał opuszczać Pracowni Antropologicznej, stworzonej przez siebie w Warszawie, oraz wchodzić w drogę d-rowsi Witoldowi Schreiberowi, który był profesorem gimnazjalnym we Lwowie i w tym samym czasie zaczął pracować na polu antropologii.

Chociaż nie udało się Dybowskiemu obsadzić katedry antropologii we Lwowie w ten sposób, jaki uważał on za najbardziej odpowiedni, akcja jego spowodowała jednak utworzenie katedry antropologii, na którą w r. 1908 powołany został wybitny etnolog polski dr Stanisław Ciszewski, a po jego ustąpieniu w r. 1913 katedra została obsadzona przez dra Jana Czekanowskiego z obowiązkiem wykładania etnologii i antropologii.

Po ustąpieniu z katedry w r. 1906 Dybowski nie zaprzestał działalności naukowej, zarówno w zakresie swej właściwej specjalności — zoologii, jak i w zakresie antropologii. Pozostawił po sobie bogaty dorobek naukowy w postaci niezmiernie wartościowych oryginalnych prac naukowych z obu tych dziedzin. We Lwowie w r. 1923 ogłosił

np. drukiem opis swego przyrządu, zwanego profilaktorem, w *Polskiej Dentystyce*. Przyrząd ten Dybowski ofiarował w darze Zakładowi Antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Instytutowi Nauk Antropologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.

Dybowski interesował się również zagadnieniem struktury antropologicznej ludności w Polsce i napisał pracę dotyczącą charakterystyki antropologiczno-etnicznej Adama Mickiewicza pt. „Próba określenia składników rasowo-plemiennych, uwydatnionych w postaci wieszca naszego Adama Mickiewicza, rozpatrywanych na tle typów mieszkańców Ziemi Nowogródzkiej“ (*Kosmos*, rocznik XXIII, Lwów 1899 r.). Praca powyższa została napisana z racji uroczystości przeniesienia zwłok Adama Mickiewicza na Wawel. Następnie zaś napisał pracę pt. „Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko“ (*Kosmos*, t. 42, Lwów 1917 r.) w setną rocznicę zgonu jednego z największych naszych bohaterów narodowych. W pracy tej Dybowski daje wizerunek antropologiczno-psychologiczny Tadeusza Kościuszki. W obu pracach powyższych autor oparł się na bogatej literaturze dotyczącej Mickiewicza i Kościuszki oraz na licznych ich portretach i wizerunkach, jak również wykazał gruntowne opanowanie literatury antropologicznej przy charateryzowaniu antropologicznym powyższych postaci.

Widzimy więc, że i w zakresie oryginalnej twórczości naukowej Dybowski dobrze zasłużył się antropologii polskiej.

Dybowski odznaczał się niezwykłą wprost dobrocią, uczynnością oraz gotowością pomocy w razie potrzeby. Píše o tym prof. Wrzosek w swoim przyczynku do historii antropologii w Polsce (*Przegląd Antropologiczny*, t. XV, Poznań 1948) w sposób następujący: Dybowski „...zaprzyjaźniony z Izydorem Kopernickim, Julianem Talko-Hryncewiczem i Kazimierzem Stolyhwą, starał się w ten lub inny sposób pomagać im w pracy naukowej. Kopernickiemu przysyłał z Kamczatki czaszki i kości ludów, dotąd przez antropologów nie badanych. Talko-Hryncewiczowi darował przyrządy antropologiczne swego pomysłu z przeznaczeniem ich dla Zakładu Antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stolyhwie, którego darzył szczególną sympatią, wyjednał w roku 1928 ...zasilek w wysokości 10 000 zł dla kierowanego przezeń Instytutu Nauk Antropologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.“

Dodać jeszcze należy, że Dybowski będąc człowiekiem postępowym, pragnął i po śmierci służyć antropologii swoim ciałem. W związku z tym zapisał Kazimierzowi Stolyhwie swoje ciało w celu umieszczenia go w Muzeum Antropologicznym Instytutu Nauk Antropologicznych Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Niestety, okazało się to niewykonalne — ze względu na życzenie najbliższej rodziny, która pragnęła, aby został On pochowany na cmentarzu we Lwowie



Tak wielki dorobek naukowy Dybowskiego, przy Jego pełnym entuzjazmu stosunku do pracy naukowej, upoważnia do wypowiedzi, że był on „całą duszą“ oddany nauce. Nie uznawał jednak hasła „nauka dla nauki“, według którego uczonych nie nie obchodzi, jakie znaczenie społeczne mają ich badania naukowe. Według Niego bowiem badania naukowe powinny być — w miarę możliwości — prowadzone tak, by społeczeństwo mogło z nich bezpośrednio korzystać.

Nie zawsze jest to od razu możliwe, ale należy brać pod uwagę, że w przyszłości każde osiągnięcie naukowe będzie w jakiś sposób wyżytkane dla poprawy ustroju społecznego. A w każdym czasie badania naukowe dają podstawy do budowy światopoglądu człowieka współczesnego. W każdym więc czasie nauka powinna służyć i służy postępowi. Nauka bowiem z natury rzeczy jest postępową, a szczególnie wszystkie dyscypliny przyrodnicze. Toteż elementy konserwatywne społeczeństwa ustosunkowują się do myśli przyrodniczej negatywnie. Wystarczy tu w charakterze przykładu wspomnieć o Darwinie czy też w ogóle o ewolucjonizmie. Badania przyrodnicze znajdują natomiast poparcie w postępowych elementach społeczeństwa.

W przysłym, postępowym społeczeństwie — mówił mi Dybowski — nauka będzie specjalnie faworyzowana, a uczeni będą mieli bez porównania lepsze warunki pracy niż obecnie. W jednym z Jego rękopisów, przechowywanych w *Ossolineum*, czytamy:

„Tylko przez pracę naukową narody zdobywają szlachectwo Świata, a społeczeństwo — stateczny postęp ku szczęśliwości możebnej na ziemi“.

Swego czasu organizowana była wyprawa naukowa do Ameryki Południowej (Borecki, Chrostowski, Jaczewski — obecnie profesor Uniwersytetu Warszawskiego). Ekspedycji tej Kasa im. Mianowskiego

odmówiła subsydium. A w *Kurierze Lwowskim* ukazał się artykuł ośmieszający tę wyprawę. Polemizując z tym artykułem pisał Dybowski (w roku 1921):

„...Nauka dźwiga narody ku światłu prawdy, prawda zaś — szczęściem ludzkości. Każdy krok, chociażby najmniejszy, na drodze poznania globu naszego, poznania Wszechświata, poznania nas samych i stosunku naszego do otoczenia powinien być ceniony z tego stanowiska, o tym powinna pouczać prasa nasza ogół społeczeństwa. Toteż ekspedycja naukowa do Brazylii jest podjęciem tradycji badań tak świetnie prowadzonych przez Konstantego Jelskiego, Jana Sztolcmana, Jana Kalinowskiego. Na podstawie tych badań wznosił Władysław Taczanowski gmach potężny, naukowy. Opisał około 2000 gatunków ptaków i wykazał, że geniusz polski i w tym kierunku może dorównać geniuszom zagranicznym, a nawet je prześcignąć“.

Tu wtrączę od siebie, że dużo lepiej i efektywniej dowiódł tego sam Dybowski na przykładzie Bajkału.

Dybowski był wielkim zwolennikiem, a nawet entuzjastą polskich badań naukowych w krajach egzotycznych. Wykazał to zresztą własnym czynem przez badanie Azji północnej. Był polskim pionierem na tym polu.

To ogromne znaczenie badań naukowych powinno być — zdaniem Dybowskiego — wpajane młodym obywatelom od wczesnej młodości. Programy szkół powinny być poddane rewizji. Oto co pisze Dybowski na ten temat w roku 1917:

„Społeczeństwo nasze po latach dzikiego barbarzyństwa, ciężącego nad naszymi sprawami szkolnymi, stoi obecnie przed zadaniem stworzenia o własnych siłach nowych szkół, ujęcia we własne ręce sprawy wychowania przyszłych obywateli kraju.

Zadanie to jest niezmiernie trudne. Państwa europejskie wolne, rządzące u siebie samodzielnie, stoją wobec tego zadania bezradne i w najczęstszych wypadkach trwają przy programach średniowiecznych, nie mając odwagi zerwać z tradycją; więc o ile trudniejszym jest zadanie takie dla nas, czyli dla społeczeństwa nowopowstającego na gruzach zniszczonego prawie doszczętnie przez stulecie niewoli i barbarzyńską wojnę — społeczeństwa naszego.

Ażeby zbudować gmach nowy, trzeba teren pod budowę oczyścić starannie z rumowiska zaścielającego ów teren. Czy mamy na to siły wymagane? Nawa nasza państwowa może być porównaną do wozu

z bajki Kryłowa, do którego wprzęgły się labędź, szczupak i rak; — gdy labędź unosi się w niebiosa, rak wstecz, a szczupak do wody.

Dlatego — by się wytworzył typ szkoły ludowej oparty na podstawie wiedzy — trzeba usunąć fałsze w wykładach, a do tego trzeba przygotować siły nauczycielskie, wykształcone nie w atmosferze pleśni wiekowej. Co pomogą najliberalniejsze programy, kiedy ich wykonawcami będą raki i szczupaki?...

Prawda wiedzy, nauka języka własnego i międzynarodowego¹⁾ mają być podstawą kształcenia dzieci w szkołach ludowych. Prawdą zaczynać i prawdą kończyć, takie musi być zadanie wychowania ludzi. Nauka wszechstronna języka własnego, historia literatury i dziejów ojczystych stworzy to, co stanowi wykształcenie narodowe! Nauka etyki i moralności, oparta na podstawach wiedzy, zastąpi to, co dzisiaj wychowaniem religijnym nazywają.

Wpajanie od dziecka: zamilowania do prawdy i sprawiedliwości, miłości bliźniego i świata otaczającego wytworzy najwspanialszy typ altruisty — człowieka znajdującego szczęście własne w szczęściu innych, gdy dzisiejszy typ człowieka cieszy się nieszczęściem innych, szczyli się największym barbarzyństwem uznając je za bohaterstwo²⁾.

Nauczanie oparte na ścisłej, niesfałszowanej wiedzy, kształtowanie naukowego poglądu na świat, szeroki udział elementów kultury narodowej w nauczaniu, szkoła świecka — oto główne założenia poglądu Dybowskiego na reformę szkolną w Polsce po pierwszej wojnie światowej. Takie postawienie sprawy w roku 1917 dowodziło mocnej wiary w słuszność sprawy, a przede wszystkim wielkiej odwagi cywilnej. To nie była pisana z dnia na dzień publicystyka „dla wierszowego“. Słowa te były pisane w pełnym przekonaniu, że przyjdą czasy, w których szkoła prawdziwie postępową zastąpi szkołę „średnio-wieczną“.

Walkę o upowszechnienie naukowego poglądu na świat, walkę z przesadami religijnymi prowadził Dybowski przez całe swoje życie. Rozmawiałem z nim kilkakrotnie na ten temat. Religia — mówił — jest społecznie szkodliwa, gdyż dbając o zachowanie religijnego światopoglądu obywateli stawia przez to zapory na drodze prowadzącej do wykształcenia światopoglądu naukowego. Wypowiadał się na ten temat niejednokrotnie i w piśmie. Między innymi pisał:

¹⁾ Dybowski ma tu na myśli esperanto, którego był wielkim entuzjastą (przypr. red.).

„Słowo Pasterskie (artykuł pisany właśnie z powodu jakiegoś „Słowa Pasterskiego“) ogłoszone spóźniło się — zdaniem naszym — o 100 lat przynajmniej, bo dzisiaj nie cudów nam oczekiwać wypada, ale trzeba usilnej własnej pracy nad świadomym umoralnieniem siebie przez wiedzę. Wiedza powinna wytworzyć w nas hamulce zdolne pokonać złe nalogi; powinna rozświetlić ciemnotę ogólną, przetrworzyć stado bezmyślne we wspólnotę jasno pojmującą zadania społeczeństwa...

Cudami nie osiągniemy tego wszystkiego, a właśnie dlatego, żeśmy mieli aż sto kilkadziesiąt cudownych obrazów Matki Boskiej — zaniechaliśmy pracy nad sobą“ (rękopis w *Ossolineum*).

W innym miejscu mówi Dybowski o wrogim stosunku Kościoła do postępowej myśli naukowej. Oto co pisał o Koperniku:

„Jestem przekonany, że gdyby dzisiaj po raz pierwszy wypowiedział Kopernik swoje poglądy genialne, zrywając z całą teorią starą Ptolemeuszów, to byśmy byli pierwsi, którzy byśmy go potępili, wyparli się jego pokrewieństwa rodowego i z ambon wyklęli, gdyż idąc za zdaniem „Przeglądów Katolickich“ uznalibyśmy go za niedowiarka, heretyka, burzyciela dogmatów, za człowieka gotującego zgubę ludzkości“.

Podkreślając znaczenie postępowych tradycji narodowych we współczesnej nauce i kulturze daleki był Dybowski od bezkrytycznego gloryfikowania przeszłości: „Falsz oportunistyczny jest najgorszą trucizną ducha. Naród, tak jak każdy organizm, rozwija się, wzrasta, męźnieje; to, co było dla niego dobrym w powijakach, nie może być pożytecznym, gdy myśleć zaczął i myśleć potrafi. Próżno byśmy się starali cofnąć rozwój narodu i wtłaczać w skorupy jajowe jego wierzzenia, dzisiejszą świadomość pozyskaną przez wiedzę.

My nie mamy powodów wstydzić się naszej przeszłości, chociaż wiemy już dzisiaj, że przodkowie nasi niewiele się różnili inteligencją swoją w okresie trzeciorzędu od małp czelkopodobnych.

Zaszczyt nasz cały, zasługa wobec człowieczeństwa, leży w tym, czym jesteśmy obecnie. Modelować się na przeszłości jest grzechem, ideały nasze — to przyszłość, a nie czas leżący poza nami. Bohaterowie narodowi będą dla nas zawsze drogimi pamiątkami przeszłości, ale to przecie nie przeszkadza, ażebyśmy ich nie mieli poznawać przy świetle wiedzy i prawdy; to nie jest przecie destrukcyjną robotą, ale przeciwnie — konstrukcyjną; pierwszym mianem nazwałbym

natomiast karmienie narodu idealami przeszłości w tym przekonaniu, że kult Apisa mógłby wskrzesić dawną świetność Egiptu...

Każdy rozsądny człowiek, kochający kraj swój, będzie się starał oświecać swój naród i przekonywać go, że bałwany nie są bóstwem, któremu się klaniać wypada. A taka praca, z całą świadomością wiedzy dokonywana, nie tylko że nie zabija w narodzie poczucia siły i godności własnej, ale przeciwnie — podnosi je na wyżyny, których nie dosięgnie nigdy naród trwający przy swoich bałwanach ukochanych (*Tydzień*, Lwów 1904).

Oparty na nauce i mający na względzie sprawiedliwość społeczną światopogląd Dybowskiego rysuje się zupełnie wyraźnie na tle tych wypowiedzi. Jest to światopogląd człowieka w pełni uczciwego, pozbawionego obłudy, walczącego o postęp i wierzącego w to, że ludzkość na drodze postępu dojdzie do ustroju sprawiedliwości społecznej.

O upowszechnienie takiego postępowego światopoglądu walczył Dybowski przez całe życie, walczył z przesadami, obłudą i zacofaniem.

Na temat obłudy, niesprawiedliwości, a nawet wprost barbarzyństwa ustroju kapitalistycznego, wypowiadał się Dybowski bardzo ostro. Oto przykład:

„Gdzie potworów moralnych wieńczą laurami zasługi i chwaly, gdzie czyny barbarzyństwa odziewają szatą cnoty, gdzie panują systemy rozmyślnie uorganizowane w celu oglupiania, demoralizowania i tępienia całych warstw społecznych, plemion albo narodów, gdzie najświętsze uczucia ludzkie uznawane bywają za przestępstwa, a najlogiczniejsze poglądy zostają potępiane — tam dla dobra i prawdy, dla prawdziwej cywilizacji i kultury miejsca być nie może“ (*Tydzień*, Lwów 1897).

Dybowski był zdania, że wszystkie rasy ludzkie są sobie równe; wszystkie mogą rozwijać w równym stopniu takie same wartości intelektualne. Zaliczanie szeregu narodów do „dzikich“ jest zupełnie sztuczne, a przede wszystkim niesprawiedliwe, krzywdzące. U źródeł tego podziału leży, tak charakterystyczna dla kapitalizmu, chęć zysku. Zaliczając tyle narodów, a właściwie wszystkie poza Europejczykami, do „dzikich“, narody imperialistyczne usprawiedliwiają swój system kolonialny. Że to niby panując w koloniach uszczęśliwiają „dzikie“ narody, które same nie są zdolne do rozwinięcia wartości

społecznych czy jakichkolwiek innych na poziomie takim, jaki reprezentuje rasa biała.

Jest to ohydna obłuda, postępowanie białych bowiem w ich koloniach jest czymś wręcz przeciwnym. Nie tylko że nie umożliwia tym podbitym narodom jakiegokolwiek postępu w rozwoju społecznym i intelektualnym, ale wręcz uniemożliwia go całkowicie. Oczywiście bowiem jakakolwiek eksploatacja narodu stojącego na niskim poziomie kulturalnym jest znacznie łatwiejsza niż narodu społecznie i intelektualnie zaawansowanego. Zresztą niska ocena wartości moralnych, intelektualnych i społecznych narodów „dzikich“ jest na ogół wręcz fałszywa. A zdarza się nawet, że taki „dziki“ naród stoi pod wieloma względami wyżej od swego najeźdźcy. Jako przykład narodu „dzikiego“, reprezentującego wysokie wartości kulturalne i moralne, daje Dybowski Kamczadałów. Niestety, carscy urzędnicy z Kameczatki w najmniejszym stopniu nie umieli ocenić tych wartości Kamczadałów. Ich rządy na Kameczatce i traktowanie jej mieszkańców były wręcz zaprzeczeniem jakiegokolwiek poczucia sprawiedliwości społecznej i działalności w zakresie podniesienia kultury kraju. Przeciwwstawiał się temu Dybowski, co spowodowało tak wrogie nastawienie doń całej urzędniczej kliki Kameczatki, że życie jego stało się wręcz niemożliwe.

Dybowski propagował tezę o całkowitym równouprawnieniu wszystkich ras, o równej ich wartości dla rozwoju i szczęścia ludzkości, o takich samych prawach społecznych. Wszystkie narody — według niego — mają takie same prawa do całkowitej niepodległości, do samodzielnego budowania swego ustroju społecznego i bytowania w nim bez żadnej obcej interwencji. Wszelkie kolonie i protektoraty powinny być schowane do lamusa rzeczy średniowiecznych. W czasach nowożytnych wyzyskiwanie jednych narodów przez inne daje jak najgorsze pojęcie o poziomie współczesnej moralności społecznej, przynosi hańbę kulturze współczesnej.

Rewolucja 1917 roku wykazała, że optymizm Dybowskiego i jego wiara w postęp były zupełnie usprawiedliwione, chociaż droga rozwoju jest całkowicie różna od tej, którą widział Dybowski. Dzisiaj na terytoriach największego państwa na ziemi, gdzie sto lat temu był wyzysk narodów ujarzmionych, panuje sprawiedliwość społeczna. Czy to Kamczadałowie, czy jakiegokolwiek inne plemiona Azji są pełnoprawnymi obywatelami wielonarodowego państwa radzieckiego.

Mieszkając w „Galicji Wschodniej“, jak się to wówczas ta prowincja Austrii nazywała, był Dybowski bezpośrednim świadkiem walk polsko-ukraińskich, które przybierały niekiedy bardzo ostry charakter. W walkach tych nie brał żadnego udziału. Przeciwnie, nawoływał do zgody. W *Ossolineum* zachował się rękopis jego odezwy do Ukraińców, zatytułowany: „Do braci Rusinów galicyjskich słowo braterskiej życzliwości“. Píše w niej:

„Podajmy sobie ręce do zgody i kroczmy wspólnie po drodze nowej — wiodącej ku zapewnieniu wszystkim ludom i wszystkim istotom ziemskim możebnego szczęścia. Za naszym przykładem pójdą Niemcy, Francuzi, Anglicy, Rosjanie. Wielkość i potęga rozumu ludzkiego zasadza się na tym, że poznawszy błąd swój, śmiało i otwarcie do niego się przyznaje i wyrzeka się go na przyszłość“.

Chociaż obciążony dziedzictwem ideologicznym klasy, z której się wywodził, dzięki wielkiej prawości charakteru umiał Dybowski niejednokrotnie dać słuszną ocenę wielu zawitych spraw swej epoki.

Ostro występował przeciw antysemityzmowi we wszystkich jego przejawach. Zasadnicze jego stanowisko było takie: — Polakiem jest ten, kto urodził się w Polsce, jest obywatelem Polski i uważa się za Polaka. Żadnego znaczenia nie ma, jakiego pochodzenia są jego przodkowie i czy znaleźli się w Polsce lat temu kilkadziesiąt, czy kilka tysięcy. I nie wolno czynić jakiegokolwiek różnic między mieszkańcami Polski. Dyskryminacja jakiegokolwiek grupy narodowościowej jest wstecznictwem, a jako takie szkodzi interesom Polski. A więc działaniem na szkodę Polski jest propagowanie antysemityzmu.

Charakterystyczne dla poglądów politycznych Dybowskiego są jego wypowiedzi na temat roli arystokracji w dziejach Polski. Oto co pisał na temat Rady Regencyjnej utworzonej przez Niemców dla sprawowania rządów w Polsce w czasie pierwszej wojny światowej (w skład tej Rady wchodził: Zdzisław Lubomirski, Janusz Radziwiłł i kardynał Kakowski):

„Reakcja chwyciwszy rząd w swe niedołężne ręce chce uczynić z Polski państwo ucisku.“

Wczoraj jeszcze pp. reakcyjniści przyjmowaliście Polskę ze wszystkich stron okrojona, byleście mogli w niej zajmować pierwsze miejsce. Dziś obwołujecie ją jako konieczną od morza do morza, bo wam pozwolili, a może nawet was do tego zachęcali i znowu chcecie

w niej pierwsze zajmować miejsce. Jutro przyjmiecie jej ówiartkę, ósemkę albo co niebądź, byleście w niej także pierwsze miejsce zajmować mogli.

»Famijle« arystokratyczne, które — gdy Polska jęcząła w kajdanach bądź fizycznych, bądź moralnych — grały w karty przy zielonym stoliku, w totalizatora na placach wyścigowych, urządały ugodowe procesje nie interesując się zupełnie losem kraju, nagle zapragnęły zająć u nas stanowiska władców, dyplomatów, ministrów, a naród traktować jak swoich ekonomów i parobków. Brali na to mandaty z rąk wrogów. Opierać się chcieli przeciwko narodowi na milionie zagranicznych bagnetów. Otoczyła ich naturalnie sfera ich lokajszczyzny. Słusznie tedy idzie głos, że potrzeba nam całkiem innych osobistości. Ani jeden z tych ludzi skompromitowanych nie powinien utrzymać się na stanowisku!

Rada Regencyjna prosi Naród, aby w chwili tak ważnej raczył zapomnieć o wszystkich rzeczach niemiłych. Ale tu chodzi o wykroczenia kardynalne przeciwko tradycji naszej historycznej, przeciwko głosowi sumienia narodowego i wierności Ojczyźnie; sami popełnilibyśmy ciężki grzech, gdybyśmy zdrajców, tchórzów i niedołęgów postawili na czele rządów“ (rękopis artykułu pt. „Słowa szczerzej prawdy“ przechowany w *Ossolineum*).

A w innym miejscu (rękopis również w *Ossolineum*): „Nasi obecni Targowiczanie są najjistotniejszymi konterfektami tych zbrodniarzy, którzy oklamywali tłumy bezmyślnej szlachty pozorami ratowania ojczyzny, a wydali ją podłe dla celów egoistycznych w ręce wroga, uzyskawszy za ten czyn dobra obszerne i tytuły hrabiów, którymi się szczycą ich potomkowie dotąd. Nasi nowi Targowiczanie gotowi — jak ich poprzednicy: Glińscy, Zebrzydowscy i Zborowscy — z diabłem się zbratać, byleby na swoim postawić; oni się obecnie mizdrzą i plaszeją przed tymi samymi wrogami, z którymi się układali i bratali ich poprzednicy, pod pozorem, że działają dla dobra ojczyzny“.

A oto wyjątek z artykułu (rękopis bez tytułu — w *Ossolineum*) pisanego w czasie pierwszej wojny światowej z powodu fatalnego położenia żywnościowego Galicji: „Towarzystwo Lekarskie w Krakowie wobec wprost rozpaczliwego położenia miasta zwróciło się z przedstawieniem, żądając interwencji Koła Polskiego, lecz niestety zostało sparaliżowane przez działalność zbrodniczą konserwatystów krakowskich; oni wystąpili z wołaniem, że im tak błogo, tak mile,

tak nie nie trzeba, jakby w objęciach aniołów lecieli do nieba, więc niech ginie naród, im jest miło i błogo“.

Bardzo ważne znaczenie społeczne przypisywał Dybowski sprawie równouprawnienia kobiet, tzw. „Kwestii kobiecej“, czego dowodem jest, że podobnie jak sprawie światopoglądów, poświęcił jej specjalną publikację.

Dybowski bronił sprawy całkowitego równouprawnienia kobiet. Do przekonania tego doszedł po bardzo gruntownym rozpatrzeniu zagadnienia, oczywiście przede wszystkim z punktu widzenia przyrodniczego. Do takiego równouprawnienia, jakiego żądał dla niej Dybowski, doszła kobieta dopiero w ustroju socjalistycznym.

W wielu swoich pismach, a także i w codziennym obcowaniu z ludźmi występował Dybowski przeciw alkoholizmowi, który uważał za klęskę społeczną.

Jak szeroki był zakres publicystyki Dybowskiego, niech świadczy jeszcze artykuł „Płużyny“ (*Tydzień*, rok 6, Lwów 1898). Podaje tu Dybowski opis dworu w Płużnach, w którym częstym gościem był Adam Mickiewicz i na którym — zdaniem Dybowskiego — oparł swój opis Soplicowa.

Trudno byłoby omówić tu wszystkie zagadnienia, poruszane przez Dybowskiego w licznych Jego artykułach opublikowanych i w tych, które zachowały się tylko w rękopisach. Niektóre poglądy i związane z nimi wypowiedzi wynikały z błędnych koncepcji społeczno-politycznych; niejedno gorące wezwanie ma po tylu latach wartość jedynie archiwalną, ale wiele Jego myśli zachowało do dziś żywą aktualność.

Omawiając działalność społeczną Dybowskiego i Jego publicystykę nie można zapominać o tym, że całe swoje długie życie — z wyjątkiem stosunkowo krótko trwającego udziału w powstaniu 1863 roku — przeżył z dala od gorących walk politycznych swojej epoki. Że w żadnym okresie swojego życia nie włączył się w nurt walki o wyzwolenie klasy robotniczej. Że krytykował panujący ustrój społeczny z pozycji postępowego liberalizmu.

Jednak stosunek Dybowskiego do burżuazyjnych stronnictw politycznych obozu międzywojennego był zdecydowanie negatywny. Świadczą o tym następujące fragmenty listów pisanych do autora. Na przykład: „Żle w ogóle na świecie, ale szczególnie u nas. O uczciwości, ofiarności, w ogóle o wszystkich cnotach zapomniano, ale za

to wszystkie niecnoty grasują wprost horendalnie. W czasopismach galicyjskich bij, zabij na Koroniarzy, a w kongresowych pismach wyrzekają na Galicjan. Egoizm i partyjność święcą tryumfy“ (list z 6 X 1919 r.). „Taki Witos *et consortes* myślą tylko o sobie“ (list z 12 VI 1919 r.).

Do partii socjalistycznych nie miał zaufania ze względu na ludzi, którzy stali na czele. Pisał do mnie: „... są to po większej części bogaci burżuje, jak np. Diamand, Jodko, Daszyński“ (list z 12 VI 1919 r.). Był przekonany, że zdradzą oni ideologię socjalizmu i zaprowadzą „swoich socjalistów“ wprost na podwórko burżuazji. Okazało się, że miał rację.

„Co do Narodowych Demokratów, to mam ich w obrzydzeniu“ (list z czerwca 1922 r.).

W świetle wyżej przytoczonych wypowiedzi Dybowskiego i znajomości dziejów Jego bogatego i barwnego życia uznać należy, że wybitny ten uczoney, choć nie był czynnym i świadomym rewolucjonistą, reprezentował stanowisko postępowe. Mimo że Jego poglądy społeczne miały charakter liberalno-postępowy, były nieraz — jak na ten światopogląd — krańcowe i śmiałe. Był On na swe czasy bezkompromisowym bojownikiem postępu, odważnie walcząc przez całe swe długie i pełne twórczego wysiłku życie o sprawy, w których słuszność bezwzględnie wierzył.

SPIS TREŚCI

Przedmowa	3
Od autora	4
Sylwetka człowieka (na tle wspomnień osobistych)	7
Dzieciństwo i lata młodzieńcze	14
Profesura w Warszawie. Udział w powstaniu styczniowym	19
Aresztowanie i zesłanie na Sybir	28
Na szlaku zesłańców	32
W katordze	38
Koniec katorgi. Pobyt w Darasuniu	43
Irkuć i Kultuk w latach 1868—1877. Podróż na Daleki Wschód ze Skolkowem	46
Podróż na Wschód w latach 1872—1873	60
Pobyt nad Bajkałem od roku 1875. Powrót do kraju ...	80
Badania naukowe na Syberii	87
Bajkał i jego fauna	108
W Warszawie po powrocie z Syberii	117
Petersburg — Moskwa — Niżny Nowogród	121
Na Kameczatce	127
Lwów 1883 — 1930	151
Praca naukowa	157
Dybowski jako antropolog (Napisał prof. dr Kazimierz Stolyhwo)	162
Światopogląd. Praca społeczna. Publicystyka	166



Opr. i wyk. O. Hryniewicki

INSTYTUT ZOOLOGII
Polskiej Akademii Nauk
BIBLIOTEKA

<http://rcin.org.pl>



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii P

K. 11450



4000000000026

